www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 16 (902)
18-23.04.2017
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

Gen. Janusz Bronowicz: Wojsko – chaos i sabotaż

Prof. Bronisław Łagowski: O sojuszu pisowsko-chłopskim

Prof. Jacek Szaflik: Hity okulistyki 2017

Tajemnice żydowskiego **Klimontowa**

MEDIA I PIENIĄDZE

POLITYKA ZABIJA DZIENNIKARZY

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
16 >
9 771509 311706

eprasa.pl 83cd815144

73
MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY
w Wenecji 2016

HISTORIA CZŁOWIEKA
UWIKŁANEGO W SIEĆ PODEJRZEŃ

Najnowszy thriller KIM Ki-Duka

W sieci

W KINACH OD 21 KWIETNIA

Co-funded by the European Union
Creative Europe MEDIA
AURORA

CYTATY

JAN WOŁEK,
POETA, MALARZ
Kiedyś jak ktoś był głupi, to się tego wstydził. Teraz z głupoty robi się pomnik.
„Angora”

WOJCIECH WAGLEWSKI,
GITARZYSTA
Mnie nie przeraża, kto nami rządzi, tylko to, że rządzi, bo mamy to gdzieś.
„Wysokie Obcasy”

JAN ENGLERT,
DYREKTOR TEATRU NARODOWEGO
Tylko twórcy albo ideologowie uważają jeszcze, że sztuka powinna bić, żeby aż bolało.
„Rzeczpospolita”

BOB MANKOFF,
RYSOWNIK „NEW YORKERA”
W gruncie rzeczy humor jest głupi, a my powinniśmy czerpać radość z tej głupoty.
„Forum”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Desanty Misiewiczów

Jeżeli ktoś jeszcze potrzebuje dowodu na to, że najsłabszym ogniwem demokracji są partie, PiS podaje mu go na tacy. Jeśli tak słaba kadrowo jest partia, którą półtora roku temu poparło tylu Polaków, że wystarczyło do zagarnięcia całej puli władzy, to jak oceniać pozostałe? Potwierdza się, że dużo łatwiej można w Polsce wygrać wybory, niż później skutecznie rządzić. Podobnie było wcześniej. AWS, SLD i PO wygrywały, by polec, bo nie radziły sobie przede wszystkim z własnymi kadrami. A ludzie, którymi partie obsadzały tysiące stanowisk, oprócz tego, że w znacznej mierze nie mieli wystarczających kwalifikacji zawodowych i moralnych, nie mieli też za grosz poczucia lojalności wobec partii, która ich mianowała. Gdy tylko zaczynały się problemy i spadało poparcie w sondażach, te w gruncie rzeczy wojska zaciężne zajmowały się głównie sobą. Czyli robieniem prywatnych interesów. Co skutecznie dobijało partie rządzące. Sensowna w założeniu idea służby cywilnej z ostrą selekcją, egzaminami potwierdzającymi kwalifikacje i dająca urzędnikom poczucie bezpieczeństwa pracy niezależnie od zmiany władzy politycznej, została doprowadzona do karykatury.

I mamy dziś kraj spustoszony przez fatalną politykę kadrową. Przyzwyczajamy się do tego, że jeśli coś normalnie funkcjonuje, jest to raczej przypadek niż reguła. I najczęściej są to te obszary, które nie są zarządzane przez instytucje państwowe. PiS, które chce odwrócić, i słusznie, deprecjację struktur państwa, nie ma do przeprowadzenia tego programu armat. Z kadrami, jakie widzimy w najróżniejszych miejscach, można je tylko jeszcze bardziej rozmontować. Instytucje państwa, które powinny być silniejsze i skuteczniejsze w działaniu, słabną, bo paraliżuje je desant Misiewiczów.

Dlaczego partie w Polsce, ale i generalnie w świecie, są coraz marniejsze, co widać gołym okiem? Dlaczego wyborcy powierzają takim atrapom swoją przyszłość? Dlaczego wciąż naiwnie liczymy, że z tej marności powstanie wartość dodana?

Do partii politycznych z bardzo wielu powodów trafia coraz więcej ludzi niepotrafiących się odnaleźć gdzie indziej. I to oni są ogonem, który zaczyna kręcić wszystkim. Oni, a nie całkiem spora grupa sensownych, propaństwowych i ideowych społeczników, którzy też mają partyjne legitymacje. Spróbujemy podyskutować o tym na łamach naszego tygodnika. Bardzo liczę na Państwa opinie.

FAULE

Niby-prawda Brudzińskiego

Joachim Brudziński, wzruszony przemówieniem Jarosława Kaczyńskiego z 10 kwietnia, pochwalił się w TVN 24: „Po tych słowach na Twitterze zamieściłem pieśń Przemysława Gintrowskiego »Od nienawiści strzeż mnie Boże«. Oto cała niby-prawda. Po pierwsze – tytuł utworu to „Modlitwa o wschodzie słońca”. Po drugie – Gintrowski śpiewał ten tekst, ale jego autorem jest Nataniel Tenenbaum, polski poeta żydowskiego pochodzenia, którego w 1969 r. zmuszono do emigracji z Polski. Ale to Brudzińskiemu przez gardło nie przeszło. Po trzecie – przepojony chrześcijańską miłością bliźniego polityk dwa dni później pisze: „Niech »opętańcy« kupią tysiące białych róż. Niech wezwą na pomoc Tryzuba, byłego wojewodę, Hankę, alfonsów. A my... Róbmy swoje”.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 83cd815144

W NUMERZE

KRAJ

8 **Media w Polsce. Polityka i pieniądze**
– rozmowa z Andrzejem Skworzem

14 **Mobbing i medycyna**
Konflikt w szpitalu MSWiA w Olsztynie

16 **Wojsko – chaos i sabotaż**
– rozmowa
z gen. Januszem Bronowiczem

20 **Radość w Niemczech, lęk w Polsce**
Wsie kontra kopalnie węgla brunatnego

36 **Rafał Skąpski**
Jak odzyskałem „Księgę Głubczycką"

52 **Skrywana tajemnica żydowskiego miasteczka**
Co się stało z sąsiadami z Klimontowa

ZAGRANICA

24 **Zmierzch wytrawnych weteranów**
Kampania wyborcza we Francji

28 **Zadłużony jak student**
Pożyczki na kształcenie w USA

HISTORIA

31 **Piłsudskiego wizja demokracji**
Wybory 1928 r.

KULTURA

38 **Widzowie tłumaczami innej Europy**
– rozmowa z Tomaszem Raczkiem

40 **Armia Bożego Oporu wciąż zabija**
– rozmowa z Jonathanem Littllem

44 **Qulturalia**

66 **Eko-materia**

ZDROWIE

46 **Hity okulistyki 2017**
– rozmowa z prof. Jackiem Szaflikiem

NOWE TECHNOLOGIE

50 **Jak oswoić robota**
Czy jest się czego bać?

OBSERWACJE

58 **Pająk zakłada pas cnoty**
Próba wierności w świecie zwierząt

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Desanty Misiewiczów

12 **Bronisław Łagowski**
Lud boży kontrrewolucyjny

27 **Tomasz Jastrun**
Ale bomba!

43 **Edward Mikołajczyk**
Dobrze się kłamie
w bezkarnym towarzystwie

28
ZAGRANICA

ZADŁUŻONY JAK STUDENT
Pożyczki na kształcenie w USA

40
KULTURA

ARMIA BOŻEGO OPORU WCIĄŻ ZABIJA
Rozmowa z Jonathanem Littllem

58
OBSERWACJE

PAJĄK ZAKŁADA PAS CNOTY
Próba wierności w świecie zwierząt

Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. Fotolia

eprasa.pl 83cd815144

KŁAMSTWA TUSKA

Donald Tusk wpisał się w tradycję polskich tzw. liberałów, którzy na międzynarodowych forach szkalują własny kraj. Protoplastą był tu zapewne niejaki pan Bielecki, który w 1991 r. na forum w Davos, gdzie zbierają się możni tego świata, wygłosił swoją teorię, jakoby „komunizm zniszczył Polskę bardziej niż hitlerowska okupacja". Taka brednia postawiła Polskę w pozycji wygłodzonego żebraka, który zgodzi się na wszystko za suchą bułkę. I tak zostaliśmy potraktowani przez inwestorów zagranicznych.

MÓJ PRZEGLĄD
Jerzy Romański
Kłamstwa Tuska

Jako dziecko z zapartym tchem przeglądałem album fotograficzny „Wrocław wczoraj i dziś". Zdjęcia przedstawiały te same obszary miasta sfotografowane w latach 1945 i 1975. Do dziś pamiętam, jak szokujący to był kontrast. Pamiętam też, jak w latach 70. wrzucałem monety do publicznej skarbonki na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie, a potem go zwiedzałem. Panie Tusk, panie Bielecki – wy tego nie pamiętacie? Czy też wygłaszacie takie kłamstwa dla osobistych korzyści? Proponuję wam mały seans filmowy – seriale „Znaki szczególne" oraz „SOS". Tam można sobie obejrzeć panoramy odbudowanego Gdańska w latach 70. Jaki był WASZ wkład w tę odbudowę? Bardzo się pomylę, jeśli powiem, że żaden?

Jednego nie pojmuję – dlaczego milczą ostatni żyjący, którzy gołymi rękami te miasta podnosili z gruzów? Dlaczego milczą ich dzieci i wnuki? Czy jestem ostatnim żałosnym frajerem, który ma jeszcze siłę bronić honoru pokolenia swoich dziadków i rodziców? Czy ćwierć wieku prania mózgów zrobiło swoje – jedni nie wiedzą, a drudzy boją się odezwać? Można się spodziewać, że już wkrótce fotografie i filmy pokazujące niewygodną prawdę zaczną być dyskretnie usuwane. I też się nikt nie odezwie w obawie, że go nazwą komuchem, a od tego już tylko krok do odebrania emerytury.

Radosław

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

JÓZEF HEN
Jak król Stanisław walczył o uchwalenie konstytucji

ANNA DYMNA
O ciemnych stronach popularności

BUNT LISTONOSZY
Pocztowcy walczą o życie

PÓŹNI PRZESIEDLEŃCY
Niemieccy emeryci wybierają Europę Wschodnią

W KLUBIE DOBREJ PAMIĘCI

19 kwietnia o godz. 18
w kawiarni Wolak ul. Legnicka 158 we Wrocławiu

odbędzie się spotkanie z **prof. Markiem Mazurkiewiczem**, byłym przewodniczącym Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego.

Temat wykładu: Na XX-lecie Konstytucji RP – konstytucyjne gwarancje legalności działania władz publicznych i ochrony praw człowieka. Serdecznie zapraszamy.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Głód wywabia wilka z lasu. Bieszczady to jedna z najważniejszych europejskich ostoi tego gatunku. Wilki w dolinie Sanu, początek kwietnia 2017.

FOT. ADRIAN ŚLĄZOK/REPORTER/EAST NEWS

eprasa.pl 83cd815144

GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA

★ **Prof. Jan Widacki,** wybitny prawnik i dyplomata, otrzymał z rąk prezesa Andrzeja Kurza **Honorową Nagrodę Kowadła** przyznaną mu przez **Radę Stowarzyszenia „Kuźnica"** za „nieustępliwość w zmaganiach o zrozumienie i poszanowanie prawa przez państwo i obywatela oraz w walce z nieprawościami i skupienie się na polskiej racji stanu w działalności państwowej i znakomitej publicystyce".

★ **Niebieska Linia,** telefon dla ofiar przemocy w rodzinie, **22 668 70 00 (cały tydzień, w godz. 12-18), wznowiła działalność** po trzech miesiącach milczenia, które spowodowane było obcięciem dotacji przez Ministerstwo Sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. Na szczęście pomogły osoby prywatne i firma Avon.

★ **Piotr Paziński,** autor tłumaczenia opowiadań „Przypowieść o skrybie" Szmuela Josefa Agnona, został laureatem **Nagrody Prezydenta Gdańska im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego.**

★ **342 tys. osób zatrudnionych na etatach** zarabiało w 2016 r. co najmniej 10 tys. zł miesięcznie.

★ **Marcin Sendecki,** poeta i krytyk, otrzymał **Nagrodę „Odry"** za tom wierszy „W" (Biuro Literackie).

★ **Aneta Prymaka-Oniszk** otrzymała **Nagrodę Literacką Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego** za książkę „Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy" (Wydawnictwo Czarne).

✖ **Ponad 318 tys. rodziców nie płaci alimentów.** 95% z nich to mężczyźni. Dług wobec prawie miliona dzieci przekroczył już 11 mld zł. Najwięcej dłużników jest na Śląsku, Mazowszu i Dolnym Śląsku.

✖ **Przemysław Wipler,** były poseł PiS, wiceprezes partii Wolność (kiedyś KORWiN) i prezes Fundacji Wolność i Nadzieja, mającej sprowadzać do kraju rodaków z emigracji, został oskarżony przez wiceprezesa fundacji o wyłudzanie środków i pokrywanie prywatnych wydatków z kont organizacji.

✖ Głosy radnych SLD zadecydowały o tym, że Rada Miasta Łodzi odrzuciła obywatelski projekt **bezpłatnego transportu publicznego dla dzieci,** które nie ukończyły szkoły podstawowej. W proteście z SLD odszedł Dariusz Joński.

✖ **Jan Śpiewak,** były lider warszawskiego stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, po tym, jak nie udało mu się zostać w nim wodzem, założył nowe, a w kolegów sypnął oskarżeniami. Równie sensownymi jak wcześniejsze ataki na Hannę Gronkiewicz-Waltz.

✖ **Góra Kalwaria** na Mazowszu **wyrzuciła z grona patronów ulic Batalion Czwartaków i Franciszka Zubrzyckiego.** Kolejny sukces IPN. Jakoś trzeba wydać te kilkaset milionów złotych otrzymywane z podatków Polaków, których nikt nie pyta o zdanie.

✖ **Najwięcej palaczy** mieszka w województwach lubuskim (35%), warmińsko-mazurskim (34%) i lubelskim (33%).

PRZE BŁYSKI

A WITEK NAM ŻAL

Niełatwo nam to przychodzi, ale musimy pochwalić Elżbietę Witek, szefową gabinetu premier Szydło. A za co? Za wspólnotę ocen w sprawie Beaty Kempy. Też nam rośnie gula, kiedy ją widzimy. A pracować blisko niej? Makabra! Podobnie jak minister Witek mamy alergię na tupeciary. Na bałaganiary zresztą też. A Kempa ma to w jednym. Jakże musi to irytować dobrze zorganizowaną i stałą w poglądach Elżbietę Witek. Może przy okazji wywalanki, zwanej rekonstrukcją, odeślą Kempę do Ziobry? Na razie opowiemy najkrótszy dowcip o Kempie. „Ja myślę", powiedziała Kempa.

PRAWDA LEWANDOWSKIEGO (PAWŁA)

Za media w Ministerstwie Kultury itd. odpowiada Paweł Lewandowski, żartowniś z Fundacji Republikańskiej. I jak rasowy polityk „dobrej zmiany", widzi tylko to, co powinien. Gapą nie jest i wie, że to, co widzi, trzeba pochwalić, więc chwali TVP na potęgę. Dla Lewandowskiego „rząd jest bardzo tożsamościowym ugrupowaniem, nam zależy na misyjności". Nam też. Nie wiedzieliśmy jednak, że misja to: kłamstwa zwane teraz postprawdą, brednie wygłaszane przez pisowskich komentatorów, czyny haniebne, jak wyrzucenie Owsiaka itd. A gdzie tu jest żart? Żartem jest poszukiwanie przez Lewandowskiego & Company sposobu, by na to badziewie wszyscy musieli płacić abonament.

PROROK PRZYŁĘBSKI

Wredni ludzie chcą odwołać z placówki w Berlinie prof. Andrzeja Przyłębskiego. Męża mgr Julii Przyłębskiej. Najzabawniejszej sędzi w historii Trybunału Konstytucyjnego. A w roli prezesa TK szczególnie. Jesteśmy ostatnimi, którzy by głosowali za odwołaniem człowieka, który tak chętnie współpracował ze służbami PRL. A na dodatek proroczo wybrał sobie pseudonim Wolfgang, znakomicie pasujący do ambasadora w Niemczech. Wierzymy, że zmiana polityki PiS w stosunku do ludzi współpracujących z PRL nie jest tylko jednorazowym kaprysem. I tylko dla Przyłębskiego.

Przy okazji zmartwiło nas, że jeszcze w styczniu Przyłębski nie mówił prawdy tygodnikowi „wSieci". I to komu? Red. Semce.

TAKO RZECZE JAROSŁAW

Nowogrodzka wydaje krocie na ochronę prezesa. Ale potrzebna jest mu też pomoc językowa. Nie może przecież doktor praw mówić: „Jeśli mamy mieć tą wielką najjaśniejszą Rzeczypospolitą". Chyba ktoś w PiS wie, że poprawna jest tylko forma Rzeczypospolitej w celowniku i miejscowniku? Natomiast zarówno Rzeczypospolita w mianowniku, jak i Rzeczypospolitą w bierniku są formami błędnymi. A i forma tą nie uchodzi w towarzystwie. Odwagi, partyjni lingwiści. Może uda się poduczyć prezesa.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, DANUTA MATLOCH/MKiDN, YOUTUBE.COM

eprasa.pl 83cd815144

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

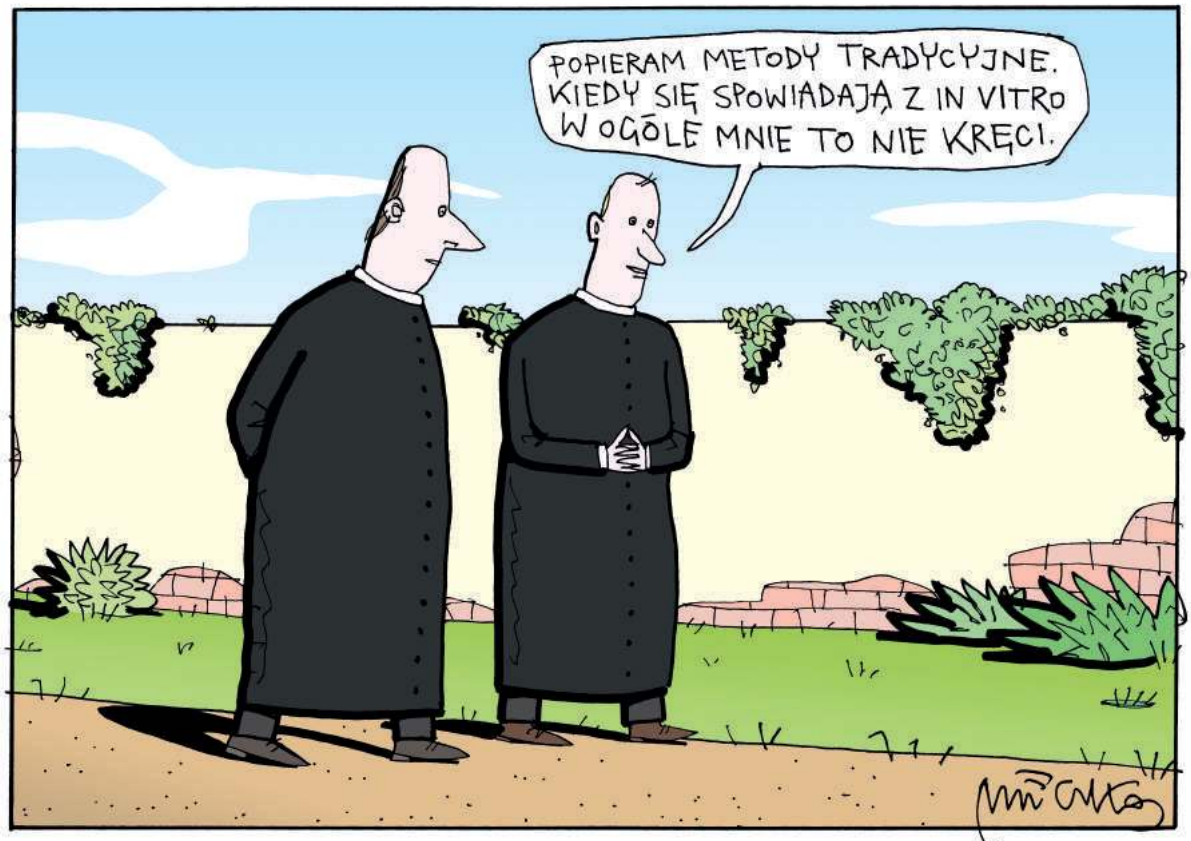

www.sklep.mleczko.pl www.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jakie są efekty Karty Dużej Rodziny?

JOANNA KRUPSKA, *prezes Związku Dużych Rodzin „Trzy Plus"*

KDR nie zmienia diametralnie położenia rodzin wielodzietnych i nie można tego od niej oczekiwać. Owszem, zostawia w ich portfelach 50-500 zł miesięcznie, co dla wielu jest znaczącą kwotą. Głównym efektem programu jest jednak zmiana świadomości społecznej. Jeszcze 10 lat temu o rodzinach wielodzietnych mówiło się w zasadzie tylko w kontekście polityki socjalnej. KDR zmienia tę perspektywę, pokazując, jak wiele jest takich rodzin, oraz dowartościowując ich pracę na rzecz społeczności lokalnych i państwa, polegającą na przygotowaniu do życia następnego pokolenia. Co więcej, lokalne karty jako pierwsze uniezależniły prawo do wsparcia od wysokości dochodów – jedynym kryterium jest wychowywanie określonej liczby dzieci – co utorowało drogę programowi Rodzina 500+. I wreszcie karta wyzwala dobrą wolę w stosunku do rodzin. Ma już ok. 1,8 tys. partnerów, którzy zdecydowali się rezygnować na ich rzecz z części swojego zysku.

DR RAFAŁ BAKALARCZYK, *Instytut Polityki Społecznej UW*

Idea jest słuszna. Natomiast jeśli chodzi o wykonanie, to w świetle wyników kontroli NIK z 2016 r. mimo ogólnie pozytywnej oceny programu przez uprawnione rodziny, ofertę należy ocenić jako zbyt skromną lub nieadekwatną do potrzeb. Część ubogich rodzin nie korzystała z karty, gdyż poziom ich dochodów był na tyle niski, że nawet po zniżkach nie były w stanie nabyć dóbr i usług nią objętych. Wydaje się, że ten problem dziś może być mniej dotkliwy, gdyż program 500+ radykalnie ograniczył ubóstwo rodzin. Wobec tego część wykluczonych zapewne będzie próbowała zaspokoić także swoje ponadpodstawowe potrzeby, a tu karta bywa pomocna. Warto jednak rozszerzać krąg miejsc, gdzie możliwe jest skorzystanie z niej. Poza tym sądzę, że niezamożne rodziny z jednym dzieckiem również powinny móc korzystać z podobnego wsparcia.

ŁUKASZ GÓRNIAK, *czytelnik PRZEGLĄDU*

Program nie jest złym pomysłem, jednak system zniżek i uprawnień jest za mało rozbudowany; zwłaszcza na prowincji jest pod tym względem naprawdę słabo. Zdecydowanie brakuje w nim dużych sieci handlowych, a w małych gminach posiadacze kart często nie mogą liczyć nawet na zniżki w miejscowych kinach czy na pływalniach. Przy tym część samorządów jeszcze przed wprowadzeniem KDR wdrożyła lokalne karty, z których mogą skorzystać wyłącznie mieszkańcy danej gminy. W mojej opinii zabrakło negocjacji rządu z dużymi partnerami. Temat zostawiono samorządom, a te rozwiązały go różnie, w mniejszych gminach z reguły słabo.

DR JACEK SZCZERBIŃSKI, *dyrektor Departamentu Pracy, Spraw Społecznych i Rodziny NIK*

Zakończona w ub.r. kontrola NIK wykazała, że karty dużej rodziny, wprowadzone na poziomie ogólnopolskim, a wcześniej lokalnym są potrzebnym, choć jedynie uzupełniającym instrumentem polityki rodzinnej. Jego skuteczność w odniesieniu do założonych celów – bezpośredniego wsparcia rodzin wielodzietnych, kreowania pozytywnego wizerunku wielodzietności, jak również umacniania funkcji rodziny wielodzietnej oraz zwiększania szans rozwojowych dzieci i młodzieży z tych rodzin – jest jednak zarówno w ocenie NIK, jak i adresatów tej pomocy ograniczona. Badania kontrolne w gminach oraz badania opinii publicznej wykazały, że oczekiwania rodzin w aspekcie finansowym, a w szczególności co do rodzaju oferowanych ulg, są rozbieżne z dostępną ofertą, co dotyczy przede wszystkim karty ogólnopolskiej. Utrudnieniami są również niewystarczająca informacja oraz konieczność korzystania z dwóch rodzajów kart.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 83cd815144

Media w Polsce
POLITYKA I PIENIĄDZE

Nazwisk dziennikarzy „Wiadomości" nawet nie znam, bo nie chcę zaśmiecać sobie mózgu pracownikami frontu ideologicznego

Rozmawia Robert Walenciak

ANDRZEJ SKWORZ

– redaktor naczelny miesięcznika „Press"

Kiedy słyszy pan określenie czwarta władza, ogarnia pana pusty śmiech, czy wpada pan w zadumę?

– Nigdy nie lubiłem tego sformułowania. Ono zapewnia dziennikarzom dobre samopoczucie i poczucie wpływu. A przecież od dawna jest mitem. Dziennikarze nie mają mocy sprawczej. I dobrze. Problem zaczyna się, gdy trzy pierwsze władze wszczynają wojnę i niszczą jedna drugą. A katastrofa zaczyna się, gdy ta tzw. czwarta władza do tego dołącza. Zresztą sędziowie i nawet podzieleni politycy opozycji w obecnym kryzysie zachowują się lepiej niż dziennikarze.

Dlaczego tak się dzieje?

– Daliśmy się politykom podzielić. Pracowaliśmy na to przez lata. Podziały w środowisku były zawsze, ale po roku 2010 dziennikarze sami się wprzęgli do rydwanów politycznych. Bardzo politykom pomogliśmy w rozgrywaniu dziennikarzy przeciwko sobie.

EMOCJE – TAK, ROZUM – NIE

My?

– Tak, centrowa, czy jak wolą prawacy – lewicowa strona dziennikarstwa. Zamiast zabrać się po katastrofie smoleńskiej do edukowania społeczeństwa, tłumaczyć, kto zawinił i na czym polegały wszystkie banalne błędy, jakie wtedy popełniono, poszliśmy w emocje. Dołączyliśmy do opłakiwania zabitych. To wtedy dziennikarze wykonali ogromną robotę na rzecz mitu smoleńskiego.

Bo podbijali emocje żałoby.

– Jeszcze po roku czytałem we „Wprost" Tomasza Lisa o smoleńskiej mgle i o tym, że nadal nie wyjaśniono wielu tajemnic katastrofy. A dla każdego pilota były one jasne kilka dni po wypadku. Zamiast z politykami o śmierci kolegów należało wtedy rozmawiać z pilotami, inżynierami, specjalistami od wypadków lotniczych. Tymczasem takie wywiady pojawiły się zdecydowanie za późno, wcześniej poszliśmy w emocjonalny cyrk.

> Daliśmy się politykom podzielić.

Podobnie było w sprawie Oleksego. Tu również media dały się ponieść emocjom, podgrzewały nastroje.

– Janina Paradowska zawsze twierdziła, że to był największy grzech polskiego dziennikarstwa. Nigdy z niego się nie rozliczyliśmy. Podobnie było ze sprawą utrąconej kandydatury Włodzimierza Cimoszewicza na prezydenta. Gdyby nie dziennikarze, nie byłoby tzw. sprawy Anny Jaruckiej. Potem wyszło na jaw, że wszystkie zarzuty były bujdą na resorach. Mamy mnóstwo takich grzechów na sumieniu. A nieopisanie Kiejkut?

Mówi pan o sprawie tajnych więzień CIA.

– Który dziennikarz w Polsce napisał o tym grubą książkę? Żaden! Czy ktoś prowadzi w tej sprawie jakieś dziennikarskie śledztwo? Polskim dziennikarzom myli się racja ich, dziennikarskiego stanu, z racją stanu państwa. A od chronienia tej drugiej nie jesteśmy my. Bo wtedy wychodzimy ze swej roli i nabieramy wody w usta. A my mamy gęgać jak gęsi kapitolińskie albo jak niewierni Tomaszowie wciskać swój paluch w bok i sprawdzać. Dlatego zastanawiam się, czy jest jakiś dziennikarz w Polsce, który tropi ewentualny wpływ Rosjan na naszego Twittera i wyniki wyborów w Polsce. Warto sprawdzić, czy jesteśmy jedynym krajem, którego to zaangażowanie Rosjan nie dotknęło podczas ostatnich wyborów prezydenckich i parlamentarnych. Jesteśmy, z bólem to mówię, potwornymi leniuchami.

ZA ZASŁUGI NALEŻY SIĘ POMOC

Dziennikarze wybrali obecność w stajniach politycznych. Dlaczego tak się stało?

– To jest jakaś choroba wieku młodzieńczego. Rośnie przekonanie, że gazeta lepiej się sprzedaje, gdy robimy ją dla wyznawców, a nie dla każdego. Ja w to nie wierzę. Przypadek „Gazety Wyborczej", która rok do roku straciła najwięcej spośród dzien-

eprasa.pl 83cd815144

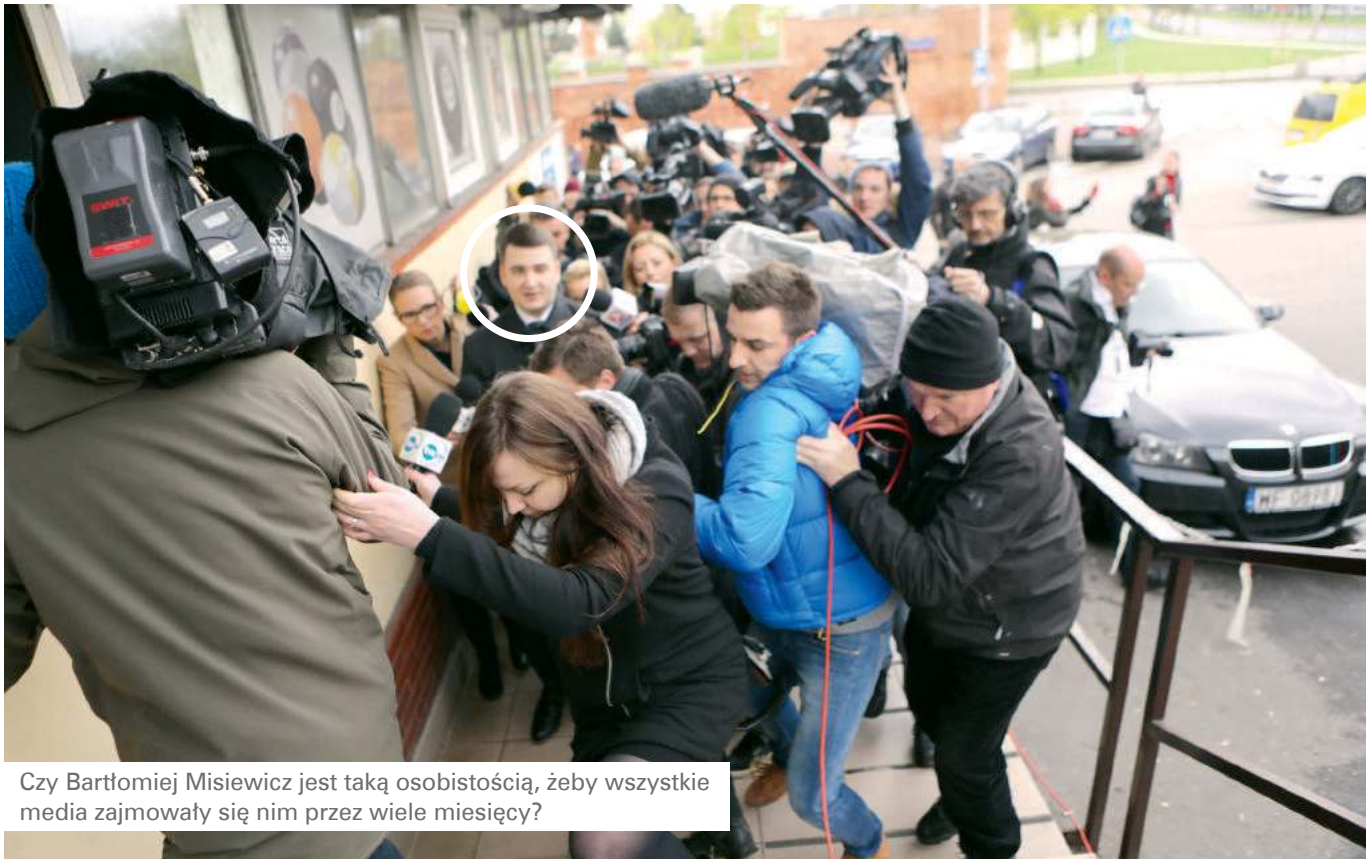

Czy Bartłomiej Misiewicz jest taką osobistością, żeby wszystkie media zajmowały się nim przez wiele miesięcy?

ników, nie tłumaczy się chyba tylko brakiem prenumerat z ministerstw i ze spółek skarbu państwa. W styczniu tego roku jej średnia sprzedaż wyniosła 118 tys. egzemplarzy. To dla mnie dowód, że spełnianie potrzeb integracyjnych nie jest najwyższym powołaniem dziennikarstwa. Lepiej byłoby rzetelnie informować.

Po roku 2010 dziennikarze sami się wprzęgli do rydwanów politycznych.

Ale „Gazeta Polska" cieszy się powodzeniem.

– „Gazeta Polska" cieszy się powodzeniem, a „Do Rzeczy" i „wSieci" cieszą się reklamami. Tak samo jak „Wprost", którego prezes wykonał już mnóstwo wiernopoddańczych fikołków i wręczył dziesiątki nagród politykom prawicy. Współczuję jego pracownicy od *public relations*, która musi to potem tłumaczyć. W dodatku „Wprost" sprzedaje się fatalnie. I chyba nie z powodu opisywanego w prasie promowania na stacjach benzynowych jednych gazet, a ukrywania drugich. Ale jest faktem, że prawa strona czerpie profity z obecnej sytuacji politycznej.

Dlaczego tak się stało?

– Wyczuli koniunkturę. Niewielka grupa dziennikarzy „Gazety Polskiej" oraz ta zgromadzona kiedyś wokół Tomasza Wołka konsekwentnie budowały swoje własne media. A potem przyszedł Jarosław Kaczyński i powiedział, że za zasługi przy stworzeniu klubów „Gazety Polskiej" oraz za to, że „pisaliście prawdę o zamachu w Smoleńsku", „wSieci" i „Do Rzeczy" należy się pomoc w postaci reklam.

Niektórzy im to wyliczają.

– Śmieszy mnie, że „Gazeta Wyborcza" wypomina reklamy „wSieci" i „Do Rzeczy", bo gdy ukazywały się w „Newsweeku Polska" czy w „Gazecie Wyborczej", dziennikarzom tych tytułów wcale to nie przeszkadzało. Teraz to podliczanie wygląda mało ciekawie.

12 MILIONÓW NA POCZĄTEK…

Od takich wyliczeń powinien być „Press".

– Owszem, liczyliśmy i pytaliśmy. Strasznie oberwaliśmy od prawicy, bo w domach mediowych na nasze pytanie, dlaczego „Newsweek Polska" ma reklamy, a „wSieci" nie – odpowiadano nam, że to nieintersujący target reklamowy. Agencje reklamowe tłumaczyły, że nie dają reklam w gazetach prawicowych, bo to się nie opłaca. Zmieniła się władza i z jakichś powodów zaczęło się opłacać.

To odkręcenie…

– Nie gadajmy o tej kasie. Niech sobie chłopaki radzą, kupują samochody, niech budują wille, obrosną w tłuszcz. Syty i zadowolony z siebie dziennikarz jest mniej żądny sukcesu od nienasyconego. Życzmy więc, by im się wiodło.

A o jakich pieniądzach mówimy? Jaką wartość ma rynek reklamowy w Polsce?

– Wciąż jest ogromny, to 7 mld zł. Jeśli „wSieci" w samym tylko 2015 r. miało 12 mln zł czystego zysku, a były to dopiero początki nowej władzy, to mówimy o pieniądzach, których normalna redakcja tej wielkości nie jest w stanie przejeść. Nawet gdyby otworzyła kilkanaście placówek dla korespondentów zagranicznych. Niestety, nie widać, żeby od tych pieniędzy dziennikarstwo prawicowe rosło. Jakoś brak w Grand Press czy konkursie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich doskonałych reportaży, nie widać nowych gatunków dziennikarskich i uda-

eprasa.pl 83cd815144

nych prawicowych śledztw. Chyba że w IPN, ale i z tym słabo. W prawicowych tygodnikach robią to, co robili wcześniej – piszą kolejne felietony. A to najłatwiejsze dziennikarstwo, pisane w nocy zza biurka, bo do nikogo nie trzeba dzwonić, wystarczy siąść i pobrudzić papier. Rozumiem, że gazeta ma kilku wybitnych publicystów, ale całe gazety składające się tylko z felietonów?

Oni mają poczucie oblężonej twierdzy.

– To jest dość zabawne, siedzisz w takiej twierdzy, dość luksusowej, masz za sobą poparcie władzy państwowej i jeszcze czujesz się osamotniony. Nie zapominajmy jednak, że w tym środowisku są potworne podziały. Jeśli ktoś chciałby zostać specjalistą od walk na prawicy, zapraszam na Twittera.

To nie jest spór ideowy. To spór o wpływy i o kasę. Największy dotyczy tego, z jakiego środowiska będzie szef TVP. Wojna toczy się więc o Kurskiego czy też o kogoś, kto go zastąpi. Dzisiaj Kurski to są Karnowscy, przede wszystkim… Dopóki więc „Gazeta Polska" nie przejmie fotela prezesa TVP, będzie gryzła i kopała. I nie da się zatrzymać tego procesu. Za daleko to zaszło. Mimo że tort jest tak duży. Ale telewizja to największy kawałek.

– TVP jest dziś w fatalnej sytuacji finansowej. Nieudolność Krzysztofa Czabańskiego jest już legendarna, zepsuł wszystko, co mógł, co chwilę ma nowe, bardziej księżycowe pomysły na abonament. A opór społeczny wobec tej opłaty będzie rósł, bo kiedy ludzie sobie pomyślą, że mają finansować te manipulacje w „Wiadomościach"…

I TAK DECYDUJE SZEREGOWY POSEŁ. TEN POSEŁ

Porozmawiajmy więc o mediach publicznych. O „Wiadomościach", które są lepsze od dawnego „Dziennika".

– Nazwisk dziennikarzy „Wiadomości" nawet nie znam, bo nie chcę zaśmiecać sobie mózgu pracownikami frontu ideologicznego. W sumie nawet sprawia mi satysfakcję, że znów stoję tam, gdzie stałem, a oni tam, gdzie stało ZOMO. Gdy słyszę, że sekretarz KC PZPR ds. propagandy Marek Król objaśnia w TVP Info, że były towarzysz i prokurator Stanisław Piotrowicz jest człowiekiem dbającym o dobro narodu, to mam poczucie, że świat wreszcie znormalniał. Wróciliśmy do swoich prawdziwych ról.

> Agencje tłumaczyły, że nie dają reklam do gazet prawicowych, bo to się nie opłaca. Zmieniła się władza i zaczęło się opłacać.

Że w 2017 r. mamy PRL?

– Ja znowu łażę na manifestacje, a Marek Król poucza mnie, że psuję państwo. Żal tylko zniszczonych mediów publicznych. Ta cała Rada Mediów Narodowych to jakiś ponury żart.

Rada Mediów Narodowych duplikuje Krajową Radę Radiofonii i Telewizji.

– Nie wiadomo, po co nam dwa ośrodki kontroli nad mediami, którą *de facto* sprawuje i tak szeregowy poseł. Ośmieszono ideę konkursów na stanowiska kierownicze. Brak już jakichkolwiek oczekiwań merytorycznych wobec szefów programów i zarządów spółek medialnych. Może poza wiernością. Są powoływani i odwoływani szybciej, niż zdążą sobie wydrukować wizytówki. Bo jedno trzeba PiS przyznać – jak ktoś im się w mediach nie sprawdza, nie jest dość sterowalny, to go natychmiast wymieniają. Co z tego, gdy w miejsce jednego nieudolnego zaraz powołują następnego.

Bardzo to lubią robić – wyrzucać.

– Dziennikarze z mediów publicznych są usuwani już nawet nie za poglądy, jak bywało w dawnych czasach, ale za brak czujności. Z TVP Kultura wyrzucono redaktorkę, która dopuściła do emisji film o agonii Chrystusa na krzyżu, w którym autor zadawał niewłaściwe pytania. Wyrzucona została przez tego samego dyrektora, który wcześniej w licznych wywiadach promował się jako otwarty człowiek. Widać, że jest nie tylko otwarty, ale i posłuszny. Wstyd. Z kolei z TVP 2 redaktorka wyleciała za to, że zapowiedziała spektakl „Klątwa". Jeśli to nie jest cenzura represyjna, to co nią jest? Tylko sepleniących i niepotrafiących zadać politykowi składnego pytania jakoś nie wywalają. Bawi mnie ta opowieść, że PO wyrzuciła z telewizji i radia chyba z 400 prawicowych dziennikarzy. Gdyby ich tylu w ogóle było, w „Wiadomościach" jako komentatorów nie oglądalibyśmy stale tych samych twarzy.

W TVP zawsze wywalano.

– Ale tych, którzy pracowali tam zawsze i byli zawodowcami, nie ru-

eprasa.pl 83cd815144

Gdyby Jarosław Kaczyński działał tak szybko, jak mówi, moglibyśmy już być w innej Polsce medialnej.

szano. To nie jest ten przypadek, ale jakoś Justyna Karnowska przeczekała w TVP czasy Juliusza Brauna i nikt jej nazwiska ani męża nie wypominał, a pensji nie zabierał. Co więcej, mogła robić program ABC i podobno za ten program ma być teraz nominowana na wicedyrektora TVP 1, gdy wróciło nowe. Teraz PiS czyści kadry do spodu, tylko jakoś nie słychać o przyjmowaniu tych wyrzuconych przez Brauna do LeasingTeamu. Nowi przyszli z Telewizji Trwam i Telewizji Republika. „Wiadomości" to teraz tuba propagandowa, a to powoduje spadek oglądalności. *De facto* odebrano Polakom media publiczne.

„wSieci" w 2015 r. miało 12 mln zł zysku. Nie widać, żeby od tych pieniędzy dziennikarstwo prawicowe rosło.

Teraz nadchodzi pora na odebranie tych innych…

– Nastawienie polskich polityków do dziennikarzy – niezależnie czy Millera, czy Tuska, czy Kaczyńskiego – było zawsze takie samo. Ja rządzę, a wy mnie tu dobrze opisujcie. Jeśli dziennikarze źle pisali, to była wina ich, a nie moja. A władcy zawsze przecież mogą zasugerować, gdzie należy dawać reklamy, porozmawiać z właścicielami mediów o zmianie naczelnego czy zasugerować, żeby nie mówiono i pisano a to o pijaństwie w Charkowie, a to, że przyszedł Rywin do Michnika. Przez lata tak było. Niestety, sami dziennikarze, nie żądając dobrego prawa prasowego, nie wykazując śladów zawodowej solidarności, pluli sobie do zupy.

POŁOŻĄ ŁAPĘ NA INNYCH GAZETACH?

Kolejny problem to tzw. repolonizacja, którą zapowiada PiS.

– Dla zasady nie robiłbym z tego problemu, bo nie jest normalne, że wszystkie gazety regionalne w kraju ma tylko jeden właściciel. Ale PiS przecież nie chce repolonizować ani nawet demonopolizować mediów. Chodzi tylko o to, by samemu przejąć ten monopol w gazetach regionalnych. Przyda się przed wyborami samorządowymi.

Za pieniądze spółek skarbu państwa powołana zostanie spółka – pewnie ją nazwą Narodowe Media Regionalne albo podobnie – która wykupi te gazety.

– Na szczęście, na końcu tej drogi jest potknięcie się o własne nogi. Polacy nie kupują propagandy, jakoś nie dajemy się nabrać na sukces 27:1. W dodatku jest jeszcze internet. No i należy się cieszyć, że są tu również media zagraniczne i ich zagraniczni właściciele. Przypomnijmy sobie, jak jeszcze niedawno wyglądały „Wydarzenia" Polsatu, gdy szefowała im Dorota Gawryluk. Były dni, gdy w krytyce opozycji ścigali się z „Wiadomościami". Na szczęście Zygmunt Solorz już czuje, że uległość nie jest najlepszą metodą na PiS. Mówię na szczęście, bo gdyby Jarosław Kaczyński działał tak szybko, jak mówi, moglibyśmy już być w innej Polsce medialnej. Próby odebrania koncesji Tok FM, a nawet TVN czy Polsatowi jakiś czas temu nie wyglądały na nieprawdopodobne.

Zamiary ma, ale brakuje sił.

– Pamiętam wywiad, w którym Jarosław Kaczyński zapowiadał, że jeśli nie da się przeprowadzać reform metodami parlamentarnymi, to będą się odwoływać do wieców ulicznych. Tylko że KOD te ulice im odebrał. Dziennikarze zostali wyrzuceni z Sejmu, po czym tam wrócili. W Trybunale Konstytucyjnym wygląda to skandalicznie źle, bo nadal są tam kamery przemysłowe, które udają te zwykłe telewizyjne, ale już w Sejmie da się pracować. Widać, że społeczeństwo ma wpływ na szybkość schodzenia tej lawiny.

Mniej będą mówić, a będą dusić. Kaczyński media będzie traktował priorytetowo. Bo z ostatnich wydarzeń PiS wyciąga takie wnioski, że opozycja ma za wiele tub do głoszenia, więc trzeba je odebrać. Napędzają takie myślenie dziennikarze z prawej strony.

– Dlatego niepokoi mnie, gdy słyszę, że emisariusze PiS byli w „Rzeczpospolitej", u właściciela „Dziennika Gazety Prawnej", w grupie Polska Press czy w Ringier Axel Springer, by wysondować, które media da się wykupić.

Nieudolność Krzysztofa Czabańskiego jest legendarna, zepsuł wszystko, co mógł.

„Rzeczpospolitą" ma przejąć pan Zysk.

– Najpierw zobaczymy, czy Grzegorz Hajdarowicz będzie chciał ją sprzedać. Wątpię. Jeśli dotąd nie uległ koncernowi Ringier Axel Springer, choć straszą go dalszymi stratami, jeśli świetnie zachowują się właściciele i pracownicy TVN, to można mieć nadzieję, że Węgry nie pojawią się nad Wisłą tak szybko, jak nam zapowiadano. To dobrze, że Polska ma na Zachodzie przyjaciół. Choć z naszymi problemami musimy sobie poradzić sami.

CZY STWORZYMY DOBRY PROJEKT?

A nie przeszkadza panu list prezesa Axel Springer do dziennikarzy?

– Jasne, że przeszkadza. Choć potrafię zrozumieć, że gdy to pisał, pewnie miał w głowie nie dyspozycje dla dziennikarzy „Faktu" w sprawie tego, co mają dać w najbliższym numerze, ale raczej było to takie „uff…" człowieka, któremu spadł kamień z serca, że jego Europa jeszcze nie zginęła. Choć, oczywiście, dziennikarze nie powinni być adresatami

eprasa.pl 83cd815144

tych zwierzeń. Tyle że to, w jaki sposób media prawicowe wykorzystały potem to wydarzenie, było już czystą manipulacją.

Wierzy pan, że w Polsce będzie normalne dziennikarstwo? Da się stworzyć prawdziwe media publiczne?

– Oczywiście, że się da. Tylko że nie zrobią tego za nas politycy ani z lewej, ani z prawej strony. Bo i PO, i PiS do niczego niezależnych mediów nie potrzebowały.

A to politycy muszą taką ustawę napisać…

– Nie ufam politykom. To strona społeczna musi stworzyć dobrą ustawę medialną i przekonać, że ona się opłaca nam wszystkim, także politykom. Nie wolno zaorać mediów publicznych. Są potrzebne – zwłaszcza w kraju takim jak Polska. Krzywo patrzyłem na teksty Jana Nowaka-Jeziorańskiego i Jerzego Giedroycia, którzy napisali nam wstępy do książki „Media w Polsce w XX wieku", a w nich przekonywali, że dziennikarze mają za cel edukowanie społeczeństwa zdziczałego po czasach wojny i komunizmu. Byłem tymi słowami zdumiony, uważałem, że to w ogóle nie jest nasze zajęcie! Nie miałem racji. Musimy edukować społeczeństwo, choć nie możemy go pouczać. Prawica się dziwi, że spadamy w światowym rankingu wolności słowa, ale przecież nie ma co mówić o pełnej wolności słowa, gdy z TVP Info wyrzuca się pięć osób za niezdjęcie z anteny transmisji manifestacji KOD, a w radiowej Trójce zawiesza się serwisantki, bo nie piszą takich newsów, jakie podobają się dyrektorowi.

Tak się traktuje dziennikarzy.

– Przypomnijmy sobie ten najbardziej ponury moment w historii mediów po dojściu PiS do władzy, gdy na stadionie Legii kibole wywiesili napis kończący się słowami: „GW, Lis, Olejnik i inne ladacznice – dla was nie będzie gwizdów, będą szubienice" i nie było żadnych przeprosin, a prokuratura umorzyła śledztwo. To do dziś mną wstrząsa. Teraz więc podstawowa rzecz, którą powinniśmy robić jako dziennikarze, to zacząć rozmowy o przyszłych zasadach funkcjonowania niezależnych mediów, w tym prawdziwie publicznych. Jeśli tego nie zrobimy sami, nie stworzymy dobrego projektu i nie przekonamy do niego ludzi, to pewnego dnia obudzimy się, gdy będzie za późno. Przyjdą politycy i – jak zawsze – zrobią swoje.

Robert Walenciak

Jeśli sami nie stworzymy dobrego projektu mediów publicznych, to pewnego dnia obudzimy się za późno.

Nie jestem prorokiem we własnym kraju. Słuchając od czasu do czasu Radia Maryja w jego początkach, wcale nie obawiałem się, że odegra ono znaczącą rolę w polskiej polityce. Podziwiałem nawet ks. Rydzyka za zręczność, z jaką manipulował swoimi słuchaczami, mimo że poza tym wydawał mi się postacią trochę komiczną, jak sprzedawca fałszywych lekarstw w westernie. Co więcej, widziałem nawet pewne uzasadnienie dla reakcyjnego radia dającego satysfakcję psychologiczną tej części społeczeństwa, która była zaszokowana dokonującą się rewolucją postmodernistyczną w obyczajowości. Wolałbym, żeby ta reakcja wychodziła z kręgów bardziej kulturalnych, opierających się na tradycjach oświeceniowych, ale takie kręgi w Polsce mają rozmiary towarzyskie w najlepszym razie i stanowią rodzaj emigracji wewnętrznej.

Krótko ujmując rzecz skomplikowaną, ta rewolucja kulturowa (obyczajowa, moralna) polega na wyparciu Marksa przez Freuda, ale Radio Maryja jest albo tak głupie, albo cele ma tak pokrętne, że nie odróżnia tych dwóch proroków i zapewnia swoich odbiorców, że nadal nie masz wroga ponad Marksa. Nieustająco go ekshumuje, żeby z nim nieustająco walczyć, nazywając jego imieniem rewolucję seksualną, ideologiczną walkę płci i co tam jeszcze rewolucja postmodernistyczna niesie. Jednym słowem „precz z komuną". Tym hasłem wrzeszczą na siebie także obie główne partie postsolidarnościowe.

Głoszenie przez księży z tego radia ewangelicznych zasad miłości, miłosierdzia i innych bogobojności oraz razem z nimi fałszywych wiadomości i oszczerstw, wzywanie do karania nie wiadomo za co, przy czym zarówno Ewangelia, jak fałszywe oskarżenia głoszone są z pianą na ustach, wszystko to jest tak przesadne, tak nieprawdopodobne, tak niespotykane, że człowiek nie wie, czy ma się bać, czy śmiać. Humorystyczna strona tego przekazu jest puklerzem chroniącym tych duszpasterzy przed poważną krytyką.

Już nikomu nie jest do śmiechu, formacyjna praca tej placówki dała wyniki, które długo będą żyły własnym życiem.

Miałem niedawno okazję porozmawiać z paroma stałymi, wierzącymi, oddanymi słuchaczami tego

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (3), STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

eprasa.pl 83cd815144

Bez uprzedzeń

Bronisław Łagowski

LUD BOŻY KONTRREWOLUCYJNY

radia, także fanatycznymi zwolennikami partii obecnie rządzącej. Pytam, jaki jest ich stosunek do zmian własnościowych – prywatyzacji i reprywatyzacji. Prywatyzując, państwo otrzymuje pieniądze, reprywatyzując, traci pieniądze (patrz czartoryska dama z łasiczką). Mieszkający na wsi chłoporobotnik, teraz emeryt, bardzo wygadany przeklina prywatyzację najgorszymi słowami i zionie nienawiścią do Lewandowskiego, który powinien siedzieć, a jeszcze lepiej wisieć, i tego ostatniego sam byłby gotowy dokonać. Jeśli chodzi o reprywatyzację, pogląd ma odmienny, zróżnicowany, zależny od tego, kto reprywatyzuje i na czyją korzyść. Jeśli reprywatyzuje pani Gronkiewicz-Waltz, to jest to tak samo karygodne jak prywatyzacja Lewandowskiego (i Millera – dodaje), ale zasadniczo, co komuna zabrała, powinno być oddane spadkobiercom. Pałace jak najbardziej, ziemia z reformy rolnej również, nie rozumie, dlaczego to oddawanie tak się wlecze. Komuna zniszczyła dworki, to wielka zbrodnia bolszewicka. Dwory były ostoją polskości, kwitło tam życie kulturalne, zbiory sztuki zgromadzone przez wieki. Przerywam deklamację – bo to była deklamacja rzeczy setki razy słyszanej – i dziwię się, że chłop ma takie poglądy. Mówię, że chłopi byli przed wojną przeciwnikami dworów. A nieprawda – odpowiada chłop radiomaryjny – jakby byli przeciwnikami, toby w bitwie warszawskiej (1920) stanęli po stronie bolszewików, a nie zrobili tego. Ja słucham, a on się coraz bardziej rozgrzewa i ciągle wraca do dworków. Żadnego dworku nigdy nie widział i nie wiedział, w jakiej wsi był dworek, ale komunie tych dworków nie daruje. Może bym tego zacietrzewienia małopolskiego chłopa nie zapamiętał, gdyby nie to, że spotkałem się z takim zafascynowaniem dworkami i życiem, podobno pełnym uroku, jakie się w nich toczyło, u prawicowo zaangażowanych studentów. Nie u mnie, lecz u kolegi jeden z nich koniecznie chciał pisać pracę magisterską o dworkach. Można się domyślać, że Radio Maryja prowadziło jakąś przebiegłą edukację, posługując się nostalgią dworkową. Mój rozmówca miał bardzo szerokie zainteresowania historyczne, wiedział bardzo wiele, choć nie ściśle o Grodach Czerwieńskich i o tym, kiedy Wrocław był polski, i wiele innych rzeczy. Dlaczego Churchill razem z ruskimi zamordował gen. Sikorskiego? Ponieważ Sikorski wywodził się z inteligencji i miał szlachetny wygląd, a Churchill pochodził z nizin społecznych… Notuję to, ponieważ nieraz spotykałem się u chłopów zwolenników PiS z pogardliwym stosunkiem do „nizin społecznych". Sojusz pisowsko-chłopski jest jednym z najdziwniejszych zjawisk w obecnej polityce.

Co jeszcze warto odnotować z edukacji radiomaryjnej: największy mąż stanu to Macierewicz, bo „wypędził moskiewskich generałów", i drugi, także największy, to Kukliński, bo uratował Europę przed sowieckim najazdem.

Sojusz pisowsko-chłopski jest jednym z najdziwniejszych zjawisk w obecnej polityce.

Mój rozmówca bynajmniej nie był prostakiem, teraz już kompletnie zapeklowany w pisowszczyźnie i radiomaryjności, kiedyś musiał być ciekawy świata i spraw politycznych. Teraz już wszystko wie, na każde słowo sprzeciwu odpowiada: bolszewicy, komuna, Geremek, Miller, Katyń, no i za wszystkim, co się nie powinno zdarzyć, a się zdarza, stoją rosyjskie służby specjalne. Mój rozmówca był wyjątkowy tylko pod względem elokwencji, ale jego poglądy i system kojarzenia faktów są właściwe dużej części Polaków.

Warto zatrzymać uwagę na tym problemie: jakiego natężenia przemocy symbolicznej w naszej „liberalnej demokracji" było trzeba, żeby chłopom i mieszkańcom blokowisk zaszczepić pogardę dla „nizin społecznych" i skłonić ich do utożsamienia się z dworami, które przez wieki uciskały ich przodków i nimi poniewierały.

POLSKA CHORA NA ROSJĘ
Bronisław Łagowski
Książkę można kupić, wpłacając na konto wydawcy PRZEGLĄDU 48 zł oraz podając dokładny adres (z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona.
Dane do przelewu: Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7;
nr konta 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

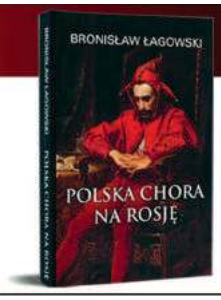

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 83cd815144

MOBBING I MEDYCYNA

Konflikt personalny w olsztyńskim szpitalu MSWiA zagroził istnieniu oddziału hematologii

Marek Książek

Dr Waldemar Kulikowski wytoczył szpitalowi proces o zadośćuczynienie z tytułu mobbingu.

Dr Waldemar Kulikowski wylicza, że na skutek złego traktowania podwładnych przez panią ordynator w ciągu ostatnich lat odeszło z oddziału aż 13 osób. W tym czterech rezydentów, czyli młodych lekarzy w trakcie specjalizacji.

– Ja sam leczę się psychiatrycznie, od dłuższego czasu przebywam na zwolnieniu, ostatnio wróciłem z sanatorium w Gołdapi – opowiada 38-letni dr Kulikowski, specjalista hematologii i chorób wewnętrznych. Sanatoryjny lekarz potwierdził u niego depresję i zaburzenia snu, co miało wynikać z wieloletniego mobbingu w miejscu pracy. Pobyt w sanatorium przyniósł poprawę stanu psychicznego Kulikowskiego na tyle, że spojrzał na swoje problemy z innej perspektywy.

PANI ORDYNATOR KRZYCZY

– Już samo wypowiedzenie umowy o pracę w poliklinice spowodowało, że do sprawy nabrałem dystansu – podkreśla. Tak samo jak co najmniej kilkoro innych lekarzy, którzy już w tym szpitalu nie pracują. W tym dwie lekarki specjalistki z zakresu hematologii, które razem z Waldemarem Kulikowskim ten oddział tworzyły w październiku 2012 r. Na jego czele stanęła dr Wanda K.-P. z Gdańska, lekarka z kilkoma specjalizacjami, ale bez doświadczenia w kierowaniu zespołem. Początkowo współpraca z podwładnymi układała się poprawnie. Podstawowa kadra medyczna liczyła tylko cztery osoby, ale dochodzili lekarze z onkologii. Pierwsze spięcia zaczęły się u progu 2013 r.

– Najpierw skupiła się na swej zastępczyni. Ignorowała ją, a na porannych odprawach sugerowała, że ma ona problemy psychiczne i rodzinne. Nie stanąłem w obronie koleżanki, bo sam mógłbym mieć kłopoty, a w tym czasie robiłem specjalizację. Potem złe zachowanie pani ordynator dotknęło i mnie, i innych lekarzy oddziału – wspomina dr Kulikowski. Jego zdaniem wynikało to z charakteru dr Wandy K.-P., ale także z poczucia zagrożenia na stanowisku ordynatora.

– Obawiała się chyba, że zastępczyni chce ją wygryźć, ja jej pomagam, a koleżanka jest na tyle naiwna, że wspiera nas, nie widząc prawdziwych intencji – konstatuje dr Kulikowski. Wymienia przykłady zachowania pani ordynator: wybuchy agresji, krzyczenie na lekarzy podczas porannych odpraw, pomawianie w obecności kolegów i pacjentów o brak wiedzy i umiejętności, o błędne decyzje terapeutyczne, a nawet o zaburzenia psychiczne. Gdy któregoś dnia Kulikowski zauważył, że dyżur w poradni będzie pełnił bez zapłaty za nadgodziny, dr Wanda K.-P. miała mu wypomnieć podniesionym głosem, że godziny nadliczbowe wynikają z nieudolności lekarza, który za długo zajmuje się pacjentami.

– Ale czasami po scysji na odprawie podchodziła i obejmowała mnie, aż mi było głupio wobec innych. Wielokrotnie też dzwoniła do mnie i wysyłała esemesy lub mejle, zapraszała do siebie i wpraszała się do mnie, sugerując wspólne spędzenie wolnego czasu. Nie godziłem się na taką zażyłość, bo mieszkam z partnerką – opowiada Waldemar Kulikowski. Nie wiadomo, czy gdyby przystał na te propozycje, współpraca zawodowa z przełożoną ułożyłaby się lepiej. Inna podwładna, dr Ewa T. przyjmowała początkowo zaproszenia pani ordynator, ale i tak w końcu odeszła z pracy w szpitalu.

KOMISJA ZA KOMISJĄ

Skalę nieporozumień powiększał brak współpracy na polu naukowym. Hematolog wymienia w pozwie podłączanie się pani ordynator do jego badań i przypisywanie sobie autorstwa jego prac specjalistycznych. Dr Wanda K.-P. miała też utrudniać mu udział w szkoleniach, konferencjach i wyjazdach służbowych.

Dzisiaj te zarzuty powracają w procesie o zadośćuczynienie z tytułu mobbingu, wytoczonym szpitalowi przez Waldemara Kulikowskiego. Pierwsza rozprawa w sądzie pracy odbyła się 30 marca. W czasie składania zeznań jedna z młodych lekarek przypomniała, że konflikt przekroczył masę krytyczną na początku 2014 r., kiedy rezydenci zdawali egzaminy na specjalizację i reszta lekarzy była obciążona pracą ponad miarę. Dr Kulikowski postawił wówczas wniosek, że trzeba ich pracę inaczej zorganizować, co nie było w smak pani ordynator. Kiedy więc rezydenci wrócili po egzaminach, dr Wanda K.-P. odwróciła kota ogonem i powiedziała im, że to doktor Kulikowski obarczał ich winą za obciążenie pracą reszty lekarzy. Innym razem zeznająca lekarka (pracująca teraz na innym oddziale) uciekła z dyżurki, aby nie słyszeć łajania kolegi przez panią ordynator.

Sytuacja na oddziale pogorszyła się tak bardzo, że trójka lekarzy napisała skargę do dyrekcji. W 2015 r. powołano pierwszą komisję antymobbingową, która jednak nie rozpoczęła nawet

eprasa.pl 83cd815144

pracy, bo strony konfliktu doszły do porozumienia. Dziś Kulikowski twierdzi, że było to porozumienie wymuszone, zwłaszcza że pomijało ono skargę jego dwóch koleżanek.

Stan zawieszenia był kruchy, znów doszło do spięć, więc niebawem sprawą zajęła się druga komisja. Jak wspominała w sądzie jej przewodnicząca, lekarz anestezjolog, komisja zastosowała nawet klauzulę poufności, aby przesłuchiwani wypowiadali się szczerze i bez obaw. I tak się stało. Jedynie pani ordynator „była rozchwiana emocjonalnie" – jak określiła to szefowa komisji – odpierając jednak wszystkie zarzuty i obwiniając Kulikowskiego o nękanie jej mejlami oraz rozpowszechnianie obraźliwych informacji na jej temat. W trakcie przesłuchań pojawiły się inne nazwiska, także pielęgniarek, i listę świadków rozszerzono. Wniosek: sytuacja na oddziale jest dramatyczna. Komisja uznała, że pani ordynator naruszyła kodeks etyki lekarskiej i ówczesny dyrektor szpitala Marian Stempniak zasugerował odwołanie pani ordynator po to, aby utrzymać lekarzy rzadkiej, trudnej i ważnej specjalizacji. Potwierdził to na rozprawie inny członek komisji, dodając jednak, że dyrektor nie mógł zwolnić dr Wandy K.-P., bowiem jej kontrakt nie wymieniał mobbingu jako powodu wypowiedzenia umowy o pracę. Dyrektor mógł jedynie nakłonić ją do dobrowolnego odejścia. Ale kilka dni po tej deklaracji to dyrektor Stempniak i jego zastępca zostali odwołani ze stanowisk (Marian Stempniak nie wiąże tego z samym konfliktem, choć nie wyklucza, że mogło to mieć wpływ na decyzję organu prowadzącego poliklinikę). Zdążył jedynie, dla uspokojenia sytuacji, przenieść tymczasowo trójkę lekarzy będących w konflikcie z ordynator na oddział onkologii.

WSZYSTKO PRZEZ STRES?

Faktem jest jednak, że dyrektorów odwołano dzień po tym, jak dr Wanda K.-P. została poinformowana o wynikach pracy komisji antymobbingowej. Ona sama zebrała podpisy personelu pod listą poparcia dla swojej pracy i – nie zgadzając się z protokołem komisji – wniosła o bezstronne i obiektywne rozpatrzenie jej odwołania. Jej wniosek przyjęła już prof. Jadwiga Snarska, nieco ponad trzy miesiące pełniąca obowiązki dyrektora placówki. W październiku zeszłego roku na stanowisko dyrektora powołano Krystynę Futymę, która co prawda ze szpitalami nie miała nic wspólnego, ale „dobra zmiana" zapewniła jej pracę po rozwiązaniu Ministerstwa Skarbu Państwa.

W tym czasie dr Kulikowski, nie widząc rezultatów pracy komisji antymobbingowej, zwrócił się do Okręgowego Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej Warmińsko-Mazurskiej Izby Lekarskiej. Ten jednak odesłał skargę do Gdańska, bo dr Wanda K.-P. podlegała tamtejszej Izbie. Gdański rzecznik wszczął postępowanie wyjaśniające, ale umorzył je już na początku tego roku. Uznał, że do konfliktu doszło z winy obu stron, które „obowiązują te same zasady zachowania w związku z wykonywaniem zawodu lekarza".

Z oddziału hematologii w ciągu ostatnich lat odeszło aż 13 osób.

Co prawda, dr Wanda K.-P. naruszyła dwa paragrafy Kodeksu etyki lekarskiej, ale to za mało, aby ją odwołać z funkcji ordynatora. Waldemar Kulikowski napisał zażalenie na to postanowienie i pewnie temat będzie wracał.

Na razie zaczął się długotrwały przewód sądowy. Na drugą rozprawę zaplanowaną na 1 czerwca sąd wezwał kolejnych dziewięciu świadków. Nie ma wśród nich ani przedstawicieli byłej i obecnej dyrekcji, ani samej dr Wandy K.-P. Autorowi tego tekstu, mimo wielokrotnych prób, nie udało się nawiązać z nią kontaktu, nie odpowiedziała też na pytania wysłane pocztą elektroniczną.

Za to dyrektor szpitala Krystyna Futyma za powód trudnej sytuacji personalnej na oddziale hematologii uważa stres wynikający z jego specyfiki. Są tam często hospitalizowani pacjenci chorzy onkologicznie, w tym ludzie młodzi z zaawansowaną chorobą nowotworową, co „w sposób znaczący obciąża pracujący tam zespół". Szczególnie młodych ludzi, bowiem „terapia niejednokrotnie nie kończy się sukcesem". Jednak – zdaniem pani dyrektor – oddział wywiązuje się ze swoich obowiązków, a na dodatek kształcą się tam studenci medycyny.

Tymczasem w styczniu tego roku do prezesa Izby Lekarskiej w Olsztynie trafiła skarga czwórki rezydentów z tego oddziału na problemy organizacyjne związane z programem szkolenia specjalizacyjnego. Ich pismo spotkało się z ripostą czwórki lekarzy, w tym pani ordynator. Komisja etyki lekarskiej olsztyńskiej Izby uznała jednak racje młodych medyków.

Konflikt na hematologii nie jest jedynym w poliklinice. Komisja antymobbingowa zajmowała się podobnymi przypadkami na radiodiagnostyce, w ambulatorium i administracji. Szpital MSWiA w Olsztynie jest największym ośrodkiem w województwie zajmującym się leczeniem chorych na raka. Każdy oddział jest tam ważny i u lekarzy wszystkich oddziałów występuje jakiś stres. Na klinicznym oddziale onkologii, chirurgii urazowej czy w szpitalnym oddziale ratunkowym nawet większy niż na hematologii. ■

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Zwraca się do Państwa z prośbą
o wsparcie działalności naszej organizacji
poprzez przekazanie na konto SDRP

SDRP

1% podatku dochodowego.

Każda wpłata to Państwa wsparcie funduszu pomocy
naszym Koleżankom i Kolegom znajdującym się w trudnej sytuacji.

Wystarczy wpisać w PIT-36 lub PIT-37 w sekcji „wniosek o przekazanie
1% podatku na rzecz Organizacji Pożytku Publicznego" nazwę:

Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej
Zarząd Główny - Nr KRS: 0000043110

Liczy się każda wpłata. Za każdy gest dobrej woli serdecznie dziękujemy.

FOT. MAREK KSIĄŻEK

eprasa.pl 83cd815144

WOJSKO – CHAOS I SABOTAŻ

Czym grozi niesprawdzony system obrony państwa, widzieliśmy we wrześniu 1939 r.

Gen. JANUSZ BRONOWICZ

Rozmawia Marek Barański

– Wojsko pamiętam od szóstego roku życia. Ojciec był podoficerem w pułku przeciwlotniczym w Zgorzelcu i w lipcu-sierpniu zabierał mnie na poligon. Dla mnie była to wielka atrakcja, tym bardziej że najczęściej pułk jeździł na strzelania nad Bałtyk, do Wicka Morskiego.

Na ostatnim stanowisku odpowiadał pan m.in. za wyszkolenie wojsk lądowych.

– To jest główny sens naszego wojskowego życia w czasie pokoju. Szkolenie, czyli przygotowanie struktur organizacyjnych, żołnierzy, jednostek wojskowych do działania na współczesnym i przyszłym polu walki.

Odchodzi pan u szczytu kariery, to nie jest naturalne.

– Podobną sytuację już raz przeżywałem. Za ministra Szczygły. To za jego czasów nastąpiła największa czystka wśród generałów i oficerów, którzy byli po studiach zagranicznych. Jako młodzi faceci byliśmy kierowani na uczelnie do Moskwy, Kijowa, Drezna, Brna, Budapesztu – w zależności od specjalności. Mnie, w nagrodę za bardzo dobrze zdane egzaminy wstępne na ówczesną Akademię Sztabu Generalnego, razem z dwoma innymi oficerami skierowano do prestiżowej akademii wojskowej w Moskwie, wówczas jednej z najlepszych.

To był główny powód tych prześladowań…

– …jakbyśmy mieli jakikolwiek wpływ na to, dokąd chcemy pojechać na studia.

Dokonania pana Szczygły w usuwaniu z wojska oficerów wyszkolonych w PRL poszły dziś w zapomnienie, utopione w smoleńskiej mgle. Ale faktycznie pan Macierewicz jest w tej dziedzinie raczej epigonem niż prekursorem.

– Tak. Niestety, muszę jednoznacznie powiedzieć, że to był (i jest dzisiaj) rodzaj zemsty zbudowanej na insynuacjach, że każdy, kto kończył studia na

Gen. dyw. rez. JANUSZ BRONOWICZ

Jako prymus ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu. Przeszedł wszystkie żołnierskie szczeble – od najniższego. Ukończył Studia Polityki Obronnej. Był dowódcą 11. Brygady Zmechanizowanej w Żarach, 21. Brygady Strzelców Podhalańskich w Rzeszowie, 16. Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej w Elblągu. Dowodził polskim kontyngentem na Wzgórzach Golan oraz polskimi żołnierzami w Afganistanie. Był w grupie organizacyjnej Dowództwa Generalnego, a gdy powstało, został inspektorem Wojsk Lądowych. Odszedł do rezerwy na pięć lat przed nominalnym wiekiem zakończenia służby. Służył łącznie 36 lat.

eprasa.pl 83cd815144

zagranicznych uczelniach, jest szpiegiem i nie służy ojczyźnie. Zarzuca się nam, że składaliśmy przysięgę Związkowi Radzieckiemu. Nieprawda. Przysięgaliśmy – tak jak i teraz – narodowi, ojczyźnie, rządowi Rzeczypospolitej Polskiej. Był też zapis: „Stać nieugięcie na straży pokoju w bratnim przymierzu z armią radziecką i innymi sojuszniczymi armiami". To było jedyne zdanie mówiące o tym, że stoimy na straży pokoju wespół z wszystkimi armiami Układu Warszawskiego.

Jakby ktoś zapomniał, to przypomnijmy, że Polska była wtedy w Układzie Warszawskim, a nie w NATO.

– My, „żołnierze w brązowych butach", nigdy Polsce się nie sprzeniewierzyliśmy. Zawsze jej tylko służyliśmy, jej dochowaliśmy wierności.

Wojsko przez lata było wielkim niemową. Dopiero ostatnio odchodzący masowo generałowie zaczęli mówić. Wspólnym mianownikiem waszych publicznych wystąpień jest zwrot „bezpieczeństwo państwa". Czy jest ono rzeczywiście aż tak bardzo zagrożone, że uderzacie w dzwon na trwogę?

– Wojsko nadal jest niemową. Ci, którzy są w mundurach, milczą. Natomiast po raz pierwszy w takiej formie i skali zaczynają zabierać głos byli wojskowi.

Dlaczego pan to robi?

– Bo dla mnie, zawodowego żołnierza, 36 lat w sużbie, jest rzeczą niespotykaną obecny sposób i zakres „naprawiania" armii. Dowódca generalny w połowie swojej kadencji oświadcza publicznie, że rezygnuje ze stanowiska, bo nie ma możliwości wywiązania się z obowiązków, czyli przygotowania wojsk do obrony ojczyzny. I po czymś takim jest cisza! To jest rzecz niesłychana, to się w głowie nie mieści!

Mówimy o gen. Mirosławie Różańskim, byłym już dowódcy generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych.

– Tak. I nic się dzieje! Pan prezydent pisze list do pana ministra obrony narodowej, po tygodniu się spotykają, a na koniec pan prezydent wydaje komunikat, że jest uspokojony.

To czym pan się denerwuje?

– Jeśli dzisiaj żołnierz, dowódca, publicznie twierdzi, że nie jest w stanie przygotować sił zbrojnych do podołania ich głównemu zadaniu, to znaczy, że larum grają. Każdy dzień bez ustalenia przyczyn braku możliwości przygotowania armii do przyszłych działań wojennych to jest narażanie państwa na niebezpieczeństwo.

Na jakie niebezpieczeństwo? Zwierzchnik sił zbrojnych, prezydent Duda uważa odchodzenie generałów za normalną sytuację. Na ich miejsce przychodzą nowi, jak słyszymy – doskonale przygotowani. Gdzie więc to niebezpieczeństwo, które spędza panu sen z powiek?

– Musi się pan uzbroić w cierpliwość i wysłuchać mnie uważnie. Najważniejszy dokument, w którym zawarta jest strategia naszego państwa, powstaje w wyniku planowania strategicznego. Dotyczy on *stricte* bezpieczeństwa państwa. Obowiązuje on od roku 2014. Dokumentem wykonawczym do „Strategii Bezpieczeństwa Narodowego Rzeczpospolitej Polskiej" jest „Polityczno-Strategiczna Dyrektywa Obronna RP", podpisywana przez prezydenta, a przygotowywana przez ministra obrony narodowej. Ona jest podstawą do planowania obronnego we wszystkich resortach Rzeczypospolitej – od Ministerstwa Obrony Narodowej, poprzez wszystkie pozostałe działy i na wszystkich szczeblach. Planowanie obronne, w tym operacyjne, ma ogromny wpływ na to, czy Polska będzie przygotowana do zagrożeń zidentyfikowanych w strategii bezpieczeństwa narodowego. Końcem cyklu planowania są ćwiczenia sprawdzające przyjęte rozwiązania. Zaplanowano więc ćwiczenia „Kraj 15/16", których końcowym i najważniejszym elementem miała być gra wojenna „Stolica". Prezydent koncepcję tych ćwiczeń podpisał, a rząd opracował plan ich przygotowania i przeprowadzenia. Razem miały one dać ostateczną odpowiedź co do wartości przyjętych planów i założeń – czy warto je kontynuować, czy trzeba zmienić. Nic takiego do dziś się nie odbyło! Tylko na stronie MON ukazała się notatka wyjaśniająca, że ćwiczenia nie odbyły się, dlatego że system jest zły… Żeby stwierdzić, że system jest zły, nie wystarczy napisać notatkę. Należało przeprowadzić te ćwiczenia, łącznie z finalną „Stolicą". Powinien je prowadzić prezydent Rzeczypospolitej Polskiej przy udziale rządu, premiera, szefa Sztabu Generalnego i naczelnego dowódcy. Wówczas byłby to najważniejszy test, sprawdzian i ostateczna weryfikacja przydatności systemu kierowania obroną państwa. Takie ćwiczenie nigdy się nie odbyło! Nowa ekipa polityczna kierująca państwem założyła w ciemno, że system kierowania siłami zbrojnymi przygotowany przez poprzedników jest zły. Na jakiej podstawie?

Wyjaśnijmy, że tego typu ćwiczenia obejmują wszystkie struktury państwa, bo obrona narodowa to również służby cywilne, straż, policja, szpitale, kolej, administracja – aż po najniższe szczeble.

– I ten system kierowania obroną narodową nie został sprawdzony. Jeśli ktoś chciałby sobie wyobrazić, czym grozi taki niesprawdzony, nieprzećwiczony system przygotowania państwa do obrony, niech sobie przypomni polski wrzesień 1939 r. Jesteśmy na podobnej drodze.

Gdzie tym razem będą Zaleszczyki? Chyba gdzieś tu w okolicy, na Odrze?

– Nie wiem. Wiem natomiast, że jeśli system kierowania nie funkcjonuje, to jest tak, jakby puścić na zatłoczonej drodze rozpędzony autobus bez kierowcy – katastrofa murowana. A tak właśnie się dzieje. Mamy do czynienia z jednym wielkim chaosem. Weźmy ostatni przykład – los 34. brygady z Żagania, która jest jedną z dwóch brygad pancernych 11. dywizji pancernej.

Tej słynnej, najlepszej w Europie Środkowo-Wschodniej.

– Tak jest. Jeżeli przenosimy jeden z batalionów tej brygady na ścianę wschodnią, to nie tylko nie wzmacniamy ściany wschodniej, ale jeszcze osłabiamy całą brygadę i dywizję. To jest podwójna szkoda. Nie znam wojskowego, który znalazłby inne niż polityczne uzasadnienie takiej decyzji. Tutaj, w Żaganiu i w okolicach, jest

Obecny sposób i zakres „naprawiania" armii jest rzeczą niespotykaną.

Za ministra Szczygły miała miejsce największa czystka wśrod generałów i oficerów po studiach zagranicznych.

eprasa.pl 83cd815144

cała baza logistyczna, system zaopatrzenia, szkolenia, baza remontowa, trenażery, symulatory, specjaliści. Tego rodzaju działanie to jest sabotaż, to jest pozbawianie jednostek ich zdolności bojowych! Mało tego. Podpisaliśmy list intencyjny, w czym miałem swój udział, o zintensyfikowaniu współpracy z Niemcami. Podpisali go ministrowie obrony obu państw. Rozpoczęły się przedsięwzięcia prowadzące do powstania w końcowym etapie jednostki polsko-niemieckiej. W przyszłości

mielibyśmy takie jednostki, jakie mają dziś Niemcy z Holendrami lub Niemcy z Francuzami. Przeprowadziliśmy już nawet, tu w Żaganiu, pierwsze wspólne ćwiczenia brygad polskiej i niemieckiej. Jak dziś wygląda polska deklaracja, czy obowiązuje, czy jest coś warta? Pewnie jest tak, jak ze zobowiązaniami w korpusie europejskim, z kwaterą główną w Strasburgu, wycofujemy się z tego rakiem. W Strasburgu jesteśmy od 2011 r. Od chwili, gdy zapadła decyzja, że będziemy państwem ramowym, deklarowaliśmy zwiększenie swojego udziału i dziś jest to do 120 żołnierzy z generałem na czele. Ów generał jest zastępcą szefa sztabu korpusu. Wzięliśmy na siebie odpowiedzialność, ale możemy też korzystać z potencjału tej ogromnej siły – korpus liczy ok. 60 tys. żołnierzy, służył na misjach w Bośni i Hercegowinie, w Kosowie, dwukrotnie w Afganistanie. Jest to korpus szybkiego reagowania, zdolny w ciągu 30 dni do rozmieszczenia w dowolnym miejscu na świecie. Przede wszystkim jednak powstał po to, żeby wzmocnić bezpieczeństwo w Europie. Złożyliśmy odpowiednie deklaracje i zobowiązaliśmy się do współuczestniczenia w tym wysiłku. Według planów w roku 2019 Polak miał objąć dowództwo całego korpusu. I teraz nagle informujemy, że będziemy redukowali swoją obecność. Planowanie w instytucjach wojskowych nie odbywa się z dnia na dzień, sprawiliśmy sojusznikom ogromny kłopot, bo muszą teraz przygotować innych ludzi na te stanowiska. Tego się nie robi w pięć minut. A zmiana innych planów, będąca konsekwencją naszego wycofania się i zrezygnowania ze stanowiska dowódczego? Wszystko trzeba zmieniać! Żeby to jakoś zilustrować, powiem tak: płynąc motorówką, można zmieniać kierunek trzy razy w ciągu minuty. Ale zmiana kierunku lotniskowca nie jest już taka prosta. Trzeba dać jednolity, wcześniej przemyślany sygnał, żeby dotarł do wszystkich, którzy są odpowiedzialni za zmianę kursu i dopłynięcie do miejsca docelowego. Siły zbrojne to nie motorówka…

Przenoszenie batalionu pancernego z Żagania na wschód to jest sabotaż!

Ale kierownicy państwa i resortu obrony wcale tego tak nie postrzegają. Wręcz przeciwnie – niektóre ich wypowiedzi świadczą o lekceważącym podejściu do tych spraw.

– Naprawdę wolałbym, żebyśmy nie mieli racji.

Politycy PiS uspokajają, że ten korpus miał za zadanie zabezpieczać głównie południową flankę Europy, czyli nie tę, którą jesteśmy zainteresowani.

– Tym bardziej więc, jeśli mówi się społeczeństwu nieustannie, że istnieje zagrożenie na wschodzie i że armia jest w ruinie, to się wzmacnia siły, które się ma. Nie rozbraja się tego, nie dezorganizuje się wszystkiego. Nie tworzy się z dnia na dzień obrony terytorialnej jedynie na podstawie intuicji ministra obrony narodowej. To jest woluntaryzm, wola jednego człowieka, tym bardziej że obronę terytorialną już mamy. Jest ona częścią wojsk wsparcia. Mamy tam kilkadziesiąt batalionów. Po co więc tworzyć nową obronę terytorialną? Takie działania w wojsku to „szkoda w mieniu".

Uparcie przypominam, że oficjalne stanowisko ludzi odpowiedzialnych za obronność państwa jest takie, że nic złego się nie dzieje. Są odejścia, ale są i awanse.

– Nie jest rzeczą normalną, że oficer, który w roku 2015 kończy akademię, w ciągu 14 miesięcy pięć razy zmienia stanowisko, zostając po drodze generałem. Normą powinno być, że generał jest na stanowisku trzy lata. To jest dobre dla niego, dla instytucji, w której pracuje, i dla jego podkomendnych. Jaka to jest stabilizacja, kiedy na drzwiach Inspektora Sił Powietrznych w Dowództwie Generalnym prawdopodobnie pojawi się zaraz tabliczka z czwartym nazwiskiem. Tragedia, do jakiej doszło w 2010 r., kolejna już w siłach powietrznych, nastąpiła wtedy, gdy na ich czele stał bardzo dobry generał, ale został wyznaczony na to stanowisko z pominięciem innych szczebli, więc nieprzygotowany. Ludzie na tych stanowiskach nawet nie zdążą dokładnie zapoznać się z zakresem swoich zadań, a już idą dalej.

Jakieś przykłady?

– Nie chcę używać nazwisk, wiele z tych osób bardzo dobrze znam. To nie jest działalność dla dobra sił zbrojnych. W wojsku jest tzw. karta opisu stanowiska, z której jednoznacznie wynika, jakie kwalifikacje i jakie umiejętności powinien mieć kandydat na stanowisko. Widocznie minister zdał sobie sprawę, że obowiązujące dziś karty w wielu przypadkach uniemożliwiają oficerom objęcie przygotowanych dla nich stanowisk, dlatego wydał decyzję zezwalającą na wyznaczanie żołnierzy, którzy nie mają wymaganych kwalifikacji. Dobrze wie, że otwiera furtkę dla tych, którzy są nieprzygotowani. Czy chciałby pan, żeby kierowcą pojazdu,

FOT. GERARD/REPORTER/EAST NEWS, ANATOL CHOMICZ/KURIER PORANNY/GAZETA WSPÓŁCZESNA/POLSKA PRESS

eprasa.pl 83cd815144

na który wymagane jest prawo jazdy kategorii C, był kierowca z kategorią B, a w międzyczasie zrobi C? To jest rzecz niespotykana.

Kolejna decyzja pana ministra obrony narodowej – można dziś wyznaczać na stanowisko żołnierza o dwa i więcej stopni wyżej. Czyli zgodnie z prawem podporucznik może zostać wyznaczony na stanowisko dla pułkownika, a nawet generała. To są działania, które niszczą jedną z ważnych cech wojska, czyli hierarchiczność, degradują to, co jest ważne, czyli szacunek młodszego do starszego. Dziś nie trzeba ofiarnej służby na kolejnych stanowiskach, żeby zrobić karierę. W ciągu roku można z podpułkownika stać się generałem i objąć stanowisko, nie będąc do tego przygotowanym.

Czy to prawda, że sprzęt nam się sypie, czy to tylko histeria?

– W różnych kategoriach sprzętu jest różnie. Najtragiczniej sytuacja wygląda, jeśli chodzi o bojowe wozy piechoty oraz czołgi – z wyjątkiem leopardów. Wedle planów i obliczeń, które ja pamiętam, bieżący rok miał być rokiem granicznym. Od tego roku należałoby wymienić co najmniej trzy bataliony czołgów, a do roku 2022 powinniśmy mieć wymienione wszystkie czołgi. Jak jest – widzimy. Ale jeśli my ciągle zaczynamy od nowa – co ekipa polityczna, to inny program – to daleko nie zajdziemy i proszę się nie dziwić, że 90% pieniędzy wydawanych na badania w dziedzinie obronności jest przejadanych, a przemysł zbrojeniowy jest technologicznie zapóźniony.

Jako inspektor wojsk lądowych miał pan dostęp do różnych informacji. Czy nam rzeczywiście grozi wojna z Rosją?

– Gdyby takie zagrożenia było realne, na pewno nie podejmowano by tego typu działań, jak obecnie w MON. Na przykład nie wstrzymywano by zakupów i nie przenoszono zasadniczych wydatków na unowocześnienie wojska na okres po 2019 r., czyli po kolejnych wyborach.

Czyli mamy do czynienia z propagandą polityczną, która ma zapewnić realizację zupełnie innych celów niż militarne.

– To brzydko zabrzmi, ale powiem: wojsko jest kupowane. Byt kształtuje świadomość. Kolejna podwyżka i to solidna, tworzenie swoich wojsk i wyłączenie ich spod komendy dowódcy generalnego, „wyciszanie" Narodowych Sił Rezerwowych powoduje ogromny dysonans między głoszonymi zagrożeniami a faktycznymi działaniami MON. W sytuacji zagrożenia nie tak powinna funkcjonować militarna część systemu obrony państwa.

Nie ma co, w końcu zatłuką pana gazetami za takie gadanie.

– Nie boję się hejtu, nikogo nie obrażam, chcę tylko dyskutować na argumenty, a nie *ad personam*.

Marek Barański

Dziś można w ciągu roku z podpułkownika stać się generałem i objąć stanowisko, nie będąc do tego przygotowanym.

eprasa.pl 83cd815144

RADOŚĆ W NIEMCZECH, LĘK

Na pograniczu polsko-niemieckim, tam gdzie są pokłady węgla brunatnego, wsie walczą o przetrwanie

Regina Dachówna

W Atterwasch korki od szampana strzeliły w niedzielę. Ludzie cieszyli się, że ich wieś ocaleje.

Żeby otworzyć nową kopalnię węgla brunatnego, trzeba usunąć z powierzchni zabudowania i wysiedlić ludzi. Na Łużycach odkrywka pochłonęła 135 miejscowości. Po polskiej stronie, w Lubuskiem, zagrożonych jest 18. Niemcy rezygnują z elektrowni węglowych, stawiają na energię odnawialną. Polacy przeciwnie – na konwencjonalną. Mieszkańcy bronią się przed wysiedlaniem w różny sposób. Niemcy idą do sądu, piszą skargi do Strasburga, jak ci ze wsi Horno na Łużycach. Polacy organizują referenda, jak ci z gmin Brody i Gubin. Gdy prawo nie staje po stronie wysiedlanych, trzeba walczyć o odszkodowanie. Niemcy podpowiadają, jak robić to skutecznie.

W latach 90. niewielka łużycka wieś Horno (69 domów, 320 mieszkańców) przeciwstawiła się planom szwedzkiego koncernu Vattenfall, który kupił od niemieckiego koncernu Laubag kopalnię oraz elektrownię Jänschwalde.

Złoża węgla nie zalegały pod samą wsią, rozciągały się wokół niej. By usprawnić wydobycie węgla, Szwedzi postanowili jednak pozbyć się Horna. Koparki i taśmociągi ustawili tuż za opłotkami, miały być straszakiem dla ludzi. Ale wtedy mieszkańcy stanęli do walki.

Bernd Siegert był wówczas sołtysem i jest nim do dziś. Opowiada, jak wielki opór zrodził się w ludziach.

– Zaskarżyliśmy decyzję do Krajowego Sądu Konstytucyjnego. I wygraliśmy! Decyzja zawierała błędy formalne, zabrakło odpowiedniej ustawy. I parlament Brandenburgii uchwalił ustawę. Wtedy zwróciliśmy się do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości w Strasburgu. Zarzuciliśmy rządowi i Vattenfallowi łamanie praw człowieka. Strasburg nie uznał naszej skargi, bo koncern obiecał wypłacić nam odszkodowanie. Wtedy zrozumieliśmy, że już nic więcej nie damy rady zrobić. Musieliśmy się poddać.

Wcześniej sołtys próbował zmobilizować opinię społeczną za pośrednictwem mediów. W gazecie regionalnej ukazywały się wtedy olbrzymie, dwustronicowe ogłoszenia zachwalające odkrywkę. Zatelefonował do redakcji, zapytał, ile kosztuje takie ogłoszenie. Usłyszał, że 30 tys. euro.

– My moglibyśmy zapłacić 3 tys. euro, ale nie 30 tys.

Gdy mieszkańcy już wiedzieli, że nie poradzą sobie z koncernem, postawili twarde warunki. Wieś musi być przeniesiona w niezmienionym kształcie, z zabytkowymi obiektami, pomnikami, restauracją, piwiarnią, salą obrad, kościołem i cmentarzem. Każdy musi dostać takie odszkodowanie, by w nowym miejscu mógł sfinansować za nie budowę domu, obiektów gospodarczych oraz kupno działki o powierzchni, jaką zostawia w Hornie. Wielkość budynków ma być również taka jak tu.

Vattenfall zaakceptował warunki, od jesieni 2003 r. zaczęła się przeprowadzka do Nowego Horna, które odtworzone zostało na obrzeżach miasta Forst.

– Wynajęliśmy architektów, którzy zrobili projekty zabudowań. Mieszkamy po sąsiedzku, tak jak dawniej. Tylko domy są inne, wprawdzie nowoczesne, ale obce – mówi Bernd Siegert.

Dla niego i dla wielu mieszkańców Nowego Horna nie komfort domów, w których teraz mieszkają, jest najważniejszy. Ważne są miejsca, gdzie żyli dziadkowie, rodzice, gdzie oni się wychowywali, gdzie brali śluby, gdzie rodziły się ich dzieci. Tam pozostały ich korzenie, tam była ich ojcowizna. A tu? Tu jest tylko obszar, na który przymusowo zostali przesiedleni.

Zresztą nie wszystkie warunki Vattenfall spełnił. Z kościoła zostały zdjęte i przeniesione tylko kopuły i trzy dzwony, resztę koncern wysadził w powietrze.

Dom Bernda Siegerta ma 200 m kw. powierzchni. Ten, który pozostał w Hornie, także był duży, dwupokoleniowy. Rodzice budowali tamten dom, a on wraz z żoną go zmodernizował. Siegert jest z zawodu ślusarzem, teraz na emeryturze. Ojciec i teść byli murarzami, dziadkowie zaś rolnikami – hodowali 15 mlecznych krów, mieli konie, drób, a on wraz z dwoma braćmi od dziecka pracował w gospodarstwie.

W Niemczech obszary eksploatowane przez kopalnie mają po 5 tys. ha. W Polsce ma to być aż 11 tys. ha.

eprasa.pl 83cd815144

W POLSCE

Teraz hoduje rasowe króliki, na wystawach zdobywa puchary, które stoją na obszernej werandzie. W jednym z pomieszczeń gospodarczych w klatkach jest 70 królików: biało-czarnych, rudych, szarych, obok w oddzielnych klatkach jest hodowla wnuczki, jej króliki są brązowe.

Za budynkiem gospodarczym biegają kury, kaczki, gęsi. Działka Bernda Siegerta ma powierzchnię 6 tys. m. kw. Wokół domu rosną kwiaty i drzewa owocowe. Gospodarz mógłby więc się cieszyć, gdyby nie poczucie, że stracił ojcowiznę, a tu mieszka przymusowo.

Ucieszył się, gdy usłyszał, że LEAG, czeski koncern, który jesienią zeszłego roku kupił od Vattenfalla kopalnię

Tablica przed Urzędem Gminy w Brodach. Mieszkańcy mają nadzieję, że po polskiej stronie inwestorzy również zrezygnują z powiększania odkrywki.

i elektrownię Jänschwalde, rezygnuje z poszerzania odkrywki o obszar, na którym leżą trzy wsie: Atterwasch, Grabko i Kerkwitz, bo to znaczy, że prawie 900 osób nie doświadczy traumy, jaką przeżyli mieszkańcy Horna.

PONADGRANICZNA RADOŚĆ

Na polskie pogranicze wiadomość dotarła w ostatni czwartek marca po południu. Gdy Anna Dziadek ze wsi Biecz w gminie Brody ją usłyszała, natychmiast zadzwoniła do Doroty Schewior z propozycją. Niech Dorota zrobi tort, w niedzielę pojadą ze słodkim prezentem i z gratulacjami do Atterwasch, by wspólnie z mieszkańcami świętować. Wieś Atterwasch ponad 10 lat walczyła o przetrwanie z lobby węglowym.

Dorota Schewior ma Malinowy Zajazd we wsi Wielotów w gminie Brody oraz gospodarstwo agroturystyczne. W okolicy słynie z wypieku tortów. Wiadomość o rezygnacji Czechów z powiększenia odkrywki obudziła w niej nadzieję. Może po polskiej stronie zwolennicy budowy kopalni na 11 tys. ha w gminach Gubin i Brody też zmienią plany? Inaczej jej gospodarstwo znajdzie się w środku eksploatowanych złóż. Od 2008 r. kobieta żyje w lęku, że zwolennicy energetyki konwencjonalnej dopną swego, wysiedlą 18 wsi i zaczną wydobywać węgiel brunatny nawet z głębokości 140 m. Takie plany mają władze województwa lubuskiego.

W gminach Gubin i Brody od lat nie można niczego wybudować ani nawet zaplanować.

Annie Dziadek wysiedlenie nie grozi. Biecz tylko w połowie miałby być zrównany z ziemią, ale nie w tej części, gdzie stoi jej dom, który pradziadkowie otrzymali w 1946 r. po przesiedleniu z Kresów.

– Nie wierzę, by Polacy nie wzięli przykładu z Niemców, którzy stopniowo, ale konsekwentnie ograniczają energetykę konwencjonalną na rzecz źródeł odnawialnych. Jeżeli Niemcom, a teraz także Czechom, nie opłaca się energia z węgla brunatnego, to dlaczego miałaby opłacać się nam? – pyta.

Na początku mieszkańcy niemieckiego pogranicza nie dowierzali, że Czesi wycofają się ze swoich planów. Przewidywali w nich pozostanie na tym terenie do roku 2025 i utworzenie tzw. Jänschwalde-Nord, czyli odkrywki na obszarze trzech wsi, ponieważ obecnie eksploatowane złoża już się kończą.

Ale 31 marca tego roku starosta powiatu Sprewa-Nysa Harald Altekrüger rozesłał do wszystkich gmin radosną wiadomość i potwierdził stanowisko Czechów. W piśmie wyjaśnił też, że LEAG prawdopodobnie już w 2023 r. zamknie elektrownię Jänschwalde, a do tego czasu dowozić będzie węgiel z innych odkrywek. Koncern rezygnuje również z otwarcia dwóch kolejnych złóż, tj. Bagenz-Ost oraz Spremberg-Ost.

KORKI OD SZAMPANA STRZELAŁY W NIEDZIELĘ

W Atterwasch ludzie cieszyli się już w piątek, ale korki od szampana strzeliły w niedzielę. Wieś jest mała, liczy 117 mieszkańców. Po nabożeństwie prawie wszyscy dorośli wraz z gośćmi z sąsiednich wsi przyszli na plac przed kościołem i świętowali zwycięstwo. Na stołach pojawiły się miejscowe przysmaki: zupa kartoflana, ogórki, piwo, szampan, ciasto oraz malinowy tort Doroty Schewior.

– Niemcy byli wzruszeni prezentem i naszą obecnością – opowiada Anna Dziadek. Polscy i niemieccy przeciwnicy odkrywki na pograniczu znają się od lat, są zaprzyjaźnieni, więc w Atterwasch czuli się jak w rodzinie, którą spotkało wielkie szczęście.

Do tej rodziny należą Thomas Burchardt, rzecznik Inicjatywy Obywatelskiej Klinger Runde oraz Andreas Stahlberg z urzędu gminy Schenkendöbern, do której należy Atterwasch. Thomas Burchardt mówi o sobie: – Jestem Łużyczaninem, a Łużyce to nie tylko niemieckie pogranicze, lecz również polskie.

Burchardt po studiach w Cottbus osiedlił się w Forst. Od 10 lat walczy z planami rozwoju kopalni węgla brunatnego w Brandenburgii i Saksonii. W 2007 r. rząd Brandenburgii ujawnił plany rozwoju energetyki w oparciu o odkrywki na najbliższe 50 lat. W planach pojawiło się siedem nowych odkrywek i w związku z tym konieczność wysiedlenia 32 wsi. Wówczas ludzie powiedzieli dość i powołali ruch obywatelski Klinger Runde, który skupia przeciwników odkrywki. W wyborach samorządowych w 2008 r. dwie osoby z Klinger Runde zostały wybrane do rady powiatu Sprewa-Nysa.

– Organizujemy protesty, czuwamy nad planami rozwoju gmin, powiatów i całej Brandenburgii, wszędzie mamy swoich ludzi. Pilnujemy, by tam, gdzie nie ma odkrywki, a są złoża, ktoś nie wpadł na pomysł budowy kopalni – mówi Thomas.

Klinger Runde walczy z mitami na temat korzyści, jakie przynoszą odkrywki. Regiony, gdzie one są, wcale się nie rozwijają. Nie pojawiają się tu nowi inwestorzy, nie powstają nowe miejsca pracy. Forst liczy 20 tys. mieszkańców, w kopalni zatrudnienie znalazło ponad 300 osób. To mało jak na dewastację przyrody wokół miasta. A rekultywacja zniszczonego terenu potrwa 80-90 lat.

eprasa.pl 83cd815144

Thomas Burhardt współpracuje z Polakami od ośmiu lat. Nie wierzy, że polscy sąsiedzi wybudują kopalnię, która wchłonie obszar dwa razy większy niż w Niemczech. Tutaj eksploatowane obszary mają przeciętnie 5 tys. ha. A Polacy chcą przeznaczyć na ten cel 11 tys. ha.

Po niemieckiej stronie koncern LEAG zrezygnował z poszerzania odkrywki.

Pozornie prąd z węgla brunatnego jest tani. Kiedy jednak uwzględni się koszty rekultywacji, odszkodowania dla wysiedlanych ludzi, opłaty za emisję CO_2 oraz fundusze na ratowanie zdrowia ludzi, bo zanieczyszczenie powietrza prowadzi do rozwoju wielu chorób i skraca życie, bilans jest ujemny.

Thomas pyta: – Na jaką kwotę należałoby wycenić kościół w Atterwasch, który stoi tam 700 lat? Jak oszacować ból i rozpacz wysiedlanych ludzi? Na ile ich zdrowie?

Rozmawiamy w budynku starostwa w Forst. Na parterze na stelażach leżą broszury, ulotki, biuletyny. Wstęp do jednego z informatorów napisał Sigmar Gabriel, obecny szef niemieckiej dyplomacji, wtedy minister gospodarki i energii. Autor wyjaśnia, co oznacza obowiązująca od stycznia 2017 r. ustawa o energii odnawialnej i w jakim tempie ta energia zastępować będzie energię konwencjonalną. Obecnie w krajowym bilansie produkcja energii odnawialnej wynosi 32% (z węgla brunatnego – 24%), w 2025 r. wrośnie do 45%, a w 2035 r. – do 60%. Energię odnawialną produkują elektrownie wiatrowe, słoneczne i gazowe. Na wsi produkowana jest też energia z biomasy.

SĄSIEDZKIE ZMARTWIENIA

Andreas Stahlberg jest urzędnikiem, zajmuje się odkrywką w gminie Schenkendöbern. 2 km od jej granic znajduje się kopalnia. Okolica odczuwa to sąsiedztwo. Drastycznie spadł poziom wód gruntowych. Gdy kopalnia pompuje wodę ze złoża, tworzy się lej depresyjny. – Mieliśmy naturalne jezioro o powierzchni 10 ha, a w nim ryby. Nagle poziom wody się obniżył, dwie tony ryb zginęły – opowiada Andreas po polsku.

Studiował urbanistykę na Uniwersytecie Technicznym w Leverkusen, a jego żona planowanie przestrzenne. Oboje mieszkali na wsi w zachodniej części Niemiec. W 2005 r. kupili stary dom w gminie Schenkendöbern i tu się przenieśli. Od pierwszych miesięcy pobytu na pograniczu zaczęli jeździć na polską stronę. Trafili do ośrodka jeździeckiego w Gryżynie i zakochali się w koniach. Wtedy Andreas postanowił nauczyć się polskiego.

– Ludzie są tu serdeczni, otwarci, mam wspaniałe kontakty z Polakami – opowiada bezbłędną polszczyzną.

Gmina Schenkendöbern współpracuje z Gubinem, Andreas Stahlberg jest częstym gościem wójta Zbigniewa Barskiego. Obydwaj obawiają się odkrywki po stronie polskiej i jej skutków dla środowiska i dla ludzi po obu stronach granicy. Andreas wierzy, że część obszaru, także po polskiej stronie, objęta ochroną programu Natura 2000, zostanie uratowana. Nysa i Odra również są wpisane do tego programu. A może gospodarze województwa lubuskiego zmienią plany, tak jak to zrobili Czesi z koncernu LEAG?

Ryszard Kowalczuk, wójt gminy Brody, w której jedna trzecia terenów (około 5 tys. ha) jest zagrożona odkrywką, z mieszanymi uczuciami przyjął wiadomość o rezygnacji Czechów z poszerzania obszaru eksploatacji. – Z jednej strony ucieszyłem się z tej wiadomości, z drugiej – pozazdrościłem Niemcom i pomyślałem: dlaczego nam się to nie zdarzyło?

Wójtem jest drugą kadencję, wygrał wybory, bo sprzeciwia się odkrywce. Wcześniej pracował na granicy jako celnik, na czas urzędowania wziął bezpłatny urlop do 2018 r.

Gmina współpracuje z Forst, wójt widzi, że kopalnia nie przyczyniła się do rozwoju miasta, wyburzane są puste bloki, zmniejsza się liczba ludności. Jaka więc będzie przyszłość jego gminy?

W planie zagospodarowania przestrzennego województwa lubuskiego tereny gmin Gubin i Brody zostały uznane za obszary chronione, ponieważ znajdują się na nich pokłady węgla brunatnego. Od lat na tych obszarach nie można niczego wybudować ani nawet zaplanować.

Kowalczuk przekonał się, że dotyczy to nie tylko wyznaczonych obszarów, lecz całej gminy. Inwestor ze Śląska chciał budować w Jeziorach Wysokich, wsi przyległej do Brodów, osiedle dla ok. 1,5 tys. osób z pełną infrastrukturą. Jeziory Wysokie nie są przewidziane do wysiedlenia, ale zarząd województwa nie zgodził się na tę inwestycję.

W centrum Brodów znajduje się zabytkowy pałac Brühla. Główny budynek jest ruiną, na razie nieużytkowaną. Ale obok, w skrzydłach dawnego pałacu, znajdują się restauracja i hotel. W sąsiedztwie, z tyłu pałacowego kompleksu, płynie rzeczka Werdawa. Zasila wodą rozlewisko jeziora Brodzkiego o powierzchni 56 ha i z jeziora wypływa. Wójt pamięta lata 70., gdy przy jeziorze była przystań, a w niej łodzie i kajaki. Zarządcą brzegów jeziora jest Urząd Marszałkowski Województwa Lubuskiego, rzeka należy do wojewody, a zamulony grunt dna jeziora do gminy.

– Zwróciłem się do gospodarza, czyli urzędu marszałkowskiego, by zezwolił na uporządkowanie brzegów, ale pozwolenia nie dostałem. Czyste jezioro mogłoby być kolejną atrakcją Brodów, ale nie jest, bo w województwie nie ma woli, by cokolwiek zrobić. Stan zawieszenia trwa.

Regina Dachówna

Sołtys Siegert z bólem serca patrzył, jak znikała jego wieś Horno.

FOT. REGINA DACHÓWNA, CHRISTIAN HUSCHGA, WIKIPEDIA

eprasa.pl 83cd815144

Akademia Humanistyczna
im. Aleksandra Gieysztora

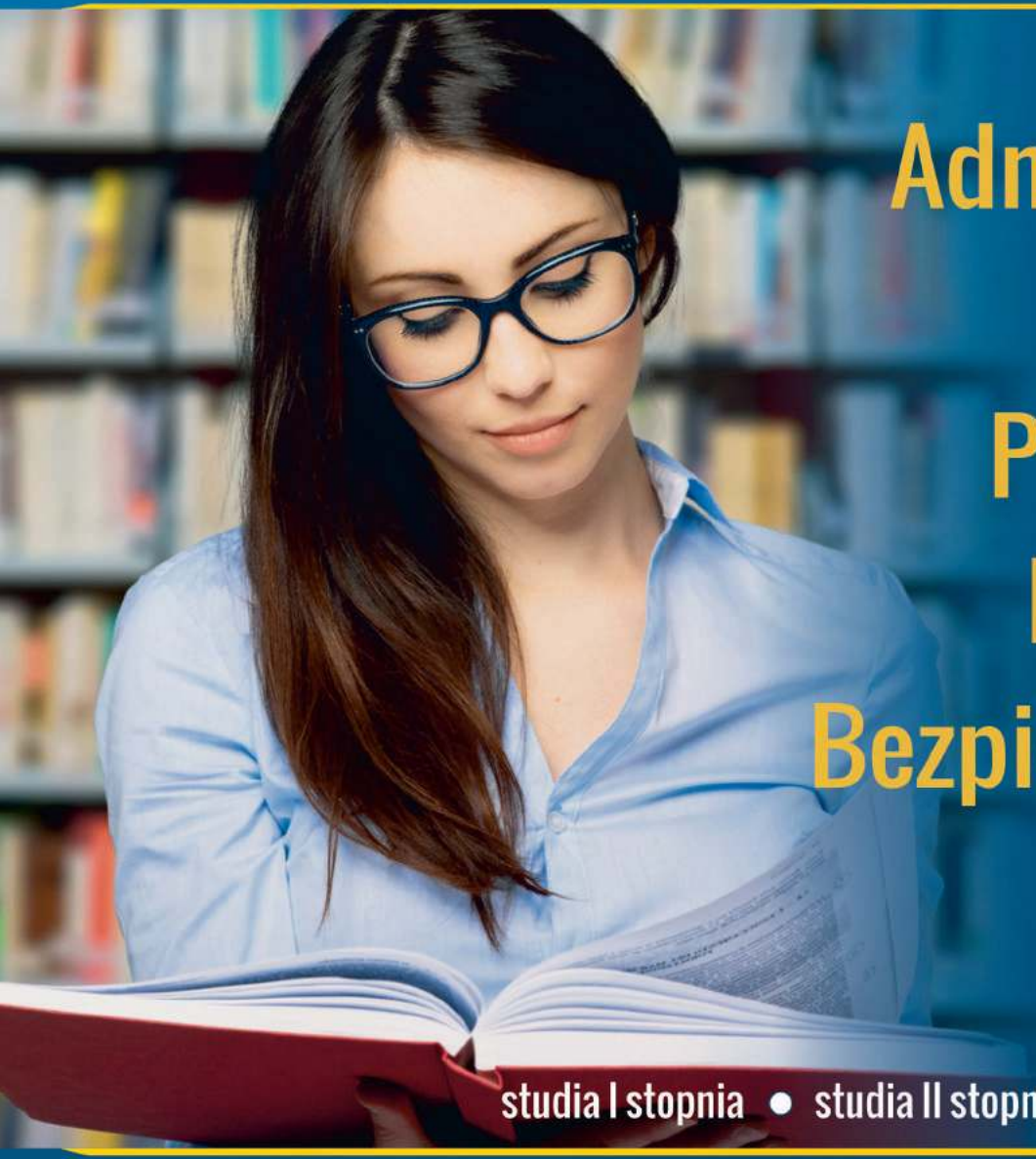

Administracja
Historia
Pedagogika
Politologia
Bezpieczeństwo Narodowe

studia I stopnia • studia II stopnia • studia podyplomowe

seminaria doktorskie w dyscyplinie historii i nauk o polityce

INFORMACJE I ZAPISY

Biuro Rektora
ul. Daszyńskiego 17, 06-100 Pułtusk
tel. 23 692 98 13 do 16, e-mail: rektorat@ah.edu.pl

www.ah.edu.pl

eprasa.pl 83cd815144

ZMIERZCH WYTRAWNYCH WETERANÓW

Przed wyborami prezydenckimi warto się zastanowić, co tak naprawdę poruszyło sceną polityczną Francji

Wojciech Osiński

W sklepiku z pamiątkami przy francuskim parlamencie można kupić rozmaite akcesoria w barwach flagi, w tym sprzęty kuchenne oraz talerze, szklanki i filiżanki. Uwadze turysty nie mogą także umknąć rękawice kuchenne: czerwoną zdobi napis *gauche* (lewa), a na niebieskiej pyszni się *droite* (prawa). Geneza uznanego w świecie polityki podziału na lewicę i prawicę sięga rewolucji francuskiej. To Paryż ruszył z posad bryłę świata, uruchamiając pasmo rewolt w innych krajach, to nad Sekwaną stoi pierwowzór nowojorskiej Statui Wolności. Symboliczny wymiar rękawic kuchennych nie ogranicza się jednak wyłącznie do wprowadzonych przez Francuzów kategorii lewicy i prawicy. Francuska polityka zawsze kojarzyła się z tym, co rodacy Kartezjusza potrafią najlepiej – z dobrą kuchnią i gotowaniem. Kto nie wierzy, niech zajrzy do archiwów prasowych, gdzie felietony i opinie skrzą się kulinarnymi metaforami.

PRZEDWCZESNE WYPALENIE

Ale we francuskiej kuchni politycznej ostatnio nic się nie udaje, wszyscy nerwowo rzucają talerzami, przypalają masło lub serwują przeterminowane sery. Im bliżej do pierwszej tury wyborów prezydenckich (23 kwietnia), tym głośniej kucharze przekrzykują się chwytliwymi sloganami. Ta kampania wyborcza była dla przywykłych do przewidywalności Francuzów dość nietypowa, znaczyły ją przykłady pychy kroczącej przed upadkiem.

Wszystko zaczęło się w listopadzie zeszłego roku. Były prezydent Nicolas Sarkozy, który długo miał uzasadnione nadzieje na powrót do Pałacu Elizejskiego, został wyeliminowany już w pierwszej turze prawyborów Republikanów, przegrywając z byłym premierem François Fillonem i tuzem konserwatystów Alainem Juppé. Miesiąc później prezydent François Hollande zapowiedział, że nie będzie się ubiegał o drugą kadencję. Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat urzędująca głowa państwa nie startuje w wyścigu o reelekcję. Prawdopodobnie nie chce narazić się na blamaż. Bezprecedensowe w historii jest bowiem także poparcie dla Hollande'a, oscylujące wokół 4%, a prezydent oskarżany jest o sprawstwo wszelkiego zła.

Sarkozy i Hollande uchodzili za wytrawnych weteranów francuskiego życia politycznego, wyraźnie zaznaczających bieguny prawicy i lewicy. Latami sprawnie zarządzali emocjami mas i konsolidowali elektoraty w sprzeciwie wobec konkurentów. Jeszcze rok temu dziennikarze zacierali ręce, że wiosną 2017 r. obaj stoczą emocjonujący pojedynek. Tymczasem dziś można odnieść wrażenie, że odchodzą w niepamięć i nie odegrają już żadnej roli.

Czy to tylko zmiana pokoleniowa? Bynajmniej. Były premier Francji, 54-letni Manuel Valls, poniósł w prawyborach socjalistów sromotną porażkę, oddając pole 50-letniemu Benoît Hamonowi, który w sondażach zajmuje tylko piąte miejsce (ok. 10%). O wygodny fotel w Pałacu Elizejskim pragnął także powalczyć gwiazdor lewicy Arnaud Montebourg, ale szybko został pozbawiony złudzeń. W odwrocie są jednak nie tylko politycy odwołujący się do etosu lewicy. Kampania Brunona Le Maire'a, nadziei młodych konserwatystów, trafiła w próżnię. Dziś nikt już o nim nie mówi. Po przedwczesnym wypaleniu doświadczonych 50-latków war-

40% Francuzów jeszcze nie wie, na kogo oddać głos.

Czego się nie robi, żeby zdobyć sympatię wyborców? Marine Le Pen nawołuje do kupowania francuskich produktów...

eprasa.pl 83cd815144

...Emmanuel Macron pozuje do selfie.

to zadać pytanie, co tak naprawdę poruszyło sceną polityczną w kraju, w którym wyborcy z reguły chętnie dają politykom szansę na powrót, a czasami nawet dwie.

DRAŻLIWY TEMAT

Dla komentatorów te nietypowe zmiany jawią się jak kolejne odsłony serialu „House of Cards", ale świadczą przede wszystkim o daleko posuniętej niepewności społeczeństwa, które odrzuca dotychczasową politykę liderów. Podczas gdy w Polsce czy w Niemczech mówimy o obozach, partyjnych skrzydłach czy ścierających się frakcjach, we Francji karierę zrobiło pojęcie rodzina polityczna.

W Polsce czy w Niemczech mówimy o obozach i frakcjach. We Francji karierę zrobiło pojęcie rodzina polityczna.

Tyle że w rodzinach nie ma merytorycznej wymiany argumentów, są za to konflikty oparte na emocjach niesionych przez słowa. We Francji nie ma przy stole bardziej konfliktogennego hasła niż Algieria. Kandydat Republikanów Fillon zaznaczył parę miesięcy temu w rozmowie z tygodnikiem „L'Express", że Francuzi nie muszą się czuć winni tego, że nieśli Algierczykom „cywilizację i kulturę". Ta wypowiedź została odczytana jako walnięcie pięścią w stół: „Koniec z wiecznym krytykowaniem ciężko pracującego białego Francuza i jego dokonań w północnej Afryce!". Dała ona Emmanuelowi Macronowi okazję do uszczypnięcia Fillona. Prowadzący w sondażach kandydat centrolewicy zakładał, że na temat kolonializmu większość jego rodaków pragnie usłyszeć przekonania opatrzone odwrotnymi znakami wartości. Kiedy jednak Macron podczas wizyty w Algierii nazwał francuski kolonializm „zbrodnią przeciwko ludzkości", rzeczywistość nad Sekwaną szybko zweryfikowała tę ocenę.

Zresztą żadnemu kandydatowi temat Maghrebu nie dodaje punktów. „Francuscy politycy szermują ogólnikami, Algieria jest tylko polem ich bojów i rozgrywek wyborczych. Oni nie są zainteresowani opinią samych Algierczyków lub rozwiązaniem ich problemów", ubolewał krótko przed śmiercią w 2004 r. francuski filozof Jacques Derrida, co charakterystyczne – pochodzenia algierskiego. I w tym rzecz: temat Maghrebu jest tak drażliwy, ponieważ kultura Francji jest z nim nierozerwalnie związana. Prawie każdy Francuz ma w rodzinie kogoś, kto stamtąd pochodzi. Algierczykiem był także noblista Albert Camus. Autor „Dżumy" należał swego czasu do grupy intelektualistów apelujących o ścisłą współpracę francuskich i algierskich elit w odbudowie północnoafrykańskiego kraju. Odrzucał jarzmo francuskich kolonizatorów oraz terroryzm Algierczyków w walce o niepodległość jako tak samo zgubne w skutkach. Wymarzonej symbiozy nie doczekał. W tej kwestii francuscy aktorzy życia politycznego do dziś trwają w nieprzejednanym sporze.

MODEL RODZINY

Zręczniej zarządza tym tematem Marine Le Pen, która jest zbyt długo w polityce, aby nie wiedzieć, że niezadowolenie Algierczyków żyjących we Francji mogłoby się błyskawicznie rozrosnąć do protestu ulicznego.

Sarkozy i Hollande odchodzą w niepamięć i już żadnej roli raczej nie odegrają.

Liderka ultraprawicowego Frontu Narodowego mówi więc o „imigrantach" i „terrorystach", odcinając się od siermiężnej retoryki ojca. Jednak mimo to przyciąga wielu starszych Francuzów, którzy zostali wypędzeni z Algierii i żywią szczerą niechęć do Arabów. W dobie kryzysu migracyjnego i zagrożenia terrorystycznego te nieprzezwyciężone historyczne podziały wpływają oczywiście negatywnie na dzisiejszą ocenę napływających do Europy muzułmanów, kumulując we Francji problemy, których nigdy nie rozwiązano. Ze świecą szukać nad Sekwaną muzeów, które podjęłyby temat francuskiej polityki kolonialnej tak jednoznacznie, jak Niemcy tematykę podbojów pruskich czy nazistowskich.

Polityczne rodziny we Francji zmagają się jeszcze z innym problemem – z modelem rodziny jako takiej. Sarkozy i Hollande ponieśli klęskę nie tyle z powodu swoich decyzji, ile ignorowania nastrojów wyborców, którzy nie byli zbyt zainteresowani szczegółami z ich życia prywatnego.

Hollande wprowadził się w 2012 r. do Pałacu Elizejskiego z partnerką Valérie Trierweiler, z którą rozstał się nieco później w sposób na tyle ją upokarzający, że nie mogło to po-

eprasa.pl 83cd815144

zostać bez odwetu. Trierweiler opublikowała książkę, w której opisuje prezydenta jako mało empatycznego egocentryka, kompletnie nieinteresującego się rodziną. Z tych pomówień Hollande nie otrząsnął się do dziś. Z podobnych (acz nieco innych) powodów konserwatyści pozbawili drugiej szansy Sarkozy'ego. Fatalnym błędem byłego prezydenta było nadmierne przywiązanie do blichtru, potęgowane przez jego żonę Carlę Bruni. Pierwsza dama, która wcześniej pozowała do odważnych sesji w magazynach dla mężczyzn, nie mogła zostać zaakceptowana przez żelazny elektorat Republikanów. Zyskał na tym François Fillon, który ponoć nigdy nie zdradzał żony, dbającej na dodatek w domowym zaciszu o wspólne dzieci i konie. Do chwili, w której się okazało, że za czynności gospodyni domowej otrzymuje sute apanaże z Paryża, z kieszeni francuskich podatników. Być może nawet i to rodacy Fillonowi by przebaczyli, gdyby były premier uderzył w pokorę. Jacques Chirac też nie był aniołem, ale cieszył się estymą głównie dlatego, że nie moralizował.

Tę lekcję dobrze zrozumiał Emmanuel Macron, który poślubił swoją nauczycielkę ze szkoły średniej. Związek ze starszą i zawodowo aktywną kobietą Francuzi przyjęli życzliwie jako symptom nowoczesnej rodziny, w której kobieta ma coś do powiedzenia. Po ujawnionym przez francuskie media skandalu Penelope Fillon nabrała wody w usta i tygodniami milczała, jakby nie potrafiła sama uzasadnić, za co i dlaczego latami dostawała tyle pieniędzy. Zrobiła to dopiero po długim czasie, kiedy było już za późno, aby odwrócić trendy w sondażach. Zamiast tego jej mąż wcielił się w rolę patriarchalnego obrońcy rodziny, chcącego odeprzeć medialny lincz, co musiało się skończyć autokompromitacją. Zwieńczeniem jego nieudanej kampanii był wiec, na którym prawicowy kandydat został obsypany mąką. Natomiast Brigitte Macron-Trogneux umiejętnie pogrywa na medialnej klawiaturze. Sama udziela wywiadów w wysokonakładowych tygodnikach, a o mężu co najwyżej wspomina. Udrażnia drogę do Pałacu Elizejskiego podobnie jak wyemancypowana Michelle Obama.

Marine Le Pen przyciąga wielu starszych Francuzów, którzy zostali wypędzeni z Algierii i żywią niechęć do Arabów.

Jacques Chirac też nie był aniołem, ale cieszył się estymą, bo nie moralizował.

Mniej życzliwe media próbują oczywiście wrzucać kamyczki do centrolewicowego ogródka, utrzymując, jakoby sztuka Macronów była zbyt doskonale wyreżyserowana.

DECENTRALIZACJA POLITYKI

W nadchodzącą niedzielę Macron (26%) i Le Pen (25%) z dużym prawdopodobieństwem przejdą do drugiej tury, pozostawiając innych kandydatów w tyle. Ci z kolei poprą wówczas Macrona, co *de facto* zamknie „twardej blondynce" drogę na wyżyny. Zresztą liderka Frontu Narodowego sama pogrąża się w aferach i jest częścią jednej z politycznych rodzin, z którymi większość Francuzów pragnie zerwać. – Nie jest wiarygodne mówienie, że imigranci zabierają Francuzom pieniądze, gdy samemu nadużywa się środków publicznych – uważa Jean-Luc Mélenchon, lewicowy kandydat, który w sondażach zajmuje czwarte miejsce (ok. 15%).

Przedostatnia debata wyborcza (4 kwietnia) potwierdziła to, co obserwatorzy nad Sekwaną wieszczą od miesięcy – silne pragnienie decentralizacji świata polityki. Oprócz czterech głównych kandydatów, którzy wystąpili w pierwszej debacie, tym razem do słownej batalii dopuszczono siedmiu innych. Poklask publiczności zaskarbili sobie m.in. trockistka Nathalie Arthaud z Lutte Ouvrière (Walka Robotników) i antykapitalista Philippe Poutou, który trafnie punktował słabości Fillona. Debatę śledziło ok. 6,3 mln Francuzów, zdaniem dziennikarzy dziennika „Le Monde" 40% ciągle jeszcze nie wie, na kogo oddać głos. W debatach Le Pen wyraźnie traci, ponieważ znajduje się pod zgodnym ostrzałem pozostałych kandydatów (może z wyjątkiem jeszcze bardziej radykalnego François Asselineau). Trudno też utrzymywać się przy życiu politycznym postulatem rezygnacji z waluty euro względnie z członkostwa w UE, kiedy dwie trzecie Francuzów temu się sprzeciwia. To myślenie wiodące donikąd, a szanse Le Pen w drugiej turze są raczej znikome.

Wojciech Osiński

FOT. AP/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 83cd815144

Oko w oko

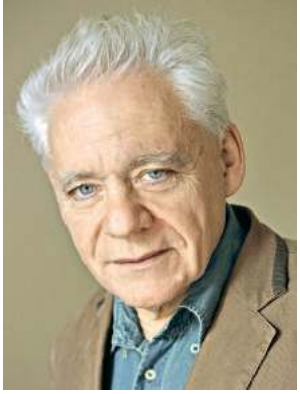

Tomasz Jastrun

ALE BOMBA!

Ta wiadomość powinna obiec świat z szybkością błyskawicy. Rządowa komisja w Polsce ma już pewne dowody na to, że samolot z polskim prezydentem, elitą polityków i wojskowych dowódców padł ofiarą zamachu. Ludzie Putina podłożyli bombę termobaryczną. Polski premier mógł brać udział w spisku. Dlaczego media światowe o tym ani mru-mru, czyżby już wszyscy wiedzieli, że Polską rządzą szaleńcy? I dlatego nikt nas nie traktuje poważnie. Dlaczego nie zrywamy stosunków dyplomatycznych z Rosją? Oni też tylko pukają się w czoło. Mamy monstrualną bzdurę i manipulację, która przejdzie do historii polskiej głupoty jako szczególne kuriozum. W końcu podzieliło to nasz kraj na pół, jakby przeciął toporem. Jak kiedyś Francję sprawa Dreyfusa. W tej całej niezwykłej sprawie ważną rolę gra pewne słowo, najczęściej wymawiane w Polsce, za to rzadko pisane. Piloci mieli czas, by je wykrzyczeć. Nie mieliby na to czasu, gdyby samolot rozerwała bomba. Jest wielki postęp techniczny, osiągnięcia w nauce, a rząd pewnego kraju w Europie i miliony jego obywateli wierzą w czary-mary. Inni są cyniczni. Zupełne zdziecinnienie. A i podłość przy okazji, bo w tej złowrogiej bzdurze bierze też udział armia cyników.

•

Jeśli już mówimy o dzieciach – mam spotkanie w szkole, duża podstawówka i wielu uczniów. Czytam im fragmenty swojej książki. Uderza, jak te „nowe dzieci" są bystre i jak dużo wiedzą. Czy więc rośnie nam pokolenie liberalne i racjonalne? Problem w tym, że fantazja „nowych dzieci" jest opanowana przez gry komputerowe, fikcja miesza się im z rzeczywistością. Jeszcze nigdy dzieci nie wiedziały tak dużo i nie były tak sprawne intelektualnie, a zarazem tak naiwne i pogrążone w fikcyjnym świecie. Dzieci napisały dla mnie krótkie opowiadanka, które miałem ocenić. Cytuję jedno, stworzył je 10-letni Oliwer. Cytat może przydługi, ale to świadectwo, gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy. „Pewnego dnia szedłem ze szkoły do domu i grałem w Pokemon Go. Po drodze spotkałem Kamila Draiwe (Pepe), razem zbieraliśmy Pokemony. Dwie minuty później Pepe złapał… Rata te (CP123). Ja nie miałem pokeballi i dlatego szliśmy obok pokestopów. Jak miałem wystarczająco dużo pokeballi, spotkałem jego… Pikacha (CP3004). Tam, tam, tam!!! Kolega aż się przestraszył. Po dwóch godzinach walki wygrałem!!! Uczciłem to graniem w Minecraft. Przyszedł do mnie Gruby i Płaski. Wygrałem z nim na Sky wars trzy razy. On wygrał na Speed builders pięć razy. Po wszystkim poszliśmy do KFC i kupiliśmy kubełek za 40 zł. Oczywiście więcej zjadłem ja. Jak wróciłem do domu, czekał na mnie najlepszy przyjaciel – Pies. Następnego dnia po szkole pojechałem pod Pałac Kultury i Nauki. Po powrocie do domu zagrałem w FIFĘ 17. Następnego dnia w szkole miałem sprawdzian z polskiego. Okazało się, że był bardzo łatwy. Czekała mnie jeszcze jedna w deseczkę rzecz – przerwa. Przez całą przerwę grałem na telefonie, rozmawiałem z kolegami. Te trzy dni były dla mnie super".

Kiedy odczytałem ten tekst na głos, dzieci pękały ze śmiechu, czysty krystaliczny zbiorowy śmiech. (Bodaj Hemingway napisał: „Ze wszystkich zwierząt tylko człowiek potrafi się śmiać, chociaż ma najmniej ku temu powodów"). „Co was tak rozśmieszyło?", pytam. Jakiś chłopczyk podniósł rękę: „Nas tak to śmieszy, bo pan nic z tego nie rozumie, a my wszystko". Odniosłem się do tego stwierdzenia z pełną pokorą.

Idę potem korytarzem z dyrektorką szkoły. Przed gabinetem siedzi kobieta i płacze. Dowiaduję się, że to nauczycielka, która w związku z reformą traci pracę. „To jest obłęd, co się dzieje", mówi dyrektorka. Nie musimy ustalać, jakie mamy poglądy, to oczywiste.

•

W mieście przypadkiem trafiam na demonstrację. Pierwsza myśl, że jakaś prawicowa, ale to pracownicy poczty, wielu z tych ludzi zarabia 1,5 tys. zł miesięcznie, tę informację niosą na transparentach. Tłum ludzi, profesjonalna organizacja, flagi, plakaty, trąbki. „Żądamy podwyżek. Za te 1,5 tys. zł listonosz obsługuje często po dwa rejony, dźwigając nieludzko ciężką torbę". Jak im nie przyznać racji? Poczta Polska to niezwykły przykład skamieliny. Kolejki, nawet pachnie dawnymi czasami, urzędniczka przez kwadrans szuka poleconego. W tle plastikowy kwiatek w wazonie i zakurzone radiomaryjne książeczki o cudownej wodzie i o świętych.

Czyżby już wszyscy wiedzieli, że Polską rządzą szaleńcy?

•

Mamy w ogrodzie starą brzozę, która jest częściowo spróchniała. Piękna staruszka, więc szkoda jej ścinać. Problem, że drzewo może w każdej chwili się złamać, kogoś zabić lub narobić szkód. Jak jednak w czasie rzezi drzew dokonać kolejnej egzekucji, nawet jeśli to jest moralnie usprawiedliwione? Myślę, że w wielu dziedzinach jest taki problem. Cała ta sytuacja nas po prostu ogłupia.

•

Znalazłem cytat na motto do mojej nowej powieści: „Gdybyśmy znali wszystko, co nas czeka, nikt nie zniżyłby się do tego, by przetrwać" (Emil M. Cioran). Ale stoję teraz nad otchłanią, bo nie mam pomysłu na nową książkę. I nic nie zasłania mi tej przepaści.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

epraśa.pl 83cd815144

Jan Misiuna

ZADŁUŻONY JAK STUDENT

Długi studenckie to wielki problem Stanów Zjednoczonych, a także wielki biznes. Czy będą przyczyną następnego kryzysu finansowego?

Witajcie w USA! Państwie najlepszych na świecie uczelni wyższych, na których pracuje najwięcej laureatów Nagrody Nobla. Państwie, w którym 64% populacji przynajmniej otarło się o edukację trzeciego stopnia, a 34% ukończyło studia licencjackie lub równorzędne. Państwie, w którym skumulowana wartość pożyczek zaciągniętych w celu opłacania studiów już obecnie wynosi 1,5 bln dol., a do końca przyszłego roku wzrośnie do 2 bln dol. Roczna wartość samych odsetek od takich kwot to 90 mld dol. Jednak jeszcze 10 lat temu długi studenckie wynosiły łącznie „tylko" 447 mld dol. Jak doszło do tak wielkiego zadłużenia?

DŁUGI NASZE POWSZEDNIE

Chociaż zadłużenie studenckie dotyczy ok. 44 mln Amerykanów, tj. 13,5% całej ludności, to nic nie zapowiadało, że będzie to zjawisko powszechne. Gdy w 1840 r. wprowadzono pierwsze pożyczki studenckie, dostępne były one wyłącznie dla studentów Uniwersytetu Harvarda. Na przełom przyszło czekać 120 lat: w 1965 r. pożyczkami dla studentów, finansowanymi ze środków publicznych, zaczął zarządzać Departament Edukacji. Był to początek wzrostu ich popularności. Już w latach 80. XX w. mówiono o kryzysie i nadmiernym zadłużeniu studentów i absolwentów, którzy byli winni rządowi federalnemu 10 mld dol., z czego ponad jedna czwarta musiała spłacić długi przekraczające 10 tys. dol. (dzisiaj odpowiadałoby to 21 tys. dol.). Opinia publiczna uznała tę sytuację za skandal. Tymczasem okazało się, że był to zaledwie początek kłopotów: w latach 90. długi zaczęły szybko rosnąć. Absolwent studiów licencjackich z roku 1993 był zadłużony przeciętnie na 9 tys. dol. Jego młodsza koleżanka, która studia licencjackie ukończyła w 1998 r., musiała zwykle spłacić już 15 tys. dol., a absolwenci z 2003 r. wchodzili w życie poza uczelnią z długiem 17,5 tys. dol.

To i tak niewiele w porównaniu z obecnymi realiami. Teraz absolwent studiów licencjackich ma przeciętnie dług wynoszący 35 tys. dol. Zjawisko to dotyczy 20% wszystkich gospodarstw domowych i 40% wszystkich Amerykanów poniżej 35. roku życia. W latach 1993-2012 łączna wartość wszystkich form długów studenckich wzrosła o 200%.

Problem zadłużenia nie dotyka wszystkich absolwentów w tym samym stopniu. Dotkliwszy jest dla kobiet, które w USA zwykle zarabiają tylko ok. 80-90% (w grupie 25-34 lata) tego, co mężczyźni na takich samych stanowiskach. A także dla ludności czarnej, zwykle studiującej na gorszych uczelniach i niemającej rezerw finansowych, co zmusza do zaciągnięcia większych pożyczek. W tej grupie prawdopodobieństwo ukończenia studiów z długiem nie do spłacenia jest większe niż w przypadku białej populacji. Co więcej, cztery lata po ukończeniu studiów zadłużenie czarnych absolwentów jest zwykle dwa razy wyższe niż białych: długi czarnych są o 10% większe niż w dniu uzyskania dyplomu, a białych o 6% mniejsze. Problemy ze spłatą długów są jednak powszechne.

Absolwent studiów licencjackich ma przeciętnie 35 tys. dol. długu.

W 2010 r. przeprowadzono badanie absolwentów z roku 2005. Okazało się, że aż 63% z nich miało lub ma trudności ze spłatą pożyczek. Teraz nie jest lepiej: ponad 11% pożyczek studenckich nie jest spłacanych. Należy oczekiwać, że dla pokolenia dzisiejszych studentów, obarczonych jeszcze większymi długami, wskaźnik ten w najlepszym wypadku nie spadnie, a najprawdopodobniej wzrośnie.

SKĄD TYLE DŁUGÓW?

Skoro 70% absolwentów studiów licencjackich kończy studia z długami, warto postawić pytanie o przyczyny masowego zadłużania się młodych ludzi. Jedną z nich jest zmiana nastawienia Amerykanów – czym była spowodowana, to osobna kwestia – do zadłużania się: o ile jeszcze na przełomie lat 80. i 90. XX w. obsługa zadłużenia stanowiła zwykle mniej niż 3,5% miesięcznego budżetu przeciętnego Amerykanina, to zaledwie 10 lat później było to już 8%. Inną przyczyną jest rosnąca presja na wykształcenie, co ma gwarantować zatrudnienie i lepsze wynagrodzenia. Niekoniecznie ma to pokrycie w faktach: według badania National Bureau of Economic

eprasa.pl 83cd815144

Research (przenalizowano historie 567 tys. osób, które studiowały w latach 2006-2008) studenci względnie drogich uczelni, nastawionych na zysk (przeciętne czesne w 2014 r. wynosiło ponad 8 tys. dol.) zarabialiby więcej, gdyby nie podejmowali studiów – obecnie absolwenci tych uczelni zarabiają o 900 dol. rocznie mniej niż przed studiami – lub studiowali na tanich (przeciętne czesne 712 dol.) kolegdżach lokalnych (*community college*) – ich absolwenci zarabiają o 1,5 tys. dol. rocznie więcej niż przed studiami.

Presja na kształcenie jest dodatkowo wzmacniana agresywną reklamą, na którą uczelnie, szczególnie te nastawione na zysk (*for-profit universities*), przeznaczają ogromne kwoty. W pewnym momencie uniwersytet w Phoenix, uczelnia *for-profit*, miał budżet na reklamę większy niż firma Apple, jeden z największych wytwórców sprzętu elektronicznego.

Ani reklama, ani presja na edukację, ani wzrost finansowania konsumpcji za pomocą kredytu nie tłumaczą jednak, dlaczego pożyczki studenckie są źródłem aż tylu problemów – nie tylko młodych ludzi. Jednym ze źródeł problemów ze spłacaniem kredytów studenckich finansowanych z budżetu federalnego i administrowanych przez Departament Edukacji jest brak jakichkolwiek form ochrony, dostępnych wszystkim korzystającym np. z kredytów konsumenckich czy zaciągniętych u pożyczkodawców prywatnych, choćby pod postacią upadłości konsumenckiej.

Departament Edukacji zarabia na pożyczkach ok. 50 mld dol. rocznie. Również na tych niespłacanych.

W efekcie rząd federalny doskonale zarabia na kredytach studenckich. Departament Edukacji udzielił pożyczek na łączną kwotę przekraczającą 1 bln dol. i zarabia na nich ok. 50 mld dol. rocznie. Co więcej, zarabia nawet na niespłacanych pożyczkach. Czy można się dziwić, że Departament Edukacji robi, co w jego mocy, by zablokować każdą proponowaną reformę systemu kredytowania studiów, która wprowadzałaby jakąś ochronę pożyczkobiorców? Zarobkom rządu federalnego na kredytach studenckich sprzyja również ich wyjątkowo wysokie oprocentowanie. Mimo spadku kosztów kredytu – Rezerwa Federalna od lat utrzymuje stopy procentowe na bardzo niskim poziomie – rząd federalny nie obniżył oprocentowania pożyczek studenckich. Nie widział powodu: studenci i tak są zmuszeni do zaciągnięcia kredytu, będą więc płakać i spłacać.

KONSEKWENCJE ZADŁUŻENIA

Duże zadłużenie – rozłożone nierównomiernie: najbardziej zadłużeni są studenci w New Hampshire, Pensylwanii i Connecticut (ponad 34 tys. dol. na studenta), najmniejsze długi mają studenci w Utah, Nowym Meksyki i Kalifornii (nie więcej niż 22 tys. dol.) – to też poważne konsekwencje społeczne. Badanie przeprowadzone w 2013 r. przez think tank Demos pokazało, że przeciętnie zadłużona para po czteroletnich studiach, mająca łącznie 53 tys. dol. długu studenckiego, będzie w ciągu życia miała majątek mniejszy aż o 208 tys. dol. Takie obciążenie nie tylko wpływa negatywnie na mobilność społeczną, ale przede wszystkim opóźnia podejmowanie kluczowych decyzji: o zakupie mieszkania, zawarciu związku małżeńskiego i wreszcie o posiadaniu dzieci.

Wzrastające zadłużenie studentów ma też konsekwencje w postaci rosnącego zadłużenia rodziców, którzy zapożyczają się, by pomóc dzieciom. Oni również korzystają z systemu pożyczek finansowanych przez rząd federalny, którego administratorem jest Departament Edukacji. W 2016 r. obsługiwał on 3,3 mln pożyczek na łączną kwotę 74,5 mld dol. – przeciętnie na 22 tys. dol. – zaciągniętych przez rodziców studentów. W 2015 r. wśród tych rodziców było aż 210 tys. osób w wieku powyżej 65 lat (czyli emerytalnym). Spośród nich aż 25% nie było w stanie spłacać długów, a w ponad 7 tys. przypadków Departament Edukacji zajmował co miesiąc część emerytury gwarantowanej wypłacanej przez Social Security. Ludzie o teoretycznie stabilnej sytuacji finansowej nie mogą spłacać długów zaciągniętych na kształcenie dzieci, bo kredyty skierowane do rodziców są oprocentowane

FOT. SIPA/EAST NEWS

eprasa.pl 83cd815144

jeszcze wyżej niż i tak wyjątkowo drogie kredyty studenckie.

Powszechność kredytów studenckich doprowadziła do gwałtownego wzrostu kosztów kształcenia. Tylko między 2005 a 2010 r. opłaty za studia wzrosły o 20% w przypadku uczelni publicznych – gdyby cofnąć się jeszcze o pięć lat, wzrost kosztów kształcenia na uczelniach publicznych przekroczyłby 70% – i 14% w przypadku uczelni prywatnych, czyli w tempie znacznie przekraczającym inflację. Szkolnictwo wyższe jest zalane pieniędzmi z kredytów. Wyższe czesne spowodowało, że uczelniom publicznym niestraszne jest nawet obcięcie po ostatnim kryzysie o jedną trzecią dotacji przez władze stanowe czy mniejsze środki federalne. O ile w 1987 r. czesne na uczelniach publicznych pokrywało zaledwie 23% kosztów kształcenia, to w 2012 r. stanowiło już 45%. Zarazem o ile w latach 80. pożyczka od rządu federalnego dla biednych studentów (tzw. *Pell Grant*) pokrywała ponad połowę kosztów czteroletnich studiów na uczelni publicznej, dziś środki, które można w jej ramach uzyskać, wystarczają na jedną trzecią wszystkich wydatków.

Szkolnictwo wyższe jest zalane pieniędzmi z kredytów.

Chociaż uczelnie dysponują większymi środkami niż kiedyś, nie inwestują ich w kadrę naukowo-dydaktyczną. Najintensywniej rozwijane są piony administracyjne. W latach 1993-2009 liczba profesorów zatrudnionych na umowach stałych (tzw. *tenure*) – gwarantujących pewność zatrudnienia i swobodę prowadzenia badań – wzrosła o 10%. W tym samym okresie zatrudnienie w administracjach uniwersytetów wzrosło o 60%. Administracja uniwersytecka nie tylko nigdy nie była tak liczna, ale również nigdy nie była tak dobrze wynagradzana. Badanie wynagrodzeń prezydentów 497 uczelni wyższych przeprowadzone w 2013 r. przez „The Chronicle of Higher Education" wykazało, że aż 32 z nich zarabiało rocznie ponad 1 mln dol. (rekordzistą był prezydent Uniwersytetu Columbia Lee C. Bollinger, który ze wszystkimi dodatkami i benefitami zarabiał 4,6 mln dol.), przy średniej 436 tys. dol.

Powszechność kredytów studenckich doprowadziła do dużego wzrostu kosztów kształcenia.

DROGI WYJŚCIA

Bańka kredytów studenckich, jak coraz częściej nazywana jest ta sytuacja, wymaga pilnego rozwiązania. Jednym ze sposobów na wyeliminowanie choćby części problemów byłoby rozszerzenie upadłości konsumenckiej, tak by obejmowała ona również kredyty studenckie. Zapewniłoby to ochronę pożyczkobiorcom, ponadto za sprawą ograniczenia wielkości dostępnych kredytów mogłoby spowodować wymuszenie obniżenia czesnego. Konieczność zderzenia się Departamentu Edukacji z konsumentami chronionymi przed wszechpotęgą administracji doprowadziłoby do usunięcia przynajmniej części patologii w federalnym systemie kredytów studenckich. Innym sposobem zmniejszenia obciążenia osób obarczonych pożyczkami studenckimi mogłoby być dostosowanie wysokości spłacanych rat kredytu do aktualnego wynagrodzenia osoby zadłużonej. Lub wydłużenie okresu spłaty (obecnie przeciętnie 10 lat, rata jest stała i niezależna od wielkości bieżącego wynagrodzenia).

Kolejnym sposobem mogłoby być zwiększenie dostępności istniejących już programów, które pozwalają refinansować i konsolidować kredyty, co umożliwia obniżenie ich oprocentowania oraz wysokości miesięcznych rat.

Na rozwiązanie problemu w najbliższej przyszłości nie należy liczyć, chociaż w prezydenckiej kampanii wyborczej prawie wszyscy kandydaci – szczególnie Bernie Sanders – mówili o konieczności szybkiego podjęcia działań. Nawet Donald Trump mówił, że nie powinno się zarabiać na pragnieniu zdobywania wiedzy. Jednak już jako prezydent temat ignoruje, a szefowa Departamentu Edukacji Betsy DeVos podjęła działania zmierzające do cofnięcia elementów ochrony zadłużonych studentów, które wprowadzono w ostatnim roku urzędowania Baracka Obamy. Tym samym przypieczętowany został los wielu studentów, którzy mimo ciężkiej pracy nie będą w stanie skończyć studiów bez pokaźnych długów.

Jan Misiuna

KSIĄŻKA

PIENIĄDZE W AMERYKAŃSKICH KAMPANIACH WYBORCZYCH

Jan Misiuna,
Pieniądze i kampanie wyborcze w Stanach Zjednoczonych,
Oficyna Wydawnicza SGH, Warszawa 2017
www.wydawnictwo.sgh.waw.pl

„Jest to pierwsza w Polsce praca ujmująca całościowo i wieloaspektowo kwestię finansowania federalnych kampanii wyborczych w Stanach Zjednoczonych" – tak książkę naszego autora, Jana Misiuny z Katedry Studiów Politycznych w Kolegium Ekonomiczno-Społecznym SGH, ocenia ekonomista prof. Bazyli Samojlik. Praca dotyczy zarówno aspektów prawnych, jak i kwestii czysto finansowych. Poznanie tych zagadnień ma kapitalne znaczenie, ponieważ zaangażowanie w proces finansowania działań wyborczych oznacza późniejsze wywieranie wpływu na podejmowane decyzje polityczne i ich gospodarcze konsekwencje, które ze względu na pozycję USA w świecie mają globalny charakter.

Autor analizuje mocne i słabe strony mechanizmu finansowania kampanii wyborczych, przedstawia też zmiany dokonane w latach 2010-2016. Zwraca uwagę, że decyzje Sądu Najwyższego, który odrzucił reguły dążące do ograniczenia policji elit finansowych, doprowadziły do odtworzenia XIX-wiecznego systemu finansowania federalnych kampanii wyborczych. Skutki tych postanowień mogą być bardzo dalekosiężne. Czy należy się spodziewać również odtworzenia ówczesnej kultury politycznej z wszechogarniającą korupcją? – pyta autor na zakończenie.

eprasa.pl 83cd815144

PIŁSUDSKIEGO WIZJA DEMOKRACJI

W wyborach 1928 r. sanacja pokazała, jak można wpływać na wyniki głosowania

„Rząd, który doszedł do władzy na skutek próby sił przez most, nie upada na skutek próby sił przez drzwi". Marszałek Piłsudski 12 maja 1926 r. z grupą oficerów zmierza na spotkanie z prezydentem Wojciechowskim.

Krzysztof Wasilewski

13 marca 1928 r. w mieszkaniu Walerego Sławka odbyło się spotkanie Józefa Piłsudskiego z najbliższymi współpracownikami. Obok gospodarza uczestniczyli w nim m.in. Kazimierz Bartel, Kazimierz Świtalski, Eustachy Sapieha, Marian Kościałkowski i Adam Koc. Innymi słowy – byli, obecni i przyszli ministrowie i premierzy. Temat spotkania był jeden – zakończone dwa dni wcześniej wybory parlamentarne. Komentując nową sytuację polityczną, Piłsudski tłumaczył: „Musicie pójść na rewizję konstytucji, ale to praca bardzo długa, gdyż tam jest tyle zagadnień i spraw, że szybko ich wyczerpać niepodobna. Natomiast na razie najważniejszy jest regulamin i ten musicie przepracować. Jedną z ważniejszych rzeczy jest to, by porządek Sejmu był razem z rządem układany. Tymczasem Sejm jako instytucja się zatraca. Sejm nie jest od tego, by zamęczał rząd. Zresztą, o ile Sejm nie będzie chciał z rządem współpracować, to będzie rozpędzony".

W tych kilku słowach marszałek nie tylko streścił swój pogląd na demokrację, ale także zarysował plan działania na najbliższe lata. Chociaż wybory parlamentarne z 4 i 11 marca 1928 r. zakończyły się ledwie umiarkowanym sukcesem obozu sanacji, nikt nie miał wątpliwości, że nie o wynik wyborczy tutaj chodziło. Wszak, jak celnie spuentował Jerzy Zdziechowski, polityk Związku Ludowo-Narodowego: „Rząd, który doszedł do władzy na skutek próby sił przez most, nie upada na skutek próby sił przez drzwi" (aluzja do walk na warszawskich mostach podczas zamachu majowego oraz do sposobu sejmowego głosowania polegającego na przechodzeniu przez osobne drzwi posłów głosujących „tak" i „nie").

> O ile Sejm nie będzie chciał z rządem współpracować, zostanie rozpędzony.

KULT MARSZAŁKA

Obóz rządzący rozpoczął przygotowania do wyborów kilka miesięcy wcześniej. Pod koniec 1927 r. Walery Sławek otrzymał zadanie stworzenia Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem – efemerydy odcinającej się od dotychczasowych partii, w skład której planowano włączyć przedstawicieli całego spektrum politycznego oraz mniejszości narodowych. Spoiwem miała być osoba Józefa Piłsudskiego. Do BBWR przystąpiły m. in. Partia Pracy, Stronnictwo Prawicy Narodowej, Chrześcijańskie Stronnictwo Rolnicze czy Stronnictwo Katolicko-Ludowe – niewielkie ugrupowania noszące różne

eprasa.pl 83cd815144

nazwy i odwołujące się do różnych idei, jednak zdominowane przez ludzi oddanych marszałkowi.

Tworząc pozory pluralizmu politycznego, sanacja wystawiła aż cztery listy wyborcze. Przewodził im BBWR, startujący z symboliczną jedynką. Natomiast w Poznaniu i województwach zachodnich zwolennicy Piłsudskiego wystąpili pod nazwą Narodowo-Państwowego Bloku Pracy, reprezentującego lewe skrzydło sanacji. W tym rejonie wystawiono ponadto listę Katolickiej Unii Ziem Zachodnich, na której większość stanowili właściciele ziemscy. Pod tym samym szyldem piłsudczycy startowali także w konserwatywnej Małopolsce.

Bez względu na nazwę ugrupowania sanacyjne występowały ze wspólnymi hasłami wyborczymi, koncentrującymi się wokół marszałka. „Jedynym budowniczym Polski, w którego kraj dziś wierzy, jest Józef Piłsudski – wódz, obrońca, twórca państwa, wychowawca narodu i dobry gospodarz – głosuj na jedynkę", zachęcał slogan BBWR. Inne odwoływały się do argumentu jedności społeczeństwa: „Tworzymy potęgę demokracji, tworzymy potęgę ludu pracującego. Niech żyje potężny, zjednoczony lud polski". Jeszcze inne wprost podważały sens istnienia wielu partii, a tym samym i demokracji: „Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść".

Sama kampania BBWR i pozostałych partii sprzyjających Piłsudskiemu była prowadzona z niespotykanym wcześniej rozmachem. Plakaty i afisze zdominowały krajobraz miast i miasteczek na długo przed marcem. „Aparat wyborczy zaopatrzono w ogromną ilość druków i plakatów, wszędzie rozwieszano portrety Piłsudskiego – zauważa historyk Wojciech Roszkowski. – Rozmach tej akcji, przytłaczającej inne partie, wskazywał wyraźnie na poparcie bogatych kół przemysłowo-ziemiańskich. Domyślano się, że część funduszy pochodzić musi z kasy państwa".

Aparat wyborczy zaopatrzono w ogromną ilość druków i plakatów, wszędzie rozwieszano portrety Piłsudskiego.

Kampanii wyborczej prowadzonej przez sanację sprzyjała też gospodarka. Szczęśliwie dla Piłsudskiego pomyślna koniunktura zbiegła się z zamachem majowym, dzięki czemu marszałek i jego współpracownicy mogli sobie przypisać wzrost gospodarczy. Wskaźniki ekonomiczne musiały zaś budzić uznanie – także w zestawieniu z innymi państwami europejskimi. Produkcja przemysłowa w Polsce w latach 1926-1929 wzrosła o 41%, podczas gdy w Czechosłowacji o 34%, w Niemczech o 25%, a we Francji zaledwie o 11%. Dzięki pomyślnej koniunkturze o jedną trzecią spadło bezrobocie. Wzrosły też płace. Był to jednak rezultat startowania Polski z niezwykle niskiego poziomu oraz korzystnej sytuacji międzynarodowej.

Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że podobne wskaźniki rodzima gospodarka osiągnęłaby i bez autorytarnych rządów sanacji.

MISJA ŚWITALSKIEGO

Mimo finansowej i organizacyjnej przewagi, mimo bezpośredniego wsparcia rządu, obóz sanacyjny nadal obawiał się zjednoczonej opozycji. Za najważniejszego przeciwnika – całkiem słusznie – uznawano endecję. Tym samym to narodowa prawica stała się głównym celem dezintegracyjnej działalności specjalnego wysłannika Piłsudskiego – Kazimierza Świtalskiego. Ten doświadczony polityk od wielu miesięcy spotykał się z przedstawicielami różnych partii, z jednej strony składając obietnice, z drugiej zaś sięgając po groźby, aby tylko zapobiec stworzeniu jednej prawicowej listy. W przypadku narodowej prawicy Świtalski odniósł całkowity sukces. Endecja zdecydowała się bowiem wystartować jedynie z rachitycznym Stronnictwem Chrześcijańsko-Narodowym, skutecznie ograniczając swoje szanse na zwycięstwo wyborcze.

Kroki na rzecz dezintegracji podjęto także w kierunku mniejszości narodo-

Posłowie i senatorowie II kadencji II RP

Największe ugrupowania liczącego 444 posłów Sejmu II kadencji II RP (stan na koniec kadencji)

• Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem	**(122 posłów)**
• Związek Parlamentarny Polskich Socjalistów	**(63 posłów)**
• Narodowo-Chrześcijańskie Stronnictwo Pracy	**(45 posłów)**
• Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie"	**(40 posłów)**
• Związek Ludowo-Narodowy	**(37 posłów)**
• Ukraińsko-Białoruski Klub Sejmowy	**(30 posłów)**
• Stronnictwo Chłopskie	**(26 posłów)**
• Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast" (1913–1931)	**(21 posłów)**
• Niemiecki Klub Parlamentarny	**(19 posłów)**
• Zjednoczenie Posłów Niemieckich	**(17 posłów)**
• Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji	**(15 posłów)**
• Narodowa Partia Robotnicza	**(14 posłów)**
• Narodowa Partia Robotnicza-Lewica	**(14 posłów)**
• Koło Żydowskie	**(13 posłów)**

W liczącym 111 senatorów Senacie powstało 12 klubów. Największy z nich – BBWR – miał 46 senatorów.

eprasa.pl 83cd815144

Jedna z komisji wyborczych w Warszawie.

wych. Świtalski proponował miejsce dla ich działaczy na listach rządowych, ostrzegając jednocześnie, że wystawienie oddzielnych list spowoduje wzrost napięcia narodowościowego w kraju: „Jeżeli wybory pójdą według list narodowych, to wtedy nie uniknie się zaostrzenia walk narodowościowych, co zahamuje dotychczasowy proces układania się *modus vivendi* w Małopolsce Wschodniej".

Obarczanie ugrupowań mniejszości narodowych winą za ewentualne zaognienie konfliktu było otwartym szantażem. W końcu to władza posiadała

Władze unieważniały nawet dwie trzecie list partii opozycyjnych.

wszelkie narzędzia do prowadzenia skutecznej polityki narodowościowej, nie odwrotnie. W konsekwencji mniejszości wystartowały we własnym bloku, podkreślając w swojej deklaracji, że do tej pory „zasadnicze postulaty nie zostały uwzględnione. Walka o należne nam prawa nie może być tedy przerwana. A w tej walce połączenie nasze w jeden potężny blok wyborczy stanowi o sile naszych przedstawicielstw, które walkę tę prowadzić będą".

NIEUDANA PRÓBA ZJEDNOCZENIA OPOZYCJI

Już pod koniec 1927 r. pierwsze próby jednoczenia podjęła opozycja lewicowa i ludowa. W październiku Stronnictwo Chłopskie wystosowało odezwę do pozostałych partii, w której pisano: „W celu stworzenia siły Polski pracującej proponujemy panom stworzenie demokratycznego bloku wyborczego w następującym składzie: Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Chłopskie, PSL »Wyzwolenie«, Partia Pracy i NPR-Lewica". Okazało się jednak, że różnice między poszczególnymi partiami, a także w samym Stronnictwie Chłopskim, pozostawały zbyt duże i o wspólnej liście nie mogło być mowy.

Dążąc do rozbicia głosów oddanych na lewicę, sanacja zgodziła się na udział w wyborach Polskiej Partii Komunistycznej. Świtalski z satysfakcją odnotowywał, że pomysł ten wywołał panikę w szeregach PPS. Jak pisał – nawiązując do niedawnych wyborów samorządowych z maja 1927 r. – liderzy tej partii „chcieli przekonać mnie, że robotnicy, np. łódzcy, są obecnie rozczarowani, że głosowali na przepadłą listę komunistyczną miejską". Ich zdaniem był to wystarczający powód, aby uniemożliwić KPP start w wyborach. Tym samym PPS, publicznie głosząca potrzebę obrony demokracji przed autokratycznymi rządami Piłsudskiego, sama proponowała nagięcie prawa w stosunku do politycznego rywala.

Świtalski nie ograniczał się jedynie do wysłuchiwania dywagacji polityków opozycji. Podczas rozmowy z przedstawicielami PPS ostrzegł ich, że „inny będzie stosunek rządu do PPS, jeśli partia pójdzie do wyborów sama, inny zaś, gdy utworzy blok z »Wyzwoleniem«". Wkrótce też podobne spotkanie odbył z przywódcami

Za najważniejszego przeciwnika uznawano endecję.

PSL „Wyzwolenie". Jak przekonywał swoich rozmówców, byli oni „oszukiwani przez PPS, która chciałaby ewentualne swoje straty poczynione przez komunistów powetować na wsi, w ten sposób PPS odbija się od swojej bazy, jaką stanowi dla niej sfera robotnicza, przerzuca się na wieś, dając możność opanowania robotników przez żywioły komunistyczne".

Mogło się wydawać, że obóz rządzący więcej wysiłku wkładał w skłócenie opozycji niż w prowadzenie własnej kampanii wyborczej. Analizując przygotowania do wyborów z 1928 r., historyk Andrzej Ajnenkiel tak podsumował misję Świtalskiego: „Założenia taktyczne tej akcji były następujące: odebranie możliwie największej liczby mandatów istniejącym stronnictwom, przede wszystkim endecji i »Piastowi«, które atakowano najbardziej, niedopuszczenie do tworzenia antysanacyjnych porozumień wyborczych, wygrywanie wzajemnej walki między różnymi siłami politycznymi, zwłaszcza na lewicy".

FASADOWA DEMOKRACJA

Pierwsze po zamachu majowym wybory miały być demonstracją po-

eprasa.pl 83cd815144

parcia dla obozu władzy. Dlatego obok destrukcyjnej działalności Świtalskiego rząd podjął bardziej bezpośrednie kroki, mające zagwarantować mu zwycięstwo. O tym, że po 1926 r. demokracja miała jedynie fasadowy charakter, przekonano się, gdy na generalnego komisarza wyborczego mianowano Stanisława Cara, urzędującego wiceministra sprawiedliwości. Zgodnie bowiem z ustawą obsadzenie tego stanowiska było prerogatywą prezydenta RP, który wybierał spośród trzech kandydatów przedstawionych mu przez Zgromadzenie Prezesów Sądu Najwyższego. Jednak nazwiska Car nie było na liście. „Jeżeli Komendant każe, to obejmę tę funkcję", skwitował wątpliwości prawne sam zainteresowany.

Za zgodą, a często i z inspiracji Cara władze wprost ingerowały w kształt list partii opozycyjnych. W niektórych przypadkach unieważniano nawet dwie trzecie list. W odpowiedzi „zgłaszano je często pod różnymi nazwami, stosując taktykę przygotowywania swego rodzaju list rezerwowych na wypadek unieważnienia głównej". Zdaniem Ajnenkiela, szczególne represje dotknęły KPP, która prowadziła kampanię wyborczą „w warunkach masowych aresztowań jej członków, zamykania lewicowych związków zawodowych, konfiskat literatury wyborczej i innych utrudnień". W tej sytuacji zwycięzca mógł być tylko jeden.

W marcowych wyborach wzięła udział rekordowa liczba obywateli – 78,3% uprawnionych do głosowania, a więc niemal o 10% więcej niż w 1922 r. Czy oznaczało to poparcie dla zamachu majowego? Czy może wręcz przeciwnie – społeczeństwo chciało pokazać, że nadal wierzy w siłę demokracji?

Jedna czwarta wszystkich głosów padła na listy BBWR i pozostałych partii związanych z sanacją. Trudno jednoznacznie odpowiedzieć, czy był to sukces, zważywszy, że „znaczna liczba mandatów zdobyta została z powodu nadużyć wyborczych". Jak przekonuje Ajnenkiel, do największych fałszerstw dochodziło w województwach wschodnich, „gdzie administracja działała w sposób często niemal niekontrolowany". Prof. Andrzej Garlicki dodaje jednak, że „w Polsce centralnej liczono się z opinią publiczną i starano się unikać brutalnego łamania prawa. Na terenach byłego zaboru pruskiego postępowano jeszcze ostrożniej".

BBWR dysponował ogromną liczbą plakatów i ulotek zachęcających do głosowania na to ugrupowanie, które na listach wyborczych miało numer 1.

Znaczną część mandatów BBWR zdobył w wyniku nadużyć wyborczych.

Zdecydowaną klęskę poniosły prawica i centrum, które dotychczas tworzyły parlamentarną większość. W sumie zdobyły zaledwie jedną piątą wszystkich. głosów. Poparcie dla endecji spadło z 28% do zaledwie 8,4%. Jeden z polityków Związku Ludowo-Narodowego Juliusz Zdanowski skomentował ten dramatyczny wynik w swoim pamiętniku: „Przestaliśmy być stronnictwem całej Polski. Na południe od Wieprza i Pilicy, na wschód od Bugu nie ma nas. Nie można zasiewać pewnych poglądów, które na pewnych gruntach w ogóle nie rosną".

Kolejnym wielkim przegranym okazało się PSL „Piast". Dotychczas druga siła parlamentarna, w marcowych wyborach wprowadził do Sejmu zaledwie 21 posłów, stając się dopiero siódmym co do wielkości klubem. Co więcej, wielu doświadczonych polityków przepadło, a ich miejsca zajęli ludzie szerzej nieznani i niekompetentni. Jak podkreślał Garlicki, w klubie poselskim PSL „istniała nadal dość liczna grupa zwolenników poszukiwania porozumienia z sanacją". Sam Witos krytycznie wypowiadał się o swoich kolegach z poselskich ław: „Szukano z uporem czegoś niedoścignionego i niemożliwego, wypierano się przeszłości, i to tej przeszłości, która im mogła jedyny zaszczyt przynosić".

Zdecydowaną klęskę poniosła prawica i centrum. Poparcie dla endecji spadło z 28% do 8,4%.

WZMOCNIENIE LEWICY

Nie bez racji Adam Próchnik pisał, że „jedynym zwycięzcą w tych wyborach była lewica, a zwłaszcza PPS, ale i to zwycięstwo było względne". Partia ta uzyskała 65 mandatów (w tym dwa zdobyte przez niemieckich socjalistów), a więc o 24 więcej niż w poprzednich wyborach. Zaskakująco dobrze PPS wypadła zwłaszcza w małych miasteczkach i na wsi. To właśnie głosy prowincji zapewniły jej tak dobry rezultat. Natomiast w wielkich miastach, m.in. w Łodzi i Warszawie, silną konkurencją dla socjalistów okazała się KPP. Komunistyczny klub liczył siedmiu posłów, choć – jak przyznawała ówczesna prasa – „pod ich bezpośrednim wpływem znajdowało się dwudziestu kilku".

O sporym sukcesie mogły także mówić radykalne stronnictwa ludowe. PSL „Wyzwolenie" otrzymało 40 mandatów, a miarą wzrostu jego znaczenia był powrót w jego szeregi znanego po-

eprasa.pl 83cd815144

lityka i publicysty Stanisława Thugutta. Swój poprzedni wynik poprawiło ponadto Stronnictwo Chłopskie, mimo że już w trakcie kampanii wyborczej przeżyło rozłam, który niewątpliwie był wynikiem działalności Świtalskiego.

Jak więc ostatecznie ocenić wynik wyborów z marca 1928 r.? Ani w Sejmie, ani w Senacie partie prorządowe nie zdobyły większości. W izbie wyższej parlamentu BBWR dysponował zaledwie 46 mandatami, natomiast do uzyskania większości sejmowej zabrakło sanacji i współpracującym z nią małym klubom 93 mandatów. Zważywszy na poniesione koszty, bezpośrednie zaangażowanie administracji rządowej i fałszerstwa, ten dosyć średni rezultat musiał rozczarowywać.

Mimo to i Piłsudski, i jego współpracownicy uznali wybory za sukces. Wbrew bowiem wszelkiej logice, słaby wynik BBWR w pełni wpisywał się w nakreślony wcześniej plan. Intencje sanacji dobrze odczytał Stanisław Cat-Mackiewicz, sam świeżo upieczony poseł z ramienia BBWR, który tuż po wyborach pisał: „Należy przecież pamiętać, że marszałek Piłsudski dowiódł, że nie po to zrobił zamach majowy, nie po to zahamował bezład parlamentarny, aby odebrać rządy jednej większości parlamentarnej i oddać je innej większości parlamentarnej. Nie dlatego odebrał je jednym partiom, aby oddać je innym partiom. Toteż uważamy, że nie jest klęską rządu, że nie uzyskał większości (do której zresztą nigdy nie dążył), lecz przeciwnie – byłoby niepowodzeniem zamysłów rządu. Każda większość parlamentarna, a więc i większość »jedynkowa« byłaby dla polityki rządu niepożyteczna, byłaby dla Polski przedwczesna".

Jedynym zwycięzcą w wyborach 1928 r. była lewica, a zwłaszcza PPS.

Po zamachu majowym demokracja w Polsce miała charakter fasadowy. Nic więc dziwnego, że i same wybory traktowano jako mało znaczący plebiscyt, od którego wyniku nic nie zależało. Z większością parlamentarną czy bez, niepodzielna władza i tak znajdowała się w rękach Piłsudskiego i jego stronników. Przebieg kolejnych wyborów jedynie to potwierdził.

Krzysztof Wasilewski

WOJNA O PORTY – post scriptum

Podpisanie porozumienia z NRD było rezultatem pracy wielu dyplomatów i ekspertów

Ryszard Paciorkowski

W artykule „Wojna o porty" (PRZEGLĄD nr 14) Eugeniusz Guz stwierdza: „W latach 80. XX w. NRD zaczęła samowolnie rozszerzać swoje wody terytorialne w sąsiedztwie Polski z 3 do 12 mil morskich". Prawo morskie uchwalone w 1982 r. przez III konferencję ONZ Prawa Morza, usankcjonowało prawo państw do ustanowienia 12-milowego morza terytorialnego. NRD z tego skorzystała. Być może naruszono jakieś zasady i procedury (są one ściśle określone w prawie morskim) przy ustaleniu granic, ale nic nie wiem w tej sprawie.

Decyzja Berlina spowodowała, że tory podejściowe do portów Świnoujście i Szczecin oraz związana z nimi infrastruktura wodna znalazły się na terytorium NRD. Polska z takim stanem rzeczy pogodzić się nie mogła. Powstał konflikt interesów między obydwoma państwami. Zastanawiające było ostentacyjne demonstrowanie swoich praw do spornego terytorium morskiego m.in. poprzez wywoływanie incydentów. Pewnie chwiejąca się coraz bardziej SED chciała w ten sposób zademonstrować niezależność i narodowy, niemiecki charakter.

W dalszej części artykułu autor pisze: „Władze polskie nie pozostawały bezczynne. Protestowały jednak bezskutecznie. Starcia nie wychodziły poza ramy gabinetowych spotkań (…). Szczecińscy działacze (…) naciskali Warszawę, aby działać energiczniej". Takie ujęcie sprawy jest dużym uproszczeniem. Kierownictwo naszego państwa od początku przywiązywało wielką wagę do rozwiązania sporu w zgodzie z interesami Polski. Sprawa nie była prosta. Obie strony miały swoje racje. Konflikt mógł zostać rozwiązany wyłącznie na drodze dyplomatycznej. Kanonierki i demonstracje nie wchodziły w rachubę. W naszym interesie leżało załatwienie sprawy bez rozgłosu. Cisza nie oznaczała jednak bezczynności. MSZ prowadziło intensywne prace, których celem było nakłonienie NRD do rozpoczęcia negocjacji oraz wypracowanie propozycji o charakterze prawno-traktatowym, zgodnych z prawem morskim i międzynarodowym, tak aby mogły one stać się naszym stanowiskiem negocjacyjnym. Oba zadania nie należały do łatwych. NRD nie paliła się do negocjacji, uważając swoją decyzję za niepodważalną.

Wśród podejmowanych działań dyplomatycznych istotne znaczenie miało uzyskanie poparcia strony radzieckiej dla naszego stanowiska. W związku z tą sprawą, oprócz innych kontaktów na różnych szczeblach, jeździł do Moskwy dyrektor Departamentu I MSZ. W radzieckim MSZ kwestią polsko-enerdowskiego sporu zajmował się wiceminister spraw zagranicznych Wadim Łoginow. Rosjanie byli przeciwni demonstracji siły, uważali, że należy jak najszybciej podjąć negocjacje, a dopóki nie dojdzie do porozumienia, należy zostawić sprawy tak, jak przedstawiały się one przed decyzją NRD. Takie stanowisko odpowiadało naszym interesom, a Berlin nie mógł go zignorować.

Autor artykułu pisze o roli wizyty Wojciecha Jaruzelskiego w Berlinie wiosną 1988 r. Niewątpliwie miała ona decydujące znaczenie dla rozstrzygnięcia sporu. Należy jednak mieć świadomość, że aby wizyta zakończyła się sukcesem, musiały ją poprzedzić odpowiednie przygotowania dyplomatyczne. Podpisane 28 maja 1989 r. porozumienie było rezultatem pracy dyplomatów, ekspertów prawa morskiego i prawa międzynarodowego oraz innych zainteresowanych resortów i specjalistów. W pełni zgadzam się natomiast z konkluzją artykułu mówiącą o tym, że gdyby sprawy nie załatwiły władze PRL, to wątpliwe, by udało się to władzom III RP, które za partnera miałyby zjednoczone Niemcy pod przywództwem kanclerza Helmuta Kohla.

Autor jest byłym pracownikiem polskiej służby dyplomatycznej

FOT. NAC (2), ARCHIWUM

eprasa.pl 83cd815144

JAK ODZYSKAŁEM „KSIĘGĘ GŁUBCZYCKĄ"

Barbara Piasecka-Johnson żądała za księgę pół miliona złotych. Udało się ją skłonić do oddania inkunabułu Polsce za darmo

Rafał Skąpski

W połowie marca 2002 r. Włodzimierz Kalicki opublikował w „Gazecie Wyborczej" artykuł, w którym informował, że Barbara Piasecka-Johnson jest właścicielką średniowiecznego inkunabułu, spisanego w języku niemieckim na ponad 200 kartach pergaminu – „Księgi praw miejskich Głubczyc", zwanej też „Księgą Głubczycką". Redaktor Kalicki apelował do rządu, by księgę od pani Piaseckiej odkupił, oceniał, że może być ona warta pół miliona złotych. Sugerował, że jeśli rząd się nie pośpieszy, to pani Piasecka sprzeda ją na aukcji, w domyśle – za granicą.

Do przeprowadzenia negocjacji z posiadaczką cennej księgi minister Andrzej Celiński wyznaczył mnie. Spotkałem się z prof. Darią Nałęcz, ówczesną naczelną dyrektor Archiwów Państwowych. Przygotowałem koncepcję rozmów, co ważniejsze informacje przekazałem minister Aleksandrze Jakubowskiej, szanując fakt, że działam w obszarze jej kompetencji. Pamiętałem ponadto, że jest ona posłanką Ziemi Opolskiej, na której leżą Głubczyce. Byłem także w stałym kontakcie z dyrektorem Biblioteki Narodowej Michałem Jagiełłą, a w ministerstwie niezwykle pomocni okazali się Ewa Brzostowska i Franciszek Cemka.

Minister Jakubowska uprzedziła o sprawie księgi służby celne (rzecz działa się przed przystąpieniem Polski do Układu z Schengen znoszącego kontrolę graniczną). Zgodnie z obowiązującymi przepisami wywóz z Polski dzieł sztuki, książek i innych zabytków sprzed 1945 r. wymagał uzyskania stosownych zgód i pozwoleń. Nie wiedzieliśmy, co prawda, gdzie księga się znajduje, przypuszczaliśmy jednak, że wciąż jest w Polsce. Udało nam się ustalić, że do końca działań wojennych znajdowała się w archiwum w Opolu, skąd w niewiadomych okolicznościach zniknęła. W połowie 1945 r. oferowano ją do sprzedaży na targu w Rzeszowie lub w okolicy. Później przez blisko 60 lat ani księga, ani jakiekolwiek wieści o niej nigdy się nie pojawiły.

„Księgę Głubczycką" Barbara Piasecka-Johnson przekazała premierowi Leszkowi Millerowi 22 lipca 2002 r.

Dyrektor Cemka ustalił, jak kształtują się ceny podobnych manuskryptów w domach aukcyjnych za granicą. Okazało się, że tego rodzaju XV-wieczne księgi osiągały ceny, w przeliczeniu, nie więcej niż 30-35 tys. zł. Przyjmując, że ten egzemplarz można uznać za szczególnie cenny z uwagi na liczne, piękne ilustracje, zdobienia srebrem i złotem, jego cena nie powinna być jednak wyższa niż 50 tys. zł, a więc co najwyżej 10% kwoty, o której była mowa w artykule.

PIENIĄDZE I CHORE DZIECI

Pierwsze spotkanie służyło poznaniu oczekiwań posiadaczki księgi. Przyszła na nie jej bratanica Beata Piasecka, ze swoim synem (a może bratem) Wojciechem oraz wytrawnym warszawskim adwokatem Wojciechem Tomczykiem. Jego obawiałem się najbardziej. Beata Piasecka dość agresywnie przedstawiła twarde warunki i oczekiwania. Sprowadzały się one do jasnego przekazu: albo kupujecie księgę na naszych warunkach, albo sprzedajemy ją komu chcemy i gdzie chcemy. Padła groźba, że księga może zostać wywieziona z kraju i sprzedana zagranicznemu kupcowi. Bratanica kładła nacisk na to, że pieniądze uzyskane za odstąpienie księgi miały umożliwić utworzenie ośrodka dla dzieci autystycznych. Jeśli ministerstwo nie wyasygnuje żądanej kwoty – usłyszałem – dzieci będą pozbawione stosownej opieki, bo fundacja, która ma być beneficjentem tych pieniędzy, już na wrzesień zaplanowała otwarcie ośrodka. Zostałem nawet zapytany, czy wezmę na siebie odpowiedzialność za los tych dzieci. Odpowiedziałem, że mam w bliskiej rodzinie autystyczne dziecko, zapewniłem o swojej wrażliwości na los takich dzieci, ale dodałem, że ufam także we wrażliwość pani Barbary Piaseckiej i jestem pewien, że nie będzie czekała na pieniądze za

eprasa.pl 83cd815144

księgę, ale dla zapewnienia dzieciom opieki uruchomi inne swoje środki (w 2001 r. „Forbes" zaliczył Piasecką-Johnson do 20 najbogatszych kobiet na świecie).

Mecenas Tomczyk podtrzymywał oczekiwania, w tym kwotę pół miliona złotych. Zwracał uwagę na konieczność szybkiego podjęcia decyzji, gdyż pani Piasecka-Johnson może wystawić księgę na aukcji, szukając pieniędzy także na Zachodzie. Podkreślano patriotyzm pani Piaseckiej, wyrażający się tym, że najpierw zwróciła się z propozycją zakupu do rządu polskiego.

Przedstawiłem naszą wiedzę o losach księgi. Podkreśliłem, że nie pytamy, jak pani Piasecka weszła w jej posiadanie. Zaznaczyłem też wyraźnie, że pani Piasecka może księgę posiadać, ale ponieważ to cenny zabytek, nie może nią swobodnie dysponować – nie może jej wywieźć za granicę ani tym bardziej wystawić jej tam na sprzedaż. Najlepiej byłoby dla wszystkich – podkreśliłem – by księga powróciła tam, gdzie była przed 60 laty. Państwo jej jednak nie kupi, a na pewno nie za żądaną cenę. Tu poinformowałem o notowaniach podobnych manuskryptów na aukcjach w Wielkiej Brytanii i w Niemczech. Zarówno pani Beata Piasecka, jak i mecenas Tomczyk byli zdumieni moim stanowiskiem. Sądzę, że spodziewali się z mojej strony prób obniżania żądanej kwoty. Okazany brak zainteresowania – nieco pozorny, przyznaję, całkowicie ich zaskoczył, ale też wyraźnie zdenerwował, a nawet oburzył. Niedowierzanie wywołała informacja o notowaniach na zagranicznych aukcjach. Poprosiłem o rozważenie zmiany oczekiwań i zamykając spotkanie, zadeklarowałem chęć prowadzenia dalszych rozmów.

PRZEŁOM

Na kolejne spotkanie mecenas Wojciech Tomczyk wszedł do mego gabinetu jako pierwszy i witając się, szepnął z kwaśną miną: „Miał pan we wszystkim rację". Pani Beata Piasecka znowu położyła nacisk na cel przyświecający decyzji o sprzedaży księgi i presję czasu. Odstąpiono jednak od oczekiwań finansowych. Nie grożono już wywozem księgi czy sprzedażą na zagranicznej aukcji. Pani Beata Piasecka przedstawiła dwa nowe warunki: prawo do prowadzenia zbiórki publicznej na statutowe cele fundacji (powstanie i funkcjonowanie ośrodka dla dzieci autystycznych) oraz spotkanie Barbary Piaseckiej-Johnson z premierem Leszkiem Millerem. Usłyszałem, że pod tymi warunkami księga może być przekazana władzom. Bezpłatnie! To był przełom. I mój sukces. Oba warunki były przecież możliwe do spełnienia wręcz od ręki.

Wyjaśniłem, jakie zasady obowiązują przy organizacji publicznych zbiórek. Zapewniłem, że możliwie najszybciej zwrócę się do ministra spraw wewnętrznych i administracji o zgodę na publiczną zbiórkę pieniędzy. Przypomniałem oczywiście, że fundacja musi złożyć odpowiedni wniosek, a potem postępować zgodnie z treścią zgody. W drugiej sprawie obiecałem złożenie stosownej notatki premierowi. Podczas następnego spotkania mogłem już zapewnić, że oczekiwania zostaną spełnione. Poinformowałem, że premier Leszek Miller wyraził zgodę na rozmowę z panią Barbarą Piasecką-Johnson, pozostaje jedynie ustalenie czasu i miejsca dogodnego dla obu stron. Minister spraw wewnętrznych i administracji oczekuje zaś na wniosek fundacji, by wyrazić zgodę na publiczną zbiórkę pieniędzy na jej cele statutowe.

W pierwszych dniach lipca nowym ministrem kultury został Waldemar Dąbrowski. Ustalono, że spotkanie premiera z Barbarą Piasecką-Johnson będzie połączone z przekazaniem „Księgi Głubczyckiej". Uroczystość odbyła się w południe 22 lipca, w sali im. Stefana Dembego w Bibliotece Narodowej. Wcześniej przez pół godziny Leszek Miller rozmawiał z ofiarodawczynią. Nie odgrywałem już w tym żadnej roli. Premier wygłosił dobre przemówienie o ochronie kulturowego dziedzictwa, odebrał z rąk pani Piaseckiej-Johnson księgę i przekazał ją dyrektorowi Jagielle, minister Dąbrowski udekorował ofiarodawczynię resortową odznaką Zasłużony dla Kultury Polskiej. W ciągu kilku następnych tygodni księga została skopiowana i jej reprint powędrował do dokumentów miasta Głubczyce, oryginał zaś jesienią 2002 r. powrócił do archiwum w Opolu.

FAKTY WEDŁUG „WYBORCZEJ"

28 października „Gazeta Wyborcza" powiadomiła czytelników, że Rada Powiatu Głubczyckiego uhonorowała statuetką Głubczyckiego Lwa Włodzimierza Kalickiego za to, że zainicjował akcję powrotu „Księgi praw miejskich Głubczyc". Gazeta podkreślała swoją rolę w tej sprawie: „(…) Gazeta apelowała, by ten skarb właścicielka przekazała do zbiorów publicznych. 22 lipca 2002 r. Barbara Piasecka, odpowiadając na ten apel, przekazała bezcenną księgę Bibliotece Narodowej". Gdy pokazałem tę notatkę Aleksandrze Jakubowskiej, znacząco spojrzeliśmy na siebie.

Jedynym docenieniem mojej roli w odzyskaniu księgi są słowa z listu, jakim w lutym 2004 r., żegnała mnie prof. Daria Nałęcz, gdy odchodziłem z funkcji wiceministra kultury: „Nigdy nie zapomnę wspólnych negocjacji w sprawie »Księgi Głubczyckiej«. Okazał się Pan znakomitym partnerem w trudnej dyskusji. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to Pana zdolnościom dyplomatycznym zawdzięczamy końcowy sukces".

Barbara Piasecka-Johnson zmarła w 2013 r. Po jej śmierci media podały, że na realizację długofalowego programu szerzenia wiedzy na temat autyzmu oraz zakładanie w Polsce ośrodków wczesnej interwencji dla dzieci oraz młodzieży wydała ponad 8 mln zł. Ta wiadomość poprawiła nieco obraz milionerki, jaki rysował mi się na podstawie kontaktów z jej bratanicą. ■

FOT. PRZEMYSŁAW POKRYCKI/REPORTER/EAST NEWS, WWW.TWOJEGLUBCZYCE.PL

eprasa.pl 83cd815144

WIDZOWIE TŁUMACZAMI INNEJ EUROPY

W sytuacji opresji i utrudnień człowiek staje się ambitniejszy

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek
Korespondencja z Wiednia

W Wiedniu zakończył się LET`S CEE Film Festival, czyli Festiwal Filmów z Europy Centralnej i Wschodniej. To już piąta edycja imprezy stworzonej przez Polkę mieszkającą w Wiedniu, dr Magdalenę Żelasko. Kuratorem festiwalu od początku jest Tomasz Raczek, który czuwa nad doborem filmów. W tym roku wiedeńskiej publiczności pokazał m.in. wielokrotnie nagrodzany „Plac zabaw" Bartosza M. Kowalskiego.

TOMASZ RACZEK

– krytyk filmowy

Jakie znaczenie na mapie filmowych wydarzeń Wiednia, Austrii, Europy ma festiwal, którego program wynika z geografii powstania filmów?

– Festiwal od początku miał, powiedziałbym, proroczy program. Pięć lat temu, kiedy powstawał, wydawało się, że filmy prezentujące kulturę, ale i sposób myślenia mieszkańców krajów Europy Środkowej i Wschodniej połączone były tylko geograficznie. W tej chwili Europa Środkowa i Wschodnia to jest pewna formacja, która na kontynencie zaczyna odgrywać szczególną rolę i która trochę inaczej reaguje na to, co się dzieje, co przynosi historia. Widać to chociażby po sposobie reagowania na kwestię uchodźców, ale nie tylko. Tym ciekawsze jest to, co się dzieje i jak myślą ludzie w Europie Wschodniej i Środkowej. I z czego wynika ich myślenie. Filmy z tej części świata pokazują, że zachodzi bardzo dużo nowych zjawisk, że dochodzi do ścierania się różnych opcji.

To są kraje, w których nigdy nie przyjęła się do końca poprawność polityczna, jaką próbowano przenieść ze świata zachodniego. Dlatego dziś te reakcje są czasem bardzo intensywne i może nie takie, jak byśmy chcieli, ale za to prawdziwe. Nie są przykryte powierzchownym „strupkiem poprawności", pod którym nie wiadomo, co się dzieje. W krajach Europy Wschodniej gołym okiem widać, co ludzie czują, dlatego te filmy są gorące.

Czym się różnią od produkcji zachodnich?

– W filmach, które wybieram do konkursu, są autentyczne klimaty, bez pozłotki i hollywoodzkiego blichtru, bez amerykańskiej poprawności. Nie są one przeznaczone dla publiczności na całym świecie, ale przede wszystkim dla własnej widowni. Dlatego mówią wprost o tym, co jest najważniejsze dla społeczeństw tej części kontynentu. Mam wrażenie, że nie jest ona do końca rozumiana przez resztę Europy, oczekującą, że te kraje pójdą drogą wybraną przez Zachód. Byłoby to może najlepsze i najprostsze, ale nie zawsze jest do zrobienia. Okazuje się, że to będzie własna droga i może najlepiej da się ją zrozumieć, oglądając filmy na naszym festiwalu.

Publiczność w Wiedniu składa się nie tylko z Austriaków, ale też z mieszkającej tu barwnej mieszanki przybyszów z różnych części Europy, choćby z Bałkanów czy Turcji. Jak to może wpływać na odbiór filmów?

– Myślę, że większość pokazywanych filmów dociera podskórnie. Są one odczytywane intuicyjnie. Trafiają raczej do podświadomości niż świadomości. Dlaczego tak się dzieje? Mam wrażenie, że gdy film węgierski oglądają Węgrzy mieszkający w Wiedniu, a film serbski tutejsi Serbowie, to oglądają je przez pryzmat swojego życia w Austrii. Mają pod ręką oba kody odczytywania sztuki: ojczysty, pozostający w podświadomości, i ten nabyty w kraju, do którego wyemigrowali. W związku z tym czują się jak tłumacze, którzy mogliby wyjaśnić znajomym Austriakom, z czego wynikają między nimi różnice w odbiorze filmu. Myślę, że są świadomi i jednego, i drugiego sposobu myślenia.

> W filmach, które wybieram do konkursu, są autentyczne klimaty, bez pozłotki.

Jak wygląda pana praca, selekcja filmów, pochodzących jednak z bardzo wielu różnych krajów, m.in. z Turcji, Rumunii, Łotwy czy Azerbejdżanu?

– Filmy, które oglądamy na festiwalu, są efektem kompromisu: to najczęściej tytuły pokazywane już na jakichś festiwalach filmowych i nagradzane. Czyli pierwsze sito zadziałało, a filmy już gdzieś zaistniały. Wyszukuje te filmy przede wszystkim dyrektorka festiwalu Magda Żelasko. Potem ja je oglądam i staramy się tak ułożyć program, aby był interesujący.

Która z kinematografii zwróciła pana uwagę, poruszyła serce?

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 83cd815144

– Ostatnie lata to był czas wielkiego triumfu kina rumuńskiego. Filmy z Rumunii naprawdę były fenomenalne, natomiast od dwóch lat widzę, że to samo dzieje się z kinem węgierskim. W tym roku zresztą wygrał węgierski „Kills on Wheels" w reżyserii Attili Tilla. Rozmawiałem z reżyserami, czy nie przeszkadza im polityka Orbána. Powiedzieli, że nie, ponieważ w sytuacji opresji i utrudnień człowiek staje się ambitniejszy. To fascynujące i krzepiące.

Powiedział pan, że to festiwal proroczy. Czy jest ważnym festiwalem, już się przyjął?

– LET'S CEE Film Festival mógłby być bardzo ważny, ale w tej chwili doszedł do granicy tego, co można zorganizować przy niewielkim albo żadnym wsparciu finansowym rządu Austrii i miasta Wiednia. Brak funduszy jest bardzo odczuwalny. Cały festiwal jest organizowany – poza dyrektorami Magdą Żelasko i Wolfgangiem Schwellem – dzięki wolontariuszom. Oczywiście duże festiwale zawsze korzystają z pasji ochotników, ale zwykle oni tylko wspierają zawodowców, którzy pracują nad imprezą przez cały rok. Żeby festiwal wiedeński miał prawdziwe znaczenie, powinien się stać festiwalem klasy A, czyli pokazywać filmy premierowe. Żeby jednak dystrybutorzy chcieli pokazywać na nim takie filmy, muszą uwierzyć, że rozdawane tu nagrody mają prestiż. A do tego potrzebna jest większa skala imprezy i większe pieniądze.

W krajach Europy Wschodniej gołym okiem widać, co ludzie czują.

Jest pan współrodzicem tego wydarzenia. Co powoduje, że wciąż pan jest z LET'S CEE mimo mało optymistycznych perspektyw?

– Przede wszystkim sympatia do Wiednia. Bardzo dobrze tu się czuję, lubię środowisko artystyczne Wiednia, pracujących tu polskich naukowców i artystów. Podczas corocznych wizyt zaprzyjaźniłem się z mieszkającymi w Wiedniu Polakami, którzy zajmują się dziedzinami mi bliskimi – teatrem i filmem. Niedawno odbyła się w tutejszym teatrze Pygmalion premiera sztuki mojego przyjaciela Marcina Szczygielskiego „Wydmuszka" w reżyserii Magdy Marszałkowskiej. To najlepszy dowód, że równolegle z festiwalem odbywają się w Wiedniu ważne z mojego punktu widzenia inicjatywy kulturalne. Byłem na wręczeniu Złotych Sów, zwanych Oscarami Polonii, gdzie jedną z nagród odbierała Krystyna Mazurówna, a przecież w należącym do mnie wydawnictwie Latarnik wydaliśmy właśnie jej książkę, „Ach ci faceci". To wszystko się przenika.

Samą nazwą festiwalu LET'S CEE można się pobawić, choćby „pożyjemy, zobaczymy". Czego mu zatem życzyć, żeby przetrwał?

– Większych funduszy, żeby dało się realizować większą część ambicji, bo na razie to głównie kompromisy. Ambicje są wielkie, ale realizujemy tyle z nich, ile się daje. Nie jest to takie złe, bo stan niedosytu zawsze pcha do następnych przedsięwzięć, niech więc już tak będzie. ■

eprasa.pl 83cd815144

ARMIA BOŻEGO OPORU

UPROWADZENI LUDZIE BYLI WYPUSZCZANI W UGANDYJSKIEJ DŻUNGLI, A ŻOŁNIERZE NA NICH POLOWALI

JONATHAN LITTELL

– pisarz amerykański, w Polsce znany z powieści „Łaskawe", autor filmu dokumentalnego „Szkodliwe jednostki"

Rozmawia Artur Zaborski

Podobno ma pan polskie korzenie.

– Nieprawda, wyłącznie litewskie.

W internecie jest kilka pańskich biografii wskazujących na Polaków jako przodków.

– W internecie jest mnóstwo błędów. Moi pradziadkowie emigrowali z okolic Lidy i Wilna, czyli Białorusi i Litwy.

Niegdyś były to polskie tereny.

– Ale mieszkali na nich przedstawiciele różnych narodowości. Pan mnie teraz pewnie podpuszcza, ale i tak powiem, że wkurza mnie współczesne unarodowianie wszystkiego i wszystkich. To, że kiedyś dany teren należał do innego kraju, niż należy współcześnie, nie oznacza, że wszyscy ludzie zamieszkujący go mają kroplę krwi dawnego kolonizatora. Nie mam tu na myśli wyłącznie Europy – krajów bałtyckich czy innych terytoriów, które wcześniej były we władaniu Polaków, Rosjan czy Turków – tylko szerszy obszar, z Afryką na czele.

Relacjonował pan konflikty w Europie i na Bliskim Wschodzie, ale w ostatnich latach skupił się pan właśnie na Afryce. O wydarzeniach w Ugandzie napisał pan serię artykułów, książkę i nakręcił film dokumentalny, mieszając dziennikarstwo reportażowe z wypowiedzią artystyczną.

– Zawsze mam problem, kiedy słyszę, że jestem artystą, który tworzy sztukę. Nie do końca tak jest. Wyrastam z dziennikarstwa. W 2010 i 2011 r. napisałem artykuły dla „Le Monde". W większości była to korespondencja z ugandyjskiej dżungli, gdzie Armia Bożego Oporu (LRA) przeprowadzała treningi. To, co tam zobaczyłem, wymykało się opisowi. Trzeba było sięgnąć po język prozy, posłużyć się metaforą, podać przykład, bo nie dało się tego wszystkiego wyrazić wprost.

Jak te treningi wyglądały?

– Uprowadzeni ludzie byli wypuszczani w dżungli, a żołnierze na nich polowali. To było szkolenie z tropienia. Podstawowym zadaniem uczestników było nauczyć się, jak mogą wyglądać kryjówki w dżungli, gdzie mogą się schować uciekinierzy, jak się zachowują, kiedy mają dziką przyrodę z jednej strony, a z drugiej ścigających.

Rzeczywiście ekstremalne warunki szkolenia.

– LRA nie zawraca sobie głowy oczywistościami. Jej członkowie doskonale wiedzą, gdzie można się schować w wiosce. Wyzwaniem jest dopaść tych, którzy nie boją się ryzyka i ukrywają się w dżungli. Dla ludzi z Armii Bożego Oporu nie ma granic ani celów minimalnych. Jeśli są ludzie, którzy nie chcą przystać na ich warunki, to nie należy z nimi negocjować, trzeba ich wybić. Oni działają według praw matematyki: albo zero, albo jeden, nie ma nic pośrodku.

> To, co zobaczyłem w Ugandzie, wymykało się opisowi. Nie dało się tego wyrazić wprost.

Jak to się stało, że zaczął pan pisać o tym ugrupowaniu?

– W latach 90., w czasie upadku Mobutu, pracowałem w organizacji humanitarnej w Kongu. Po drodze do Konga mijałem Kampalę, gdzie znajdowała się jedna z naszych większych baz. Wszyscy moi przyjaciele z Kampali pracowali na północy Ugandy, na obszarze

eprasa.pl 83cd815144

WCIĄŻ ZABIJA

Dziecięca musztra, kadr z filmu „Szkodliwe jednostki".

działalności LRA. Mnie tam nie było, ale miałem świadomość ich istnienia, rozmawiałem z nimi nawet mimowolnie. W latach 90. to był bardzo poważny problem, który zajmował media i tych, którzy choć trochę interesują się losem świata. Kiedy żegnałem się z misją humanitarną, byłem przekonany, że LRA należy do przeszłości. Jednak kiedy w 2010 r. gościłem u przyjaciela, który właśnie wrócił z Konga, zrozumiałem, że byłem w błędzie. Trudno było mi uwierzyć w to, że LRA wciąż istnieje i morduje ludzi. Chciałem przyjrzeć się sprawie bliżej, więc zaproponowałem redakcji artykuł. Interesowało mnie przede wszystkim, jak to się stało, że Zachód zajął się sprawą, ale nie posprzątał jej do końca.

Jak to możliwe, że nie wiedział pan o dalszym istnieniu LRA? Działała w tajemnicy?

– Nie, ale to była gorąca sprawa do połowy pierwszej dekady XXI w., potem media i czytelnicy przestali się tematem zajmować. Kiedy wyjechałem z Afryki, czerpałem wiedzę na jej temat właśnie z mediów. A skoro te milczały o LRA…

Dlaczego wcześniej o niej pisano?

– Bo Zachód mógł się pochwalić tym, że znów naprawia świat, po raz kolejny bierze odpowiedzialność za inne kontynenty. W 2005 r. powołany trzy lata wcześniej Międzynarodowy Trybunał Karny wydał nakaz aresztowania przywódców ruchu, w tym zbrodniarza wojennego Josepha Kony'ego, lidera LRA. Rok później Stany Zjednoczone wysłały wyszkolonych żołnierzy, którzy mieli go zlikwidować. Wszyscy zginęli. Ale LRA i tak została militarnie wyparta. Najpierw z Ugandy, później z południowego Sudanu. Jej członkowie zostali wypchnięci do Demokratycznej Republiki Konga, gdzie ich liczebność bardzo zmalała. W mediach stali się pomijanym zjawiskiem, bo skończyły się zabójstwa na masową skalę. Ostatnim, o którym szeroko dyskutowano, była bożonarodzeniowa masakra w Faradje w 2008 r., kiedy według Caritasu zginęło 150 ludzi. Potem Kongo było zajęte ważniejszymi sprawami. Mówiło się o buntach w Kiwu, gdzie ginęło wielu ludzi. Ja też skoncentrowałem się na innych wydarzeniach, choćby w Rosji, Czeczenii czy Afganistanie. Przestałem śledzić tamtejszą sytuację i doznałem szoku, że armia, co prawda na małą skalę, ale wciąż działała.

Armia Bożego oporu duży nacisk kładzie na rekrutację dzieci.

O jakiej skali działania mówimy?

– Obecnie zostało ok. 150 bojówkarzy, głównie kłusowników, którzy polują, aby zdobyć kość słoniową. Dziś organizacja bardziej przypomina bandę pospolitych przestępców niż grupę ludzi, owładniętych jakąś ideą, dla której byłaby w stanie odbierać innym życie.

Przypomnijmy tę ideę.

– Najkrócej mówiąc, LRA chciała założyć państwo teokratyczne oparte na Dekalogu, ale według tradycji ludu Aczoli, który ma silny związek z kulturą arabską. W ogóle mieszają się tu wpływy chrześcijaństwa, mistycyzmu i religii plemiennych. Warto jednak popatrzeć na mechanizm działania tych ludzi, zbieżny przecież z tym, który napędza członków Państwa Islamskiego. Powinniśmy jak najbliżej mu się przyjrzeć, żeby wiedzieć, co może nam zagrażać ze strony fundamentalistów. W czasach, kiedy ekstremizm religijny odżywa z dużą siłą, powinniśmy mieć na ten temat jak najszerszą wiedzę.

Zachód jakoś na to reaguje?

– Cały czas trwają operacje połączonych sił wojsk ugandyjskiego i amerykańskiego. Misja ma trwać, dopóki nie zostanie pojmany Kony, wciąż stojący na czele ugrupowania.

Prześledziłem doniesienia na ten temat w polskich mediach i faktycznie jest ich jak na lekarstwo.

– Europą wciąż rządzi stary mechanizm: każde z państw postkolonialnych ma tendencję do kierowania większej uwagi na swoje byłe kolonie. LRA i inne problemy Ugandy bardziej interesują Anglię i Amerykę, sprawy Konga – Belgię, a Republika Środkowoafrykańska – Francję, gdzie w ogóle nikt nie słyszał o LRA przed publikacją moich artykułów! Wciąż patrzymy na świat z perspektywy „my i oni", a nie jak na jeden organizm, który cierpi z powodu tej samej choroby.

Czy to, co pan napisał, wywołało we Francji większą dyskusję?

– Nie, absolutnie żadnej.

W dobie popularności reportażu pańskie teksty powinny robić wrażenie. Żywo opisuje pan w nich to, jak przedostał się do tych ludzi.

– Mam dużą świadomość tego, jak funkcjonuje region, byłem tam wielokrotnie. Nietrudno było mi przedstawić to czytelnikom. W pierwszym

eprasa.pl 83cd815144

artykule opisałem, jak przedzieraliśmy się z Kampali przez lasy motocyklami, bo drogi były nieprzejezdne dla samochodów. Mieliśmy wojskową eskortę, bo w czasie kiedy zbieraliśmy zeznania i wspomnienia ludzi z regionu, okolica nie była zbyt bezpieczna. Właśnie wtedy poznałem lepiej Ugandyjczyków, którzy działali dość aktywnie przeciwko LRA.

Trudno było ich namówić do rozmowy?

– Przeciwnie, szybko zgodzili się na nasz wjazd na teren Ugandy, ale musieliśmy wrócić do Kampali po oficjalne zezwolenie. Ugandyjczycy ciągle przejmowali inicjatywę. Najpierw w Kampali, potem zgarnęli nas helikopterem ze swojej bazy w Sudanie i zabrali do żołnierzy w dżungli.

Dziwi mnie nie to, że wam pomagali, ale to, że zgodzili się mówić, udzielać odpowiedzi pod własnym nazwiskiem.

– Nie trzeba było zmuszać ich do mówienia. Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie, którzy przeszli piekło wojny, zawsze w chwili stabilizacji imają się zajęcia w żaden sposób niezwiązanego z armią. W Ugandzie było tak samo: eksbuntownicy zostawali tam kierowcami taksówek. Z wieloma rozmawiałem. Opowiadali o przeszłości, jakby nie byli jej częścią albo jakby byli dziś zupełnie daleko od niej. Zazwyczaj jednego dnia spotykałem człowieka, a następnego on już udzielał mi wywiadu.

O wiele bardziej zamknięci od ofiar byli oprawcy.

Działalność LRA kojarzy się z gwałtami, morderstwami i torturami. Ludzie, którzy tego doświadczyli, chcieli o tym rozmawiać?

– O wiele bardziej zamknięci od ofiar byli oprawcy. Udało mi się umówić na wywiad także z dwoma dezerterami z LRA, którzy uciekli, kiedy zobaczyli, że nie zajmują się walką o lepsze jutro, tylko krzywdzeniem innych. Nie udało się jednak z nimi porozmawiać. Byli zbyt zamknięci w sobie. To, co wyrządzili innym ludziom, zbyt ciążyło na ich psychice. Nie dali rady o tym opowiedzieć.

Zgłębianie tego tematu było dla pana lub rozmówców niebezpieczne?

– Dla mnie na pewno nie. Musiałem być ostrożny w standardowy sposób. Trzeba wiedzieć, że jeśli choćby do Sudanu przyjeżdża się z profesjonalnym dyktafonem nagrywać wywiady, to bez specjalnego zezwolenia czeka nas jedynie konfiskata tego sprzętu – w najlepszym wypadku – albo więzienie. Na wszystko trzeba mieć pozwolenie, bez którego nie ma sensu nawet nigdzie się ruszać. Jak już ma się zezwolenie, można śmiało działać, bez obawy, że ktoś skróci nas o głowę.

Proszę opowiedzieć o metodach działania LRA.

– Działalność LRA jest szczególnie intrygująca z uwagi na sposób pozyskiwania rekrutów. Duży nacisk jej członkowie kładą na ściągnięcie dzieci. W Ugandzie, Demokratycznej Republice Konga i Sudanie często dochodziło do ich porwań. Jednak w odróżnieniu od innych tego typu organizacji w LRA nie stosuje się narkotyków ani alkoholu. A to jest chleb powszedni w organizacjach przestępczych i terrorystycznych działających w środkowym Kongu i w Sierra Leone. Ludzie, którzy stoją na czele LRA i wyznaczają standardy, są purytańscy, stosują surowe reguły oparte na religii i ideologii. Ważny jest długi proces indoktrynacji światopoglądowej, który przypomina praktyki z przeszłości Europy.

Europa z nimi się uporała. Afryka też sobie poradzi?

– Nie byłbym taki pewny. Kiedy pracowałem w Syrii, gdzie spędziłem cztery lata, wydawało mi się, że wojna szybko się zakończy, bo nikt nie chce powtarzać błędów z przeszłości, a społeczeństwo zaczęło się jednoczyć. Mimo to walki trwają do dziś i są jeszcze okrutniejsze. Historia wielokrotnie nas uczyła, że zjednoczenie wokół problemu nie prowadzi do jego rozwiązania, tylko najczęściej do podziału zjednoczonych. W Europie międzynarodowe sojusze, które miały chronić przed wojną, doprowadzały do wybuchu najgorszych konfliktów.

Widzi pan przyszłość w jasnych barwach?

– Wręcz przeciwnie.

Dlaczego?

– Uważam, że sprawy na szczeblu międzynarodowym mają się naprawdę bardzo źle, a będzie jeszcze gorzej. Żyjemy w bardzo dziwnym okresie. Nieprzypadkowo w rozmowach ludzi powraca temat wojny. Podskórnie czujemy, że niedługo coś wybuchnie. Nikt jednak nie wie do końca co. Sytuacja nie dotyczy tylko Europy. Reszta świata mierzy się cały czas z problemem wojny, ale to, co dzieje się w Syrii, czy to, co wyprawia LRA, nikogo nie obchodzi. I nie będzie obchodzić, dopóki nie stanie się codziennością Europy, do czego, mam nadzieję, nigdy nie dojdzie. Europa nie chce zrozumieć, że zachodzą w niej takie same proces, jak na Bliskim Wschodzie i w Afryce. To, co się dzieje, zdarzało się już wielokrotnie w historii.

Artur Zaborski

Szkolenie może wyglądać jak zabawa, ale dla ludzi z Armii Bożego Oporu nie ma granic. Przeciwników należy wybić.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 83cd815144

Dobrze się kłamie w bezkarnym towarzystwie

Edward Mikołajczyk

Pojawił się znak, niestety niewidoczny na naszym niebie, który pokazuje, że połowa świata medialnego jest już w sieci. Otóż w skali światowej zrównały się wydatki na reklamę w telewizji i w internecie. Polska jest w tej konkurencji kilka lat za peletonem. Równowaga przyjdzie albo my do niej dojdziemy w roku 2020.

Nie będę postulował, aby odezwał się z tej okazji dzwon Zygmunt, bo internet to nie jest samo dobro i pieniądze z reklamy nie tylko go odżywiają, ale też psują. Firmy reklamowe nie oglądają się za pojedynczymi egzemplarzami człowieka, poszukają mas, wybierają tłumy, najliczniejsze gromady ludzi tubniętych i zguglowanych. Pogoń za klientem uruchamia różne instynkty nadawców, właścicieli stron i serwisów. W sieci odbywa się wielkie polowanie, rzadko uczciwe. Coraz więcej tu sideł, wnyków, kłusownictwa i obław.

Całkiem poważni migranci z realu dziczeją w wirtualu i z powodu pieniędzy dostają małpiego rozumu. Nawet architekt najpoważniejszej strony zrobi tu z siebie małego piromana i znienacka odpali ci z hukiem jakieś okienko ofertowe. Inny pomysłowy Dobromir niewidzialną ręką sam włączy ci wideo na przeglądanej stronie albo nagle zasłoni płachtą reklamową cały ekran, żebyś mógł sprawdzić, czy używasz wtedy imienia Pana Boga nadaremno, czy po ludzku bluźnisz.

Ale uwaga, to się zaraz może skończyć dzięki pewnemu bankowi amerykańskiemu. Jest to tak doniosłe wydarzenie, że sprawcę trzeba wymienić z nazwy. JPMorgan Chase wykonał doświadczenie i zamiast jak dotychczas reklamować się na 400 tys. stron internetowych miesięcznie, postanowił, że zrobi to zaledwie na 5 tys. Z porównania wyszło, że taki sam był procent obudzonej aktywności odbiorców.

Mądry Amerykanin po szkodzie i JPMorgan już więcej nie wyda pieniędzy, aby się rozpierać na setkach tysięcy stron. Wybierze agencję reklamową, która da gwarancję rozumnej dystrybucji, a nie będzie tylko programować swoje urządzenia ze sztuczną inteligencją, aby lokowały reklamowane produkty tam, skąd dochodzą najliczniejsze odgłosy kliknięć. Sama pewnie przygotuje listę adresów internetowych, bo dla szanujących się firm wreszcie zaczyna być ważne towarzystwo w sieci.

Zapewne też amerykański holding finansowy poprosi jakiś dom mediowy o kontrolę albo sam w nią zainwestuje, żeby w przyszłości nie narazić się na obciach. Powierzanie, jak dzieje się dotąd, tej roboty najinteligentniejszym nawet filtrom nikogo nie satysfakcjonuje. Będzie potrzebny żywy człowiek. Trudno sobie wyobrazić, jak liczna musiałaby powstać armia kontrolerów, bo szacunki są takie, że w ciągu każdej minuty samemu YouTube'owi przybywa pięć godzin nowego kontentu. Jest to tempo przerastające dynamiką sadzenie drzew bez opamiętania przez ministra Szyszkę. Trudniej w takiej sytuacji przychodzą człowiekowi do głowy jakieś rozwiązania niż myśli o kosmicznej czarnej dziurze, która nas i tak wciągnie.

Przed osiągnięciem równowagi w wydatkach na reklamę w telewizji i w internecie polscy reklamodawcy mogliby już teraz zacząć ćwiczyć ostrożność w dobieraniu towarzystwa dla swoich marek w telewizji. Wam też, podobnie jak światowym brandom, potrzebny jest namysł, czy się kalkuluje obecność w programie, który np. pluje jadem, słabo przecież tolerowanym w branży, która na tym samym ekranie zaoferuje zaraz coś smaczniejszego. Czy opłaca się wam sąsiedztwo z majsterkowiczem, który zaraz po waszej ofercie będzie testować bombę termobaryczną? Czy w zgodzie z naszą wspólną projekcją świętości Jana Pawła II jest montowanie *ex post* jego postaci do teledysku obrzydzającego widzom Unię Europejską?

Powiem za Fredrą: nie uchodzi.

W odniesieniu do ostatniego wybryku „Wiadomości" TVP 1 dopowiem, że to było świństwo dziennikarskie. Dwunastą rocznicę śmierci Jana Pawła II TVPiS uczciła w programie informacyjnym mieszanką fragmentów papieskich homilii z materiałami zdjęciowymi z zamachów terrorystycznych i z parady równości. Byłem przy narodzinach „Zasad etyki dziennikarskiej w Telewizji Polskiej" na początku lat 90. poprzedniego wieku i teraz widzę, że zasady nie zapobiegły zdziczeniu obyczajów dziennikarskich.

Polska chyba nie usłyszała w tej sprawie głosu kard. Stanisława Dziwisza. Pozostaje zatem apelowanie o rozsądek do reklamodawców. Czytam na Wirtualnej Polsce, że zrobił się ruch w izbach domów mediowych po decyzji JPMorgan i czekam na podobne tąpnięcie w kraju. Jeśli nie chcecie zacząć od „Wiadomości", bo dobrze się kłamie w bezkarnym towarzystwie, zacznijcie od pierwszego lepszego stadionu, który wystawia wasze oferty w plugawym towarzystwie dźwiękowym. ■

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl 83cd815144

KURTYNA W GÓRĘ

NIE TYLKO OKULARNICY

„Cafe Sax", scenariusz i reżyseria Cezary Domagała, Mała Scena Teatru Rampa w Warszawie, premiera w styczniu 2017

Moje pokolenie dobrze zna te piosenki. „Okularnikami" Agnieszka Osiecka sportretowała nasze rozterki i małe marzenia. Karmiła się nimi następna generacja. Młodsi już mniej. Toteż przypomnienie ich, ułożonych w na pozór banalną opowieść przez Cezarego Domagałę na małej scenie Teatru Rampa, to niemała zasługa, zważywszy, że smak tekstów Agnieszki Osieckiej, ich szczególna sentymentalno-ironiczna nuta warte są tego przypominania. Wprawdzie Rampa mieści się na Targówku, a Cafe Sax na Saskiej Kępie, ale siłą teatralnej wyobraźni (i projekcji wideo) została przeniesiona na scenę, łącząc dwa praskie osiedla nostalgiczną nutą. Scenariusz osnuty jest przede wszystkim na obyczaju poetki, która gryzmoliła swoje teksty w zeszycie, popijając kawę (i nie tylko), zapatrzona w codzienne sytuacje.

Domagała niczego nie udziwniał, ograniczając słowo wiążące jak tylko się dało, by oddać głos poetce i jej niezapomnianym piosenkom. Wykonawcy, od lata związani z Rampą i jej stylem, stworzyli widowisko mieniące się nastrojami, w dobrym tempie i rytmie. Sympatyczny spektakl, w którym nie mogło zabraknąć pełnego energii, tchnącego optymizmem zwariowanego tekstu piosenki „Nie ma jak pompa": „Tipu, tipu, tipu taj, / ty mi tu tulipany daj, / krokodyla, ty mi, ty mi, ty mi daj!".

Tomasz Miłkowski

BYLIŚMY

WYSPA BRALA

Autorski spektakl Teatru Pieśń Kozła z Wrocławia, w którym bierze udział 19 wykonawców z 14 krajów, został zainspirowany dramatem Szekspira „Burza", ale w istocie jest to trwająca 60 minut etiuda wokalno-taneczna przynosząca rozmaite odmiany uczucia samotności, wyobcowania, łagodnej rezygnacji. „Wszystko dzieje się – jak czytamy w programie – w oszalałej wyobraźni starca Prospero, który zdradzony i oszukany żyje wyłącznie marzeniami i snami". Oczywiście widz już po kilku minutach identyfikuje się z sytuacją rozbitka, a może uchodźcy, i z uwagą obserwuje niezwykle plastyczny taniec imitujący ruch morza oraz słucha spokojnej, nastrojowej muzyki chóralnej czasami inicjowanej przez skrzypce. Na początku przedstawienia pada kilka słów po polsku, które wprowadzają nas w nastrój, ale później już do końca poddajemy się muzycznym sugestiom wzmaganym surowymi środkami wizualnymi. Ważną rolę w spektaklu odgrywają lustra, na których odbicia światła nie tylko stwarzają rodzaj ruchomej scenografii, ale dodatkowo są elementem potęgującym wrażenie samotności.

Bronisław Tumiłowicz

„Wyspa", reżyseria Grzegorz Bral, Teatr Pieśń Kozła z Wrocławia na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych

MIĘDZY OKŁADKAMI

Robert Harris

KONKLAWE

tłum. Andrzej Szulc
Albatros, Warszawa 2017

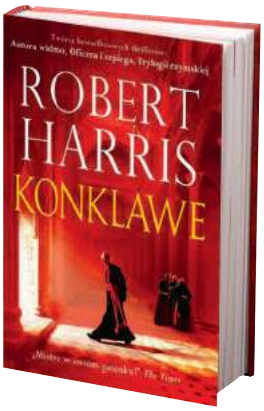

W „Habemus papam" Nanniego Morettiego obradom konklawe towarzyszy chóralna myśl: tylko nie ja! U Harrisa śmierć papieża jest jak wystrzał startera. Dla człowieka ambitnego przywództwo duchowe to przemożna pokusa. Czy faworyci konklawe ulegają jej lub traktują sprawę w kategorii ostatecznego awansu w swoim zawodzie, czy wierzą, że wypełniają wolę bożą? Jeden z bohaterów, dziekan Lomeli, apeluje w homilii o wybór papieża wątpiącego – pokornego, wrażliwego. Konserwatyści rozumieją to określenie dosłownie. Zwątpienie oznacza utratę wiary, a papież ma stawiać wszystkich na baczność. Oczywiście jest też czarny koń – i ma jakąś tajemnicę. Kto wygra? Książka zapewnia sporo emocji, fascynujący jest opis ceremoniału głosowania z precyzyjnie określonymi gestami i rekwizytami. Szykując jednak zakończenie ach i och, autor zawęził sobie pole manewru i ostatecznie uzyskuje reakcję *à la* stary flisak ze spływu Dunajcem: jo to wiedzioł.

Aleksandra Pańko

eprasa.pl 83cd815144

NOWE MIEJSCE

MUZEUM NAD WISŁĄ

W Warszawie w rekordowym tempie i właściwie niezauważalnie powstało obok Centrum Nauki Kopernik nowe muzeum – tymczasowa siedziba Muzeum Sztuki Nowoczesnej, które kiedyś mieściło się w bezsensownie rozebranym pawilonie Emilia. Tymczasowa siedziba, jak uczy doświadczenie, będzie służyć ludziom przez długie lata, a w środku (bo to nad Wisłą) jest ekspozycja poświęcona warszawskiej syrence. Na wystawie jest nawet eksponat z 1400 r. – to list z Warszawy do Torunia z oryginalną pieczęcią z syrenką. Właściwie wystawa poświęcona jest również kobiecie, bo przecież syrenka musi mieć osobowość kobiety, trochę miłej, trochę strasznej, łagodnej i groźnej. Znalazły się tu niezwykle cenne prace artystów z całego świata, np. oryginalny Picasso, Malczewski, Beksiński, Szapocznikow, są rzeźby, obrazy, grafiki, dokumenty, fotografie i filmy. (bt)

AKCJA

6. EUROPEJSKA NOC LITERATUR

10 współczesnych autorów, 10 czytających i 10 niezwykłych miejsc. Hasło przewodnie – „Natura". – Podczas szóstej edycji Europejskiej Nocy Literatury po raz drugi zaprosimy uczestników na spacer poza ścisłe centrum miasta: tym razem do znanych i mniej znanych zakątków wrocławskiej dzielnicy Nadodrze – mówi Katarzyna Janusik, koordynatorka projektu. Czytania odbędą się w godzinach 17.00-22.00, a ich tematem przewodnim będzie natura. Tegoroczna edycja ENL będzie elementem programu zakończenia kadencji Wrocławia jako Światowej Stolicy Książki UNESCO – dzień później, 23 kwietnia, miasto przekaże ten tytuł stolicy afrykańskiej Gwinei, Konakry. Więcej informacji: **www.wroclaw2016.pl/enl.**

WROCŁAW, 22 KWIETNIA

ZAJRZYJ TU

50 TWARZY SEKSU

Historia erotyzmu od czasów starożytnych do „50 twarzy Greya", od Kamasutry po najnowsze gadżety. Przy Rynku Głównym 23 w Krakowie można się przekonać, jakie znaczenie miała erotyka w czasach Kleopatry i jak się ono zmieniało przez stulecia. Jak mówią organizatorzy, to odważna prezentacja współczesnej obyczajowości seksualnej i wielowiekowej sztuki erotycznej, sięgająca do wyobraźni odwiedzających. Dostępne tylko dla widzów dorosłych. Więcej informacji: **www.50twarzysexu.pl.**

KRAKÓW, KAMIENICA KROMEROWSKA, DO 31 MAJA

NA EKRANACH

WĘGIERSKA WIOSNA FILMOWA

Złoty Niedźwiedź 2017, Oscar 2016 dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego, Złoty Glob, Złota Palma w Cannes, główna nagroda w Karlowych Warach i wiele innych nominacji. Węgierska kinematografia w ostatnich latach ponownie znalazła się w czołówce – i to nie tylko dzięki takim filmom jak „Syn Szawła" czy „To nie są najlepsze dni mojego życia". Na Węgrzech wyrosło niezwykle obiecujące pokolenie reżyserów filmów fabularnych i animowanych, które potrafi przemówić zarówno do publiczności w kraju, jak i za granicą. Widzowie Węgierskiej Wiosny Filmowej zobaczą filmy debiutantów i dzieła wielkich twórców. Przegląd odwiedzi również Kraków (Kino Pod Baranami) oraz Wrocław (Kino Nowe Horyzonty). Szczegóły: **kinomuranow.pl/festiwale-i-przeglady/wegierska-wiosna-filmowa.**

WARSZAWA, KINO MURANÓW 19-27 KWIETNIA

ZASŁUCHAJ SIĘ

Jacek Kaspszyk

SZYMANOWSKI

Aleksandra Kurzak, Agnieszka Rehlis, Dmitry Korchak, Artur Ruciński

Warner Classics

Nagranie utworów wokalno-instrumentalnych Karola Szymanowskiego przez zespoły Filharmonii Narodowej pod dyrekcją Jacka Kaspszyka to absolutne arcydzieło, a w odbiorze czysta przyjemność. Znakomity kapelmistrz zaangażował do wykonania „Stabat Mater" oraz „Litanii do Marii Panny" fenomenalną Aleksandrę Kurzak, której głos płynie spokojnie, miękko i niemal rozpływa się na niebiańskich wyżynach. Jej sopranowi, którego często słucha publiczność Metropolitan Opera, towarzyszy baryton Artura Rucińskiego, także znany ze sceny Met, i mezzosopran Agnieszki Rehlis. W III symfonii „Pieśń o nocy" bierze udział rosyjski tenor Dmitry Korchak. Podziwiamy sposób, w jaki potężny aparat wykonawczy mieni się tysiącem barw, a żaden głos ludzki ani solo instrumentalne nie giną w potoku dźwięków, co jest zasługą świetnych reżyserów nagrania. (bt)

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, FILIP BASARA, KINGA KARPATI

eprasa.pl 83cd815144

HITY OKULISTYKI 2017

Nowe soczewki, nowoczesne implanty, bezpieczniejsze techniki operacyjne

Rozmawia Barbara Jagas

Panie profesorze, czy są jakieś nowości w leczeniu zaćmy?

– Rewolucyjnych zmian nie ma, ale dostrzegam wiele ulepszeń w metodach operacyjnych, dysponujemy także nowymi modelami soczewek. Podczas operacji zaćmy możemy wszczepić soczewkę wieloogniskową umożliwiającą widzenie z bliska i z daleka, albo tzw. toryczną, korygującą astygmatyzm. Od jakiegoś czasu możemy tego dokonać także u pacjentów, którzy byli wcześniej zoperowani na zaćmę i mają już wszczepioną soczewkę jednoogniskową.

Rozumiem, że jest wtedy wszczepiana druga soczewka.

– Tak. Na tym polega nowość. Drugą soczewkę doszczepiamy podczas kolejnej operacji, która nie trwa długo i jest wykonywana w znieczuleniu miejscowym. Dodatkowy implant soczewkowy umieszczany jest za tęczówką, w części oka nazywanej rowkiem rzęskowym. Chociaż znajduje się tuż obok soczewki jednoogniskowej, nie styka się z nią. Po operacji nie jest widoczny, nawet jeśli ktoś spogląda nam głęboko w oczy. Pacjenci chwalą sobie soczewki wieloogniskowe, nie muszą bowiem zakładać okularów. Są jednak pewne ograniczenia – dzieje się to kosztem zmniejszenia kontrastowości – jeśli coś czarnego jest na białym tle, jest to dobrze widoczne, ale już szare na szarym gorzej. Drugą niedoskonałością soczewki wieloogniskowej może być występowanie nocą wrażenia aureoli wokół reflektorów lub innych punktów świetlnych. Dlatego nie zaleciłbym takich soczewek pilotom, kierowcom nocnym i osobom pracującym w nocy oraz wykonującym prace wymagające wysokiej precyzji w widzeniu, także grafikom, malarzom, fotografikom... Nie skorzystają z nich także osoby, które oprócz zaćmy cierpią na inne choroby oczu, takie jak zwyrodnienie plamki związane z wiekiem (AMD), choroby rogówki czy postępującą jaskrę. Ale wszyscy pozostali mogą na takie soczewki się zdecydować. Jednak zawsze przestrzegamy, że soczewki wieloogniskowe dają wolność od okularów, ale nie przywrócą wzroku z lat młodości.

Wspomniał pan, że soczewki wieloogniskowe nie powinny być stosowane u osób z innymi chorobami oczu, np. z AMD. Dlaczego? A co z osobami, u których taka choroba rozwinie się już po operacji i wszczepieniu takiej soczewki?

– Współcześnie wykorzystywane soczewki wieloogniskowe, tzw. dyfrakcyjne, działają tym lepiej im zdrowsze jest oko – oczywiście poza zmętnieniem soczewki, czyli zaćmą, którą leczymy podczas operacji. W skrajnych przypadkach, do których może dojść np. w przebiegu zwyrodnienia plamki związanego z wiekiem, widzenie z soczewką wieloogniskową może być gorsze niż z jednoogniskową. Ta dodatkowo doszczepiana soczewka wieloogniskowa jest dobra także dlatego, że w takiej sytuacji można ją usunąć w trakcie stosunkowo mało inwazyjnej i bezpiecznej operacji, pozostawiając w oku soczewkę jednoogniskową.

PROF. JACEK SZAFLIK

– kierownik Katedry i Kliniki Okulistyki II Wydziału Lekarskiego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego

LASER ZASTĘPUJE RĘKĘ CHIRURGA

Jak wyglądają dziś możliwości operacyjne, co się zmieniło?

– Korzystamy z coraz nowocześniejszych aparatów do chirurgii zaćmy, tzw. fakoemulsyfikatorów, a jeśli jest to możliwe ze względów finansowych, to najchętniej sięgamy także po laser femtosekundowy. Czas szybko biegnie i dzisiaj mamy już w naszej klinice czteroletnie doświadczenie jego wykorzystania. Praktyka potwierdziła, że jego energia jest bardzo łagodna dla otaczających tkanek oka, co umożliwia operacje nawet u niektórych pacjentów z chorą rogówką, których kiedyś musielibyśmy zdyskwalifikować. Zastępuje on w części operacji rękę chirurga, a dzięki ogromnej precyzji znakomicie sprawdza się także w przypadku pacjentów, u których planujemy wszczepienie soczewki o zaawansowanej optyce, o których mówiliśmy przed chwilą.

Inną nową technologią rozwijaną obecnie w mikrochirurgii oka jest zastosowanie techniki 3D podczas operacji. Chirurg zamiast w okulary mikroskopu patrzy na bardzo duży ekran monitora i dzięki specjalnym okularom – takim jak w trójwymiarowym kinie – przestrzennie widzi pole operacyjne.

PROF. JACEK SZAFLIK – specjalizuje się w przeszczepach rogówki, chirurgii zaćmy i operacjach przeciwjaskrowych. Ma największe w Polsce doświadczenie w operacjach zaćmy z wykorzystaniem lasera femtosekundowego, wykonując te nowatorskie zabiegi od stycznia 2012 r. Od czerwca zeszłego roku prezes-elekt Polskiego Towarzystwa Okulistycznego.

eprasa.pl 83cd815144

Co możemy jeszcze powiedzieć o nowych sztucznych soczewkach?

– Mamy coraz lepsze generacje soczewek. Na przykład w przypadku nowych soczewek wieloogniskowych proces neuroadaptacji, czyli nauczenia naszego mózgu wykorzystania obrazu do dali i do bliży przebiega o wiele szybciej niż w przypadku soczewek wieloogniskowych stosowanych kiedyś. Jeśli pyta pani o nowości, to od jakiegoś czasu dostępne są soczewki trzyogniskowe, czyli stosowane do bliży, dali i odległości pośredniej – np. do pracy przy komputerze. Kontrastowość obrazu jest wtedy jeszcze trochę mniejsza, ale dla niektórych pacjentów jest to dobre rozwiązanie. Powstały też nowe modele soczewek dla cierpiących na AMD, czyli degenerację plamki związaną z wiekiem; przesuwają one miejsce padania obrazu na siatkówkę lub zwiększają jego rozmiar na siatkówce.

Zwiększają obraz widziany przez pacjenta, tak?

– I pozwalają tym pacjentom lepiej widzieć z bliska. Stanowią rodzaj jakby miniteleskopu wszczepianego do oka. Inna interesująca konstrukcja to tzw. soczewki Schariotha – od nazwiska niemieckiego chirurga węgierskiego pochodzenia, który je zaprojektował. Niestety, są one tylko dla wąskiej grupy pacjentów z suchym AMD, ale spełniających wiele dodatkowych kryteriów. Jeśli rozmawiamy o nowościach, to jest to jedna z nich.

MOŻLIWOŚCI SĄ, BRAKUJE PIENIĘDZY

Czy takie specjalne soczewki mogą zostać wszczepione u państwa w szpitalu?

– Jeśli nam się uda w klinice zdobyć jakąś liczbę soczewek typu Premium, np. w ramach badań klinicznych, to są one oczywiście dostępne dla pacjentów bezpłatnie. Ale normalna refundacja NFZ nie pozwala obecnie na stosowanie takich soczewek. Tak samo jak w przypadku nowoczesnych, mało inwazyjnych, a jednocześnie skutecznych operacji jaskry – sam implant potrzebny do takiego zabiegu kosztuje często więcej niż wynosi refundacja całej operacji, która ma zawierać w sobie wszystkie koszty, czyli materiałów zużywalnych, amortyzacji sprzętu, wynagrodzeń personelu oraz koszty stałe szpitala. Nic dziwnego, że w Polsce operuje się tylko ok. 1% chorych na jaskrę – pozostali skazani są na dożywotnie stosowanie kropli, które z czasem stają się coraz mniej skuteczne. Podobnie albo jeszcze gorzej jest z zaćmą – NFZ stopniowo od 2013 r. obniża wycenę zabiegu jej usunięcia.

Pacjentom po operacji zaćmy możemy dziś wszczepiać drugą soczewkę, umożliwiającą widzenie z bliska i z daleka.

Skandaliczna sprawa.

– To jest fatalne, bo obniża jakość procedury dla pacjentów, a ośrodki okulistyczne są pod presją, bo trzeba leczyć ludzi. W tej chwili z trudem wystarcza nam na bieżące pokrycie kosztów, czyli nie będziemy mogli kupić nowego sprzętu, wprowadzać nowości. W klinice czasami radzimy sobie w ten sposób, że korzystamy z funduszu na jakiś program badawczy albo badania kliniczne. Ale to kropla w morzu potrzeb, bo przecież w klinice uniwersyteckiej leczymy często pacjentów z najcięższymi schorzeniami, których terapia bywa bardzo kosztowna, a płatnik, czyli NFZ, nie chce refundować tych kosztów. W tym roku obcięto jeszcze pieniądze na finansowanie wizyty kwalifikacyjnej na operację zaćmy. Dotyczy to ośrodków w całej Polsce. Tak że w tej chwili procedura operacji zaćmy wyceniona jest na granicy ponoszonych kosztów, a niektórzy twierdzą, że nawet poniżej. Podobnie jest z wyceną terapii AMD, którą, wprowadzając tzw. program lekowy, mocno obniżono. W efekcie pacjenci bardzo często nie mają szansy trafić na leczenie w takim momencie choroby, kiedy jest ono skuteczne. W dłuższej perspektywie obecny kryzys finansowania doprowadzi do poważnej stagnacji w polskiej okulistyce.

Decydenci tłumaczą, że niektóre materiały potaniały.

– Owszem, staniały soczewki, ale niewiele, a wycena zabiegów operacyjnych jest naprawdę za niska. Jeśli szpitale nie mają z czego płacić, to zaniżane są wynagrodzenia personelu. A z drugiej strony narzeka się, że lekarze, pielęgniarki wyjeżdżają. Oczywiście, że wyjeżdżają i będą wyjeżdżać, jeśli za granicą ta sama praca, albo lżejsza, wynagradzana jest czasami kilkakrotnie lepiej.

Rzeczywiście tak dużo okulistów wyjeżdża?

– Wyjeżdżają okuliści, wyjeżdżają lekarze innych specjalności, ale chyba najwięcej wyjeżdża młodych lekarzy, krótko po studiach, czasem w trakcie specjalizacji. Wyspecjalizują się i będą leczyć pacjentów, ale nie w Polsce. To niepowetowana strata.

Jeszcze niedawno po operacji zaćmy kilka dni leżało się w szpitalu. Teraz prawie od razu pacjent jest wypisywany do domu. Czym to jest spowodowane?

Istnieje możliwość połączenia operacji zaćmy z wszczepieniem implantu na jaskrę.

– Wynika to z dwóch powodów. Po pierwsze, operacje wiążą się z mniejszą ingerencją w oko, rana jest mała i lepiej się goi. Stąd nie ma potrzeby leżenia – i jest to uzasadnione od strony medycznej. Po drugie, kiedyś szpital w ten sposób mógł zapewnić pacjentowi ciągłość opieki np. w pierwszej dobie po operacji, co szczególnie dla osób gorzej sytuowanych, często mieszkających daleko, było bardzo ważne. Dzisiaj szpitali już na to nie stać. Bywa więc, że pacjent nie pojawia się na potrzebnej kontroli, bo nie stać go na nocleg albo na bilet.

IMPLANTY NA JASKRĘ

A czy jest jakiś postęp w diagnostyce jaskry?

– Postępem ostatnich lat jest zastosowanie technologii optycznej koherentnej tomografii, czyli OCT, do badania nerwu wzrokowego i komórek zwojowych siatkówki. Może to służyć zarówno rozpoznaniu choroby, jak i kontrolowaniu, czy podczas leczenia

ZAĆMA

Na zaćmę choruje **2,4% populacji**, czyli co 40. Polak.

Powyżej 70% chorych to osoby w wieku ponad 60 lat.

Rocznie na zaćmę **operowanych jest ok. 260 tys. osób** (w tym ok. 7% prywatnie).

Ok. 30% chorych na zaćmę ma też astygmatyzm, który mógłby być zredukowany poprzez wszczepienie specjalnej soczewki.

eprasa.pl 83cd815144

stan pacjenta jest stabilny, czy też – niestety – choroba się rozwija.

Tylko trzeba samemu pomyśleć o takim badaniu.

– Tak, to jest specjalistyczne badanie zlecane przez okulistę. Warto samemu raz na kilka lat zgłosić się do okulisty, aby sprawdzić, czy z naszymi oczami wszystko jest w porządku. Jaskra jest bowiem podstępną chorobą, długo nie daje pacjentowi najmniejszych objawów, można ją wykluczyć tylko podczas wizyty u okulisty. Jeśli nie jest rozpoznana i właściwie leczona, podstępnie odbiera pacjentowi wzrok, a dokonujące się w jej przebiegu uszkodzenia nerwu wzrokowego są, niestety, nieodwracalne. Jeśli chodzi o diagnostykę, to kiedyś badano przede wszystkim pole widzenia, potem były badania nerwu i grubości włókien nerwowych – HRT, GDX. Obecnie w dużej mierze badania te wypierane są przez OCT, które jest bardzo dokładne, pozwala określić stan włókien nerwowych w obrębie tarczy nerwu wzrokowego i siatkówki oraz tzw. komórek zwojowych siatkówki, które jako pierwsze ulegają uszkodzeniu. Czyli możemy wykryć dziś jaskrę wcześniej, dużo wcześniej nim dojdzie do ubytków w polu widzenia.

Czy przewiduje pan w najbliższej przyszłości jakiś postęp w leczeniu jaskry? Możliwe jest zastosowanie komórek macierzystych?

– Cały czas trwają badania nad tym, jak odbudować nerw zniszczony w przebiegu jaskry. Wyniki badań są mieszane – od czasami dobrych prognoz i ostrożnej radości po porażki. Niestety, nic nie wskazuje na to, aby w ciągu najbliższych kilku lat możliwe było zastosowanie metody leczenia, umożliwiającej regenerację już uszkodzonych włókien nerwowych. W leczeniu jaskry nie sprawdziło się na razie stosowanie niezróżnicowanych, komórek macierzystych.

Słyszałam o podawaniu leków na jaskrę w inny sposób niż w postaci zakraplania.

– Myśli pani o badaniach wszczepianych do oka implantów, które dozują lek obniżający ciśnienie wewnątrzgałkowe, zamiast stosowania kropli?

To będzie hit?

– Czas pokaże, które z tych konstrukcji najlepiej się sprawdzą. Takie stałe dozowanie leku, niewymagające pamiętania o tym przez pacjenta, znalazło już zastosowanie w leczeniu jednego z powikłań ocznych cukrzycy – cukrzycowego obrzęku plamki. Do oka zostaje wszczepiony specjalny implant, dawkujący lek przez sześć miesięcy.

Implanty są w fazie badań. A co nowego w leczeniu jaskry już się stosuje?

– Mamy nowe metody operacyjne, zabiegi, które skutecznie obniżają ciśnienie wewnątrzgałkowe i jednocześnie o wiele rzadziej powodują powikłania.

To znaczy, że są bezpieczniejsze?

– Tak, są bezpieczniejsze, a ich wyniki są dużo bardziej przewidywalne niż operacji przeciwjaskrowych, które wykonywaliśmy jeszcze kilka lat temu. Przykładem może być operacja kanaloplastyki, przypominająca trochę stentowanie naturalnych dróg odpływu cieczy wypełniającej przednią część gałki ocznej. Powstały też nowe, bardzo nowoczesne implanty wytwarzające dodatkową drogę odpływu cieczy wodnistej z oka – i tym samym obniżające w nim ciśnienie.

Na czym polega ich nowoczesność?

– Są niezwykle małe i dobrze tolerowane przez tkanki oka. Taki implant wszczepia się nad tęczówkę, do części oka nazywanej beleczkowaniem. Jego działanie polega na połączeniu wnętrza oka z przestrzenią podspojówkową. Tą nową drogą odprowadzana jest ciecz wodnista, dzięki czemu zmniejsza się ciśnienie wewnątrzgałkowe. Implant wprowadza się za pomocą specjalnego przyrządu przypominającego igłę, z której wstrzykuje się go w odpowiednie miejsce. Po zabiegu oko szybko się goi i spadek ciśnienia jest dobrze kontrolowany, dzięki czemu unikamy powikłań związanych ze zbyt dużym obniżeniem ciśnienia po operacji. Warto też wiedzieć, że jeśli ktoś ma zaćmę i jaskrę, to istnieje możliwość połączenia operacji zaćmy z wszczepieniem implantu na jaskrę.

W Polsce operuje się tylko około 1% chorych na jaskrę – pozostali skazani są na dożywotnie stosowanie kropli.

GENY A KOLOR OCZU

Chciałabym zadać panu może trochę dziwne pytanie. Urodził się panu syn, czego serdecznie gratuluję. Ale czy jako naukowiec nie zastanawiał się pan nad tym, czy można było wpłynąć na barwę jego oczu?

– Cóż, pragnienie ludzi, aby móc jak najbardziej wpływać na swój wygląd, jest niezmienne. W niektórych krajach Ameryki Łacińskiej, gdzie ludzie są chyba najbardziej troszczą się o swój wygląd, stosuje się nawet kosmetyczne wszczepy na tęczówkę, które zmieniają kolor.

U nas też można założyć soczewki i zmienić w ten sposób kolor oczu.

– Ale ja mówię o wszczepach zmieniających barwę oka, które aplikuje się do środka. Towarzystwa okulistyczne są zresztą temu przeciwne, bo jest to zabieg bardzo ingerujący

FOT. TOMASZ ADAMASZEK

eprasa.pl 83cd815144

w fizjologię oka, obciążony znacznym ryzykiem powikłań.

Czyli nie mamy jeszcze takiej możliwości, aby wpłynąć na gen, który odpowiada za barwę oczu i spowodować, aby nasze dziecko miało konkretny kolor tęczówki. Znamy taki gen?

– Przyznam, że nie interesowałem się ostatnio, czy istnieją nowe badania nad genetyką zabarwienia tęczówek (śmiech). Kolor oczu zależy od ilości pigmentu w ich obrębie, bywa, że dziedziczymy kolor oczu nie po rodzicach, ale po dziadkach. Na razie klinicznie nie umiemy ingerować w kolor oczu dziecka.

Ale to, co dzisiaj jest niemożliwe, jutro może stać się możliwe.

– Z ewentualnymi ingerencjami w genom związane są też poważne kwestie etyczne. Potencjalnie mogłoby to prowadzić do chęci „programowania" nowego człowieka. Bo jeśli kolor oczu, to i wzrost, a jeśli wzrost, to i budowa ciała, oczywiście także płeć... Moglibyśmy więc teoretycznie zaplanować sobie takiego biologicznego robota, bo nie wiem, na ile byłby to jeszcze człowiek. Ale powiem pani, że już teraz istnieje możliwość zmiany barwy oczu. Grupa leków stosowanych na jaskrę, analogów prostaglandyn, przyciemnia kolor oczu oraz... powoduje duży wzrost rzęs.

W tym roku obcięto pieniądze na finansowanie wizyty kwalifikacyjnej na operację zaćmy.

O!

– Są też nawet preparaty kosmetyczne, które powodują wzrost rzęs. Ale takie ładne to one nie wyrastają – są przede wszystkim sztywne.

Rozumiem, to sobie odpuszczam. Wróćmy do spraw poważniejszych: czy jest dzisiaj możliwe odwrócenie ślepoty – np. po wypadku albo nieudanej operacji.

– To zależy od przyczyny. Jeśli przyczyną jest nieprzezroczysta rogówka, to tak, możemy ją przeszczepić. Jeśli jest nią zaćma pourazowa, możemy usunąć zmętniałą soczewkę i wszczepić sztuczną. Jeśli doszło do wylewu krwi do oka, możemy usunąć wynaczynioną krew. Natomiast jeśli przyczyną jest przerwanie nerwu wzrokowego na skutek urazu mechanicznego lub zniszczenie centralnej części siatkówki, to jeszcze nie potrafimy tego naprawić.

Trzeba czekać na komórki macierzyste…

– Nie tylko. Doświadczamy na szczęście ciągłego postępu. Na przykład zwyrodnienie plamki związane z wiekiem – dekadę temu w przypadku tej choroby byliśmy prawie bezradni, a dzisiaj potrafimy często nie tylko zatrzymać postęp choroby, ale i uzyskać poprawę widzenia, jeśli terapia jest włączona w odpowiednim momencie.

Barbara Jagas

NIE LECZĄ, A SZKODZĄ

W suplementach diety NIK wykryła substancje rakotwórcze i bakterie kałowe

Polacy coraz częściej sięgają po suplementy diety, traktując je jako panaceum na różne dolegliwości. Nie wiadomo jednak dokładnie, co spożywamy, gdyż ich wprowadzanie do obrotu i sprzedaż są praktycznie poza skuteczną kontrolą. Badania laboratoryjne suplementów diety zlecone przez Najwyższą Izbę Kontroli wykazały, że wiele preparatów nie wykazuje cech deklarowanych przez producentów, a zdarzają się też po prostu szkodliwe dla zdrowia. W sprzedaży, w tym internetowej, ale także w sklepach stacjonarnych i aptekach obok wartościowych produktów znajdowały się suplementy diety zafałszowane, zawierające np. bakterie chorobotwórcze, substancje rakotwórcze, bakterie kałowe, zakazane substancje psychoaktywne działające jak narkotyki.

NIK zwraca także uwagę na oszukańcze praktyki, jakie stosują producenci i dystrybutorzy reklamujący suplementy jako preparaty równoważne produktom leczniczym. Reklamy na stronach internetowych przypisywały suplementom właściwości lecznicze, sugerowały, że stanowią one niezbędny element codziennej diety, będący remedium na liczne dolegliwości i potrzeby; obiecywały szybką poprawę zdrowia. Działo się to przy biernej postawie organów państwa, co może stanowić zagrożenie dla zdrowia, a nawet życia konsumentów.

Ustalenia kontroli wskazują, że w Polsce nie jest zapewniony właściwy poziom bezpieczeństwa suplementów diety. Związane jest to przede wszystkim z nieadekwatnymi do potrzeb przepisami prawa, szczególnie w zakresie wprowadzania suplementów diety do obrotu po raz pierwszy oraz w zakresie reklamy tych produktów. *(es)*

Suplementy diety, które w trakcie kontroli NIK zostały zakwestionowane przez Głównego Inspektora Sanitarnego:

1. Orange Triad
2. Orange Triad + Green
3. Complete sleep
4. 5-HTP – kapsułki
5. Arnold Iron Dream
6. Creation
7. Candida Clear
8. Black Walnut Hulls
9. Holistic UltraBalans
10. Animal Pump
11. Kapsułki Flatol
12. Sinulan Junior Gardło
13. CROSTREC PRE –W-BOX
14. AMIXTM MyoCell® 5 Phase
15. Diaval Caps
16. Potassium nitrate
17. Tropinol XP
18. Compete! (smaki: tangy tangerine, fruit punch slam, lemon drop)
19. Amino pump
20. Mex M-Test pro
21. Xtreme Detonator
22. Pre Shock
23. Beta stim
24. Platinum Multivitamin
25. Cyclin GF
26. NO-Bomb
27. IHS TECHNOLOGY BS BURN SHAPE 2.0 FAT BURNER
28. Plusssz Care Dzień Bez nerwów – tabletka do połykania
29. Plusssz Care Dzień Bez nerwów – tabletka musująca
30. Wobenzyn N
31. Multi-Enzyme Formula
32. Mango Peach Powder
33. B52+
34. Animal cuts – saszetki
35. Animal m-Stak
36. Animal Pack
37. Black Bombs
38. Duo Lactil

eprasa.pl 83cd815144

Nowy dostawca pizzy? Taki robot dowozi zamówienia z pewnej restauracji w Tallinie.

JAK OSWOIĆ ROBOTA

Ekspansja technologii budzi strach. Czy jest się czego bać?

Mateusz Mazzini

Argument tworzenia miejsc pracy czy przywrócenia tych, które zostały zlikwidowane na skutek ostatniego kryzysu, poniósł w ostatnich latach do zwycięstwa niejednego populistę. Donald Trump podkreślał niemal na każdym wiecu, że jego priorytetem będzie „odesłanie Amerykanów z powrotem do pracy". Nowy prezydent założył, że powodem wysokiego bezrobocia jest przenoszenie produkcji przemysłowej za granicę, zwłaszcza do Meksyku. Dlatego budowa muru granicznego, zaostrzenie polityki migracyjnej i bariery celne miały się przyczynić do powrotu amerykańskiej gospodarki w ręce amerykańskich pracowników.

Problem w tym, że założenie Trumpa było błędne. Amerykanie tracili miejsca pracy nie z powodu tańszej siły roboczej w Ameryce Środkowej, ale ze względu na coraz powszechniejszą automatyzację procesu produkcji. Według danych amerykańskiego centrum badawczego Brookings Institution aż 85% zlikwidowanych od 2007 r. miejsc pracy w USA przestało istnieć z powodu zastąpienia ludzi maszynami. Jeszcze bardziej kompleksowe dane przedstawiono w tym roku na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos. Według badaczy forum w krajach OECD od 1980 r. nieprzerwanie notuje się skokowy niemal wzrost produktywności w przemyśle, wskutek czego maleje liczba niezbędnych miejsc pracy. Ów wzrost produktywności był bezpośrednią przyczyną 86% zwolnień w latach 1997-2011. Trumpowi nie uda się więc zatrzymać trendów na rynku zatrudnienia. Prawdziwi „złodzieje miejsc pracy", jak nazywano imigrantów chociażby w czasie kampanii brexitowej, już bowiem są wewnątrz naszych granic. Co więcej, sami ich zaprosiliśmy.

GÓRNIK Z PANELEM SŁONECZNYM

Czy naprawdę jesteśmy skazani na stopniowe zanikanie naszej aktywności zawodowej, jak wieścił jeszcze niedawno brytyjski dziennik „The Guardian"? Innymi słowy, czy roboty niebawem zastąpią nas we wszystkim? Wbrew obiegowej opinii wygląda na to, że nie. Przynajmniej nie tak szybko, jak mogłoby się wydawać.

Najbliższe dekady przyniosą ogromne zmiany na rynku pracy – co do tego nie ma wątpliwości. Niekoniecznie jednak będą to zmiany związane z linearnym zastępowaniem człowieka przez roboty czy algorytmy. Bardziej prawdopodobna, a nawet pewna, jest konieczność znaczącego przebranżowienia się dużej części pracowników. Według serwisu The Economist Intelligence Unit, badawczego ramienia znanego brytyjskiego tygodnika, najlepiej pokazują to wykresy zapotrzebowania na poszczególnych specjalistów na rynkach krajów rozwiniętych. Przykładowo w 2016 r. najbardziej poszukiwani w Stanach Zjednoczonych byli technicy zajmujący się instalacją i naprawą paneli słonecznych. Badania prowadzone przez amerykańskie radio publiczne NPR wskazują, że to wzrost zatrudnienia w sektorze nowych energii był jedną z głównych przyczyn odwrócenia się negatywnego trendu na amerykańskim rynku pracy, zwłaszcza w sektorze energetycznym. Wielu pracowników, którzy stracili zatrudnienie w wygaszanych czy nierentownych kopalniach, przekwalifikowało się z pomocą państwa, by móc pracować w firmach zajmujących się energią odnawialną. Problem w tym, że ponad jedna trzecia miejsc pracy w energii odnawialnej powstała w Kalifornii, podczas gdy największy wzrost bezrobocia w energetyce miały stany tzw. rdzawego pasa, przede wszystkim Ohio, Indiana i Michigan. W dodatku praca przy panelach słonecznych nie jest aż tak dobrze płatna jak chociażby w kopalni. Pracodawcami są też dużo mniejsze firmy, które nie oferują profitów dla całej rodziny. Skutek tego przebranżowienia był zatem – z powodów finansowo-geograficznych – dość ograniczony. Miał natomiast

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 83cd815144

przełożenie na wybory prezydenckie. Tradycyjnie demokratyczna Kalifornia jeszcze bardziej odróżniła się od reszty kraju, a Michigan i Ohio, stany nierzadko decydujące o prezydenturze, poszły niemal jednomyślnie za obietnicami Trumpa.

LINGWISTA NAUCZY MÓWIĆ ROBOTA

Na liście najpotrzebniejszych zawodów na rynku pracy znaleźli się oczywiście informatycy, specjaliści od *big data*, ekonomiści, ale również, co ciekawe, nie zabrakło miejsca dla lingwistów i antropologów. Jak tłumaczy Daniel Franklin, szef prestiżowej publikacji „The World In…", w której „The Economist" stara się przewidzieć nadchodzący rok na świecie, specjaliści od języków i komunikacji międzyludzkiej znajdą zatrudnienie przy doskonaleniu tzw. botów. To sztuczne twory, zbudowane na bazie algorytmów i opierające się na minimalnych formach sztucznej inteligencji, już teraz wykorzystywane m.in. w centrach obsługi klienta i zautomatyzowanych oknach dialogowych z pomocą. Boty mogą dziś zarezerwować nam bilet czy zmienić trasę przelotu, rozwiązać problemy z oprogramowaniem telefonu albo dobrać wystrój pokoju. Co więcej, zakres ich możliwości rośnie z każdym tygodniem. Największy problem w ich rozwoju stanowi jednak bariera komunikacji z prawdziwym człowiekiem. Dlatego lingwiści, tłumacze czy akustycy znajdą zatrudnienie przy doskonaleniu umiejętności słuchania różnych akcentów bądź rozróżniania tonu głosu przez coraz bardziej zaawansowane boty.

Tu powraca wątek roli robotyzacji i nowych technologii w życiu człowieka. Jak zauważa Aleksandra Przegalińska, pracująca nad interakcją ludzi z maszynami na Massachusetts Institute of Technology, kontakt ze sztucznym tworem zachowującym się jak człowiek budzi ogromny lęk wielu z nas, czasami wręcz histerię. Wynika to z naszej konstrukcji biologicznej, ale też uwarunkowań kulturowych. Historycznie w naszej cywilizacji wszystko co nieludzkie budziło podejrzliwość i strach. Z tego powodu, jak twierdzi Przegalińska, roboty szybciej przyjęły się w Japonii, bo w popularnym tam szintoizmie nawet przedmioty mają duszę. Łatwiej więc Japończykom przystosować się do kontaktu z mówiącym nieczłowiekiem niż np. nam, Polakom.

KONTRAKT NAPISZE MASZYNA

Przy analizie zapotrzebowania na konkretne zawody i umiejętności warto się przyjrzeć rokowaniom dla profesji kompletnie niezwiązanych z technologią. Oczywiście generalny trend jest łatwy do przewidzenia. Roboty będą zabierać pracę przede wszystkim (choć nie tylko) osobom mniej wykwalifikowanym, wykonującym prace manualne. Niemniej jednak nie oznacza to, że eksperci mogą się czuć bezpiecznie. Jak podkreśla Daniel Franklin, największe szanse na przetrwanie mają ci, których praca jest najbardziej różnorodna i którą najtrudniej poddać schematyzacji. Dlatego mniejsze ryzyko grozi dziennikarzom zajmującym się konkretnymi dziedzinami życia niż np. prawnikom transakcyjnym. Bank JP Morgan pokazał tę zależność w sposób do bólu namacalny. Niedawno wprowadzony do użytku zestaw programów analizujących kontrakty miał w ciągu kilkunastu sekund wykonać pracę, którą zespół prawników szacował na 360 tys. godzin. Oczywiście na razie są to wyjątki, ale sygnalizują tendencję rozwoju robotyzacji również stanowisk wykwalifikowanych pracowników.

Nie znaczy to bynajmniej, że gospodarka nie potrzebuje już nieekspertów. We wspomnianym zestawieniu zapotrzebowania na zawody bardzo wysoko znaleźli się bowiem pielęgniarze, opiekunki i przedstawiciele wszystkich profesji związanych z zapewnianiem opieki. To naturalna konsekwencja starzenia się społeczeństw. Żyjemy coraz dłużej, ale niekoniecznie w pełnym zdrowiu. Co więcej, publiczne systemy opieki stają się powoli niewydolne, dlatego możemy się spodziewać zdecydowanego powiększenia sektora prywatnego w tych usługach.

85% miejsc pracy zlikwidowanych w USA od 2007 r., przestało istnieć z powodu zastąpienia ludzi maszynami.

Podsumowując, roboty stają się w naszym życiu coraz powszechniejsze, choć nie wszędzie je akceptujemy. Czasami boimy się ich słusznie, ale często jest to lęk na wyrost. Jak pokazują przykłady, rozwój technologii otwiera także nowe szanse dla tradycyjnych zawodów. Dziś wydaje się, że najtrudniejszym zadaniem dla robotów będzie zdobycie ludzkiego zaufania. Tyle że one wydają się tym kompletnie niezainteresowane. ■

eprasa.pl 83cd815144

SKRYWANA TAJEMNICA ŻYDOWSKIEGO MIASTECZKA

Do dzisiaj w Klimontowie odnajdowane są ludzkie szczątki w różnych miejscach

Andrzej Nowak-Arczewski

Piekielny raj

Jadę do Klimontowa. Upał, duszno, pogoda niemal tropikalna. Ale za to – co za rajski widok! Kraina wśród sadów. Z góry, od Pęchowa, widać wieże klasztoru, poniżej – kolegiaty. Takie małe *town*, a takie duże budowle, dziwią się potomkowie dawnych mieszkańców, gdy przyjeżdżają tutaj z zagranicy. (…)

Ciche spokojne miasteczko. Tak się wydaje, gdy do niego wkraczam. Jednak za chwilę okaże się miejscem mrocznym i pełnym niedomówień. Miejscem, w którym krew wypływa z domów, placów, spływa uliczkami. Docieram do źródła, by się przekonać, ile jest prawdy w zasłyszanych opowieściach o przerażających mordach, wykopywanych ludzkich kościach.

Okrutne sceny wydostają się tutaj z każdego kąta. (…)

Słyszę przestrogi.

– Jeszcze niedawno, gdy ktoś pytał o dawnych mieszkańców, mógł nieźle oberwać.

– Co chcesz pisać? Po co o tym wspominać? Myślisz, że z kilku rozmów powstanie książka? – odradzają mi niektórzy. (…)

Cena

W Klimontowie ciągle mówią o dawnych sąsiadach, ale jakby wstydliwie, na ucho, w zaufaniu. Może trochę bardziej otwierają się podczas jarmarku.

Widocznie sprzyja nastrój.

– Dlaczego przeszłość nadal jest skrywana? – zagaduję Mirosława Szeląga, który prowadzi w swoim domu niewielką izbę pamięci o dawnych mieszkańcach. – Czy naprawdę tak trudno mówić otwarcie? Wydusić wszystko, co siedzi w środku? Oczyścić się?

– Boję się za dużo mówić – odpowiada. – Tutaj mieszkam. Czy warto do tego wracać?

W końcu jednak decyduje się opowiedzieć o przerwanej ciągłości miasteczka.

Przed wojną większość spośród 2 tys. mieszkańców stanowili Żydzi. Nic dziwnego, że po ich wysiedleniu Klimontów opustoszał. Jednak nie na długo. Opuszczone domy szybko zostały zasiedlone. Najpierw Niemcy pozwalali zamieszkać w nich tym, którzy mogli się przydać. Po wojnie, kto znajdował się bliżej władzy, miał odpowiednią legitymację, popierał nowe porządki, ten dostawał mieszkanie.

> W Klimontowie ciągle mówią o dawnych sąsiadach, ale jakby wstydliwie, na ucho.

Niektórym udawało się nie tylko zamieszkać, ale także nabyć prawo własności. Część Żydów wprawdzie wróciła po wojnie, ale nie zamierzała się osiedlać. Wiedzieli, że tutaj jest niebezpiecznie. Dawni właściciele przekazywali więc swoje nieruchomości jako darowiznę albo sprzedawali za śmieszne grosze, przysłowiowe wiaderko ziemniaków, worek zboża, mąki. Chcieli zachować ze swojego dawnego majątku cokolwiek i wyjechać. Państwo ludowe i tak zabrałoby im wszystko.

W taki właśnie sposób niektórzy mieszkańcy Klimontowa stali się właścicielami majątków sąsiadów. (…)

Mirosław Szeląg zapłacił ogromną cenę za swoje zainteresowania, opowiadania, gromadzenie starych gazet, książek, przedmiotów po dawnych sąsiadach.

Gdy został radnym, ktoś puścił plotkę, że remontuje dom za żydowskie pieniądze. Na nic zdały się tłumaczenia, że miał parę złotych z diety, trochę z wynajmu lokalu. Że musiał coś zrobić ze starą chałupą, żeby się nie zawaliła.

Ponownie startował na radnego, ale kojarzenie go z tamtą przeszłością nie wróżyło nic dobrego. Mirosław powiedział zbyt dużo. Przegrał wybory.

Jest już stygmatyzowany.

Sandomierska

Gdy w sierpniu 1944 r. na tych terenach pojawiła się Armia Czerwona, z różnych kryjówek, zakamarków, chłopskich drewutni, ziemianek zaczęli wychodzić Żydzi. Pojedynczo. Jakieś niedobitki. Ci, którym udało się przeżyć.

Przybywali z pobliskich wsi, przekonani, że zaczną normalne życie.

Taką nadzieję miała Sabina Wajsbrot, którą w czasie wojny opiekowała się rodzina Bieniasów z pobliskiego Stawiska. Ich syn Stefan zakochał się w dziewczynie. Młodzi postanowili się pobrać.

Jeszcze trwały boje o Berlin. W Klimontowie panowało bezkrólewie. Rządził, kto silniejszy.

W połowie kwietnia 1945 r. Sabina Wajsbrot przygotowała się u sióstr zakonnych do chrztu i spowiedzi. Zaraz potem odbył się ślub. Przybyli wszyscy Żydzi akurat obecni w miasteczku. Weselni goście rozeszli się do dwóch domów – jedni znaleźli się na obrzeżach miasta, w domu Fajntucha przy Sandomierskiej, drudzy przy Opatowskiej. Następnego dnia wszyscy planowali wyruszyć do Łodzi.

Ci z Sandomierskiej nie dotarli tam nigdy.

W nocy z 16 na 17 kwietnia rozległy się strzały. Trwało to kilka, może kilkanaście minut. Ludzie bali się wychodzić z domów, a przez okna niewiele dawało się zobaczyć.

eprasa.pl 83cd815144

Żydowscy mieszkańcy Klimontowa – czy można było im pomóc?

16-letnia wówczas Ania Kaniewska mieszkała na Sandomierskiej, kilka posesji dalej. Było ich czworo w rodzinie. Ojciec dbał o obejście, nieraz wstawał w nocy. Patrzył, czy coś się nie dzieje. Tamtego ranka wszedł do domu.

– Wiecie co? – powiedział. – Wszyscy Żydzi, co mieszkali obok nas, nie żyją. Straszne rzeczy.

Oczom sąsiadów ukazał się makabryczny widok – przed domem na Sandomierskiej leżały ciała pomordowanych. Wśród nich kobieta w ciąży. Jej duży brzuch przykuwał uwagę. Dziecko musiało być już spore, być może lada chwila pojawiłoby się z krzykiem na świecie. Nie było mu dane.

Kilkanaście metrów dalej, przy końcu ulicy, obok kapliczki, leżał młody mężczyzna. Próbował uciekać. To był Abram, kawał chłopa. Zuch, czerstwy, dorodny.

Zginęli wszyscy. Pięcioro. Próbowali uciekać, przez komin przedostawali się na dach. Bronili się. Nie dali rady.

Coraz więcej mieszkańców przybywało na Sandomierską. Jedni powtarzali drugim o strzelaninie, już zbierał się tłum. Ciała leżały. I ta kobieta w ciąży. Przerażające.

Ludzie płakali, szeptali między sobą. Od początku domyślali się, kto za tym stoi. Przebąkiwali o partyzantach. Oficjalnie nie wskazywali na nikogo. Paraliżował ich strach. (…)

A przecież od kilku miesięcy dawała się ludziom we znaki ta sama grupa mężczyzn. O wszystkim próbowała decydować. Rabowała. Szybko chciała się wzbogacić. Zdążyła już sporo zagarnąć, a miała ochotę na więcej.

Urząd Bezpieczeństwa prowadzi poważne śledztwo, przesłuchuje wiele osób, gromadzi liczne materiały. Niespodziewanie przyjeżdża NKWD, zabiera papiery, notatki, brudnopisy. Funkcjonariusze radzieckiej bezpieki twierdzą, że dalsze postępowanie to wyłącznie ich sprawa. Od tego momentu ślad po dokumentacji ginie. Tak twierdzi Feliks Grzesik, który rozmawiał z byłym oficerem UB, gdy obydwaj pracowali w ostrowieckiej hucie.

Jadwiga Cichoń znała kobietę w ciąży, która zginęła przy Sandomierskiej. Pochodziła z Łodzi i tu ją przesiedlono.

– Przyszła po wyzwoleniu do nas i cieszyła się, że udało jej się przechować – opowiada pani Jadwiga.

– A potem poszła na Sandomierską i zginęła.

Anna Augustyn widziała rano zwłoki kobiety w ciąży, już po strzelaninie.

– Obraz okropny! – Pamięta, jakby to było dzisiaj.

Dobrze też znała Abrama, bo przychodził do jej sąsiada, żeby pogadać.

– Uratował się, chciał w Klimontowie założyć biznes – mówi. – Był pewny, że nic mu już nie grozi i że będzie rządził. Miał dolary, złoto. Chciał zabierać co lepsze chałupy. To się nie podobało ludziom. I zginął.

– Kto strzelał? – pytam Henryka Kryja.

– A ja wiem, kto strzelał? Ten, co strzelał, to nie siedział. A siedzieli ci, co wcale nawet nie wiedzieli o strzelaniu. Wszystko na nich zgonili. Ale i ci, co strzelali, też już nie żyją.

– Kto to zrobił? – zastanawia się Władysław Mądry. – Trzeba ostrożnie podchodzić do wszystkich rewelacji. Ludzie różnie mówią. Ktoś miał złość

Oczom sąsiadów ukazał się makabryczny widok – na Sandomierskiej leżały ciała pomordowanych.

Przed domem na Sandomierskiej leżały ciała pomordowanych.

eprasa.pl 83cd815144

do kogoś. Czy to teraz ma jakieś znaczenie? Przeszło, minęło. Były przypadki przechowywania Żydów. I piękne, i brzydkie karty. Są ludzie, którzy mają brudne ręce. To jest wina wojny, która zniszczyła ludzi, złamała charaktery. Po co znowu wszczynać zamęt? Ludzie i tak się nawzajem nienawidzą. (…)

Za późno na pytania

W zachowanych nielicznych materiałach śledztwa ze zbrodni na Sandomierskiej powtarzają się nazwiska kilku rodzin: P., S., W.

– Ich grzeszki nie są tajemnicą w Klimontowie – mówią Irena Skibińska i T. – Teraz jest już o wiele lat za późno, by wracać do tamtych zdarzeń. Już nie żyją ludzie, którzy to wszystko dokładnie pamiętali: matka Jadzi Szelągowej, Goździewski, Strychaccy, Grygle. Oni wszystko wiedzieli, a pokolenie powojenne zna opowieści jedynie od innych.

– Te wątki nie były popularne, ukrywano je, unikano ich w rozmowach. Ludzie nie chcieli się wypowiadać. P. uważano za bandytów. Moja babcia Wołowska, matka mamy, powiedziała, że to są przestępcy, a nie partyzanci. Rabowali. Babci – z czworgiem małych dzieci – zabierali wszystko: ser, kluski, jajka, drób. (…)

– A partyzant S.? – drążę temat.

To tajemnica poliszynela. (…)

– S. był naczelnikiem gminy. Gdy jakieś sprawy docierały o wiadomych rodzinach, to wszystkie ukręcano. A docierały różne. Jego starszy brat, pseudonim „Sikora", podjął współpracę z UB. Historie z przeszłości nie były darowane. Wisiały nad nim jak bat. Inwigilujesz środowisko, nic ci nie zrobimy, przestaniesz, przypomnimy twoje sprawki. Te metody i teraz są wykorzystywane! Najmłodszy brat był lekarzem MSW w Wyszkowie.

– Są sprzeczności w książce o rodzinie S., wydanej przez syna jednego z braci. Bo jak można pracować u Żyda i walczyć w AK? Jak można wyjść z lasu i kupić największą kamienicę w Klimontowie bez opresji? A gdzie plecak z dolarami, ciało łączniczki, która tu przybyła w okresie okupacji i ślad po niej zaginął?

Klimontowscy Żydzi przed synagogą.

– Jeszcze się ruszała, jak ją zasypywali! Ale nikt nie chciał mówić głośno, tylko na ucho, w wielkim zaufaniu! (…)

Pomnik

P. wymieniany jest jako odpowiedzialny za mord na Żydach w Klimontowie. Ludzie zeznają wręcz, że brał w nim udział. Przed śmiercią zmienił poglądy polityczne, stał się bardzo religijny. Opinie o nim są dość kategoryczne.

Ze zdwojoną siłą odżyły dawne emocje, gdy P. doprowadził do powstania pomnika.

Ludzie zaczęli wysyłać listy do różnych instytucji: do miejscowej parafii, IPN i Żydowskiego Instytutu Historycznego. Pisali z oburzeniem: „W zaułkach ulic, w grobowej ciszy i pod strachem do dziś słyszę o wyczynach tego »partyzanta«. Przechodnie z obrzydzeniem i pogardą spoglądają na tablicę z jego nazwiskiem i stopniem porucznika. Na jego widok, wchodzącego ze sztandarem do kościoła, ludzie tracą zmysły. Fakty wołają o pomstę do nieba. Boże, gdzie jesteś?".

Pomnik jest poświęcony podpułkownikowi Antoniemu Wiktorowskiemu „Krukowi". Został odsłonięty w czerwcu 2006 r. To typowy obelisk. Są na nim dwie tablice, jedna poświęcona legendarnemu dowódcy AK. A druga? Druga – fundatorom.

Do samego pomnika nikt nic nie ma. Tylko do niektórych nazwisk umieszczonych na tablicy. Zwłaszcza do nazwiska partyzanta P.

– „Kruk" tu nie walczył, on wywodzi się z gminy Bogoria. Ale jego można jeszcze przeboleć. Nie tych jednak, co są pod „Krukiem".

– A kto jest pod „Krukiem"?

– Główny inicjator, wielki działacz społeczny, dobrodziej P. ze swoją rodziną – wyjaśnia z ironią T. – Dobrodzieje społeczeństwa Klimontowa. Śmiechu warte! Prywatny pomnik! Oprócz P. są też na tablicy nazwiska: jego bratanka, zięcia, siostrzeńca. Wszyscy z tytułami magistrów, doktorów, profesorów, inżynierów.

– A dlaczego ich nazwiska? Pewnie sypnęli groszem, by pomnik mógł powstać.

– Ja się nie godzę z tą dolną tablicą. To zupełnie niepotrzebne i śmieszne. Wygląda, że to nie pomnik „Kruka", tylko P. (…)

Pomnik stanął przed kolegiatą. To miejsce trochę zastępcze, trochę niefortunne. Obok nasycenie tablic, są jeszcze dwa pomniki: powstańców styczniowych, zbudowany w okresie międzywojennym, i tych, którzy polegli

Mieszkańcy przebąkiwali o partyzantach. Oficjalnie nie wskazywali na nikogo. Paraliżował ich strach.

eprasa.pl 83cd815144

podczas II wojny światowej, odsłonięty w lipcu 1964 r. roku, w 20. rocznicę utworzenia Polski Ludowej.

– Pomnik z sześćdziesiątego czwartego roku to egzemplifikacja chłopstwa, które tu przyszło po wojnie i dobrze się z władzą ludową wzięło pod rękę – wyjaśnia T. – Panowie z NSZ i AK nigdy nie darzyli sympatią tych z BCh. Jest materialnym wyrazem tych niesnasek, gardzenia jednej grupy inną. Dlatego powstał drugi, poświęcony „Krukowi". (…)

Teraz jest jeszcze większe zamieszanie. Jedni kombatanci składają przed pomnikiem „Kruka", drudzy przed pomnikiem z czasów Polski Ludowej. I omijają pomniki oponentów.

Za stodołą w Zagaju

Chaskiel Grosfeld przechowywał się u Kwietnia w Zagaju. Na górze. Często przebiegał obok domu Feliksa Grzesika, zaglądał do sąsiadki Lasotowej, gdzie załatwiał jakieś sprawy.

Wracał przez podwórko Feliksa, przez pole Kilarskiego, ogród. Biegł w stronę cmentarza, potem skręcał w prawo, przez Ogrodową, przez rzekę. Miał tam przerzucony kamień, po którym przeskakiwał na drugą stronę.

Gdy wieczorami wracał, matka Feliksa pytała:

– Chaskiel, zjesz trochę zupy?

– Zjem. Bardzo chętnie.

I matka Feliksa go częstowała.

– Są rzeczy, które się przeżywa i które wyryte są piętnem – mówi po latach Feliks Grzesik.

Niespodziewanie do gospodarza w Zagaju przyszło kilku zamaskowanych partyzantów z Klimontowa.

– Gdzie jest ten Żyd Chaskiel, którego tu ukrywałeś? – pytają go.

– Nie wiem. (…)

Zaczęli bić gospodarza kańczugami i kijami. Znęcali się nad nim, kopali. Pewnie by go zabili, gdyby nie żona. Zaczęła błagać o łaskę dla męża. Pokazała dziecko w kolebce, synka, który dopiero co się urodził.

– Jest u sąsiada, na górce. – Wydała Żyda.

Po nocnej wizycie gospodarz był cały siny. Żona leczyła go przez dwa tygodnie.

Partyzanci znaleźli Chaskiela i zastrzelili go za stodołą.

Syn sąsiada zwierzył się potem, że znalazł 20 dolarów. A gdzie? W sieni powiesił na drewienku czapkę, która Żydowi spadła, gdy prowadzili go za stodołę. Nosił tę czapkę dwa lata. Trochę mu się popruła, próbował ją zszywać i znalazł pod podszewką zwitek banknotów.

Po wysiedleniu Żydów Klimontów opustoszał. Nie na długo. Domy szybko zostały zasiedlone.

Po wojnie mieszkańcy poznali kilku partyzantów. Ale ci zagrozili, że jak ktoś powie o Żydzie, to mu przez przypadek może stać się coś złego.

Podczas przesłuchania wszyscy milczeli. Bali się o gospodarstwa, że mogą pójść z dymem. Zmowa milczenia.

Wszystko działo się na oczach wsi.

Abram

Starszym mieszkańcom w pamięci najwyraźniej utkwiła postać Abrama. (…) U chłopa w Konarach się przechował. U którego dokładnie? Nikt nie chce się przyznać. Błąkał się po wsi po wejściu Armii Czerwonej. Bogaty, podobno w butach z cholewami trzymał zwitki dolarów.

Razem z nim powróciło do Klimontowa kilku Żydów. Dwóch z nich ukrywał gospodarz z Zakrzowa, ale też nie chciał się tym chwalić. (…)

Abram wyróżniał się wśród ocalałych. Urodzony zuch. Postawny, zbudowany, syn rzeźnika. Rodzice bili bydło rzeźne, jałowice, bolce. Prowadzili tanią jatkę. – Znałem go dobrze jeszcze sprzed wojny – mówi Józef Błąkiewicz. – Mojego wzrostu, dwa, trzy lata starszy ode mnie. Surowy, taki spod siekiery. Toporem zabijał byczki, a nie każdy to potrafił.

W trakcie wysiedlania przyszedł do Grzesików. Wszyscy mieszkali w Rogaczu niedaleko Przybysławic.

– Dzień dobry, pani Grzesikowa!

Grzesikowa piekła chleb i w całej izbie czuć było zapach.

– Chleba może dać? – pytał.

Widział, że na kuchni gotuje się kawa.

– Kawy może dać?

Gdy dostał chleb, kawę, wyjął kawał boczku wieprzowego. Kroi i je, popija kawą. Zza pasa wystaje mu ruski nagan.

Syn Grzesikowej, Feliks, miał wtedy 14 lat i doskonale pamięta całą rozmowę.

– A Józek gdzie jest? – pyta Abram.

– Niemcy go złapali – odpowiada Grzesikowa, chociaż tak naprawdę jej syn pojechał na akcję „Burza".

– Na strychu siedziałem i widziałem, że poszedł z partyzantami. Jak bym palcem kiwnął, już by na Syberię go wzięli.

Przed wojną rodzina Abrama kupiła sad i ogród od Kilarskiej. Józek wywoził im owoce do sprzedania.

– Był taki Abram, kawał skurczybyka, wszystko wiedział – opowiada Henryk Kryj. – Zagaduje do mnie, że będzie miał klucze od naszego kościoła. I on będzie rządził, a nie ksiądz. (…)

Zginął razem z innymi na Sandomierskiej. Udało mu się uciec z posesji, ale śmierć dosięgła go kilkaset metrów dalej.

Eugeniusz Niebelski, historyk z KUL, napisał o Abramie, że donosił na Polaków. Ludzie przed nim ostrzegali. Dzisiaj dodałby, że tak mówili mieszkańcy.

Do samego pomnika nikt nic w Klimontowie nie ma. Tylko do niektórych nazwisk umieszczonych na tablicy.

FOT. ARCHIWUM AUTORA, ZDJĘCIA HISTORYCZNE ZE ZBIORÓW ZBIGNIEWA PRZYBYCIENIA (2), ARCHIWUM

eprasa.pl 83cd815144

Wacława Mielewczyk
ŚWIADECTWO CZASU WSPÓŁCZESNEGO
W refleksji publicystycznej

Zbiór tekstów będących pokłosiem m.in. długoletniej pracy autorki, która jako sędzia orzekający na co dzień miała kontakt z ludzkimi dramatami. A i po przejściu w stan spoczynku nie pozostała obojętna na to, co dzieje się wokół.

Eleonora Syzdek
O ŻYCIU I PRZEMIJANIU
Z perspektywy doświadczeń współczesnych

Uzupełnione i nieco poprawione teksty, wydane w latach 90. mimo upływu czasu nie straciły aktualności. Można powiedzieć nawet, że pod wieloma względami współczesne wydarzenia jeszcze wyostrzyły ich problematykę.

Wiesław Łuka
LĘKOMYŚLI, TRANSFORMACJA I...

Kilkanaście rozmów z wybitnymi Polakami składających się na ten tom to świadectwo wzlotów i porażek jednego z najlepszych okresów z naszej tysiącletniej historii. Wśród rozmówców Wiesława Łuki znaleźli się Janusz Tazbir, Kazimierz Kutz, Jerzy Domański, Bronisław Łagowski i Michał Głowiński.

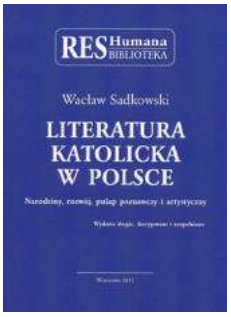

Wacław Sadkowski
LITERATURA KATOLICKA W POLSCE
Narodziny, rozwój, pułap poznawczy i artystyczny

Ta publikacja to jedyne dostępne czytelnikowi opracowanie procesu wyłaniania się i dojrzewania literatury katolickiej jako osobnego nurtu ideowego w dziejach polskiego piśmiennictwa i kultury literackiej.

– Tak słyszałem od ludzi i tak napisałem. Nie badałem sprawy, śledztwa nie prowadziłem. Rozumiem postępowanie podziemia. Taka była rzeczywistość, chociaż nie akceptuję zbrodni.

Zdaje sobie sprawę, że z relacji wychodzą czasem różne historie. Trzeba się zastanowić, czy je przytaczać. Trzeba szukać prawdy, która jest najważniejsza. Nie można zamazywać niedobrych stron przeszłości. Jeżeli doszło do zbrodni, to trzeba ją nazwać tak, jak na to zasługuje. Tego się nie da inaczej wytłumaczyć.

– Jeśli trzeba, niech pan pisze bolesną prawdę – mówi. – Nie można zaciemniać rzeczywistości, pisać półprawdy. Trzeba zaprezentować różne relacje, a nie oceniać.

Gdy przychodzi wieczór

Ważne są w życiu chwile, nastroje. Zdarza się, że ludzie tutaj mówią czasem o tym, o czym myślą naprawdę.

Tomasz Staszewski, artysta plastyk z pobliskich Sulisławic, opowiada, jak jego mama była świadkiem zdarzenia w 1944 r.: Niemcy ładują ze sklepów towar na ciężarówki, uciekają przed zbliżającą się Armią Czerwoną. Od Opatowskiej, z góry, idzie jakiś gospodarz. Niesie na ręku dziecko.

Gospodarz jest już na rogu Sandomierskiej. Podchodzi do jednego z Niemców. Coś szepce mu do ucha i podaje mu dziecko. Niemiec chwyta maleństwo za nóżkę i rozbija jego głowę o kant najbliższej kamienicy, stojącej na rogu Sandomierskiej i Opatowskiej.

Mózg się rozlewa.

Mama pana Tomasza to widzi. Czegoś się domyśla.

– Gospodarz na pewno dziecko przechowywał gdzieś w Pęchowie lub dalej – opowiada po latach. – Potem wydał Niemcom. Różne powody decydowały o jego postępku. Może nie chciał go dalej trzymać, bo swoich miał kilkoro? Wcześniej chował, bo może mu Żydzi za to płacili. Gdy przestali, dziecko stało się niepotrzebne.

Być może był zastraszony. Może bał się o rodzinę, ratował swoje i jej życie. Tak, może zrobił to ze strachu. Lepiej tak myśleć i tłumaczyć sobie jego zachowanie. Ale i to go nie usprawiedliwia. Postąpił jak kanalia.

Prymitywni ludzie, okrutni, wyobrażali sobie, że Żydzi mają dużo złota. Tymczasem większość to była biedota. Tylko nieliczni posiadali drogocenne sztabki.

Spod kapliczki gospodarz wykopał ciało Żyda i przywiózł sąsiadowi na podwórko.

– Jak wziąłeś pieniądze, to i zabierz ciało! – powiedział mu.

Czy można było im pomóc?

> Prymitywni ludzie wyobrażali sobie, że Żydzi mają dużo złota. Tymczasem większość to była biedota.

Podczas prac budowlanych odkopano ludzkie kości. Robotnicy wywieźli je na cmentarz.

– Czyje to kości mogą być? – pytali zaciekawieni.

– Trzeba do P. jechać! Oni będą wiedzieć! – usłyszeli od starszych.

Do dzisiaj w Klimontowie odnajdowane są ludzkie szczątki w różnych miejscach.

Dom na Sandomierskiej też nie daje o sobie zapomnieć, burzy spokój mieszkańcom. Niektórzy snują wnioski, że fatum wisi nad tym budynkiem. W marcu 2014 r. znów doszło do tragedii – 61-letni mężczyzna popełnił w nim samobójstwo. Nie pochodził z Klimontowa, miał stąd żonę. Jego teściowa, wiekowa kobieta, zmarła w wieku około 90 lat.

W Klimontowie jest wiele opowieści o domach, w których straszy. Ludzie się żalą, boją. Stanisław Sas-Tarnawski opowiada o tym, że w jego domu pojawia się była właścicielka Sabinka Wajsbrot, ktoś stuka po nocach.

– To dlatego mieszkańcy Klimontowa pod wieczór wychodzą ze swoich domów, by porozmawiać?

– No tak, nie mogą w nich wytrzymać. Tak straszą ich duchy dawnych sąsiadów.

Fragmenty książki Andrzeja Nowaka-Arczewskiego *Zmiłuj się nad nami*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2017

eprasa.pl 83cd815144

Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej
„Porozumienie Bez Barier" działa nieprzerwanie od 20 lat.

Od 2013 roku Fundacja prowadzi na terenie całego kraju autorski program pod nazwą „Oswajanie starości".

Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej Porozumienie Bez Barier

Przekaż **1%** podatku

NA PROGRAM OSWAJANIE STAROŚCI !

Pobierz darmowy program PITax.pl 2016

KRS 0000167578

Wejdź na naszą stronę internetową:
www.fpbb.pl
Odwiedź nas na Facebooku:
www.facebook.com/fundacjapbb

Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej
"Porozumienie Bez Barier"
Al. Przyjaciół 8/1a, 00-565 Warszawa
tel./fax: 22 849 96 62
e-mail: radafundacji@fpbb.pl

1%

W Polsce są tysiące dzieci pozbawionych opieki rodzicielskiej. W SOS Wioskach Dziecięcych mogą znaleźć nowy dom i zastępczą rodzinę SOS. Pomóż i przekaż 1% podatku.
www.dziecisos.org

stowarzyszenie
ICHLEPSZEJUTRO
www.ichlepszejutro.pl

LAUREAT PRESTIŻOWYCH NAGRÓD
ZŁOTA ROŻA TEMI
KRYSZTAŁY SOLI

Podaruj nam 1% podatku
KRS 0000237677

Od ponad 10 lat pomagamy dzieciom z niepełną sprawnością

1% od Państwa
to konkretna pomoc najmłodszym
w naszych placówkach:

- Aktywnej Świetlicy Terapeutycznej
- Przedszkolu „Mały Książę" dla dzieci z autyzmem
- Gabinecie Integracji Sensorycznej
- Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej

organizacja pożytku publicznego opp

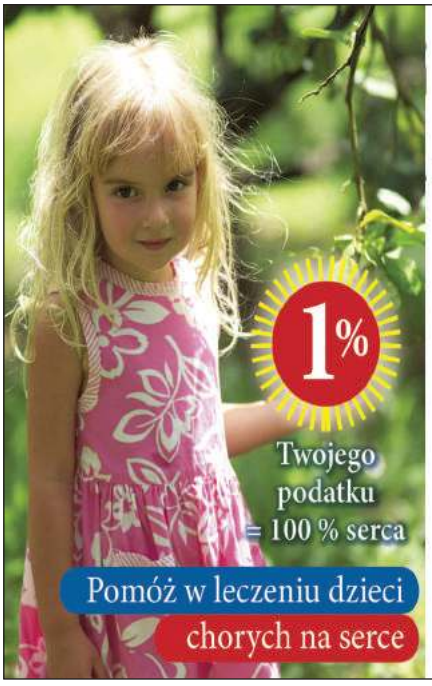

Fundacja Rozwoju Kardiochirurgii
im. prof. Zbigniewa Religi

KRS 0000069136

www.frk.pl

ul. Wolności 345a, 41-800 Zabrze
32/ 373 56 00, biuro@frk.pl

1% NIEJEDEN UŚMIECH!

Dziękujemy, że zmieniają Państwo ICH JUTRO na LEPSZE

eprasa.pl 83cd815144

PAJĄK ZAKŁADA PAS CNOTY

Samice mają pewną kontrolę nad wyborem ojców swojego potomstwa. Zdecydowanie wolą partnerów większych

Carin Bondar

Ludzka wersja pasa cnoty to niezwykłe oprzyrządowanie z metalu i skóry, a co najważniejsze – wyposażone w zamek. Pomysł tego przerażającego urządzenia wziął się stąd, że kiedy XVIII-wieczni żołnierze wyruszali na wojnę, potrzebny był im jakiś sposób ochrony cnoty ich dam. (…)

Blokowanie genitaliów partnerki to oczywiście dość nienaturalna praktyka dla zwierzęcia zwanego człowiekiem, ale ludzie w ogóle rzadko przestrzegają zasad wynikających z dostosowania biologicznego. Zastosowanie pasów cnoty w królestwie zwierząt jest rozpowszechnione i bardzo częste z kilku istotnych biologicznie powodów. Przede wszystkim dlatego, że kiedy samiec odbył kopulację z samicą, w jego interesie leży uniemożliwienie tego samego innym samcom, bo wtedy jego plemniki mają największe szanse na zapłodnienie jej jajeczek. Jak najlepiej może to osiągnąć? Wkładając „zatyczkę pokopulacyjną" albo do środka, albo na wierzch otworu genitalnego samicy. Pas cnoty, który nie ma zamka ani klucza, jest tylko barierą biologiczną. Takie zatyczki można znaleźć u prawie wszystkich grup zwierząt, od maleńkich nicieni po niektóre z najbliższych nam gatunków naczelnych. (…)

„Zatyczki pokopulacyjne" służą także jako znak ostrzegawczy dla innych samców. Duża, morfologicznie oczywista zatyczka przyczepiona do genitaliów wysyła jasny komunikat o statusie godowym samicy do jej potencjalnych zalotników, a w zależności od ekologii danego gatunku samce mogą się w efekcie trzymać z daleka od takich „zaznaczonych" pań. Cała koncepcja „zatyczek pokopulacyjnych" wydaje się więc dla samic strasznie niesprawiedliwa. Pewne aspekty samiczej emancypacji pojawiają się przy formowaniu zatyczek, do czego dojdziemy później. Niestety, najczęściej biologia pasa cnoty jest zdominowana przez samce.

WIĘKSZOŚĆ **SAMIC PAJĄKÓW** MA TRZY OTWORY GENITALNE.

Większość zatyczek powstaje z amorficznej substancji wydzielanej wraz z innymi w ejakulacie samca. Galaretowate, przypominające żel zatyczki początkowo mają postać płynu i albo przedostają się prosto do pochwy samicy, albo tworzą pokrywę zamykającą wejście, która stwardnieje po kilku godzinach lub dniach. Niektóre zatyczki są skuteczniejsze niż inne, a przykład pająków z podrodziny *Erigoninae* (rodzina osnuwikowatych) wskazuje, że solidność ich zatyczki zależy zarówno od jej wieku, jak i wielkości. (…) W zależności od gatunku taka zatyczka może przetrwać od kilku dni do końca życia samicy. Na jej trwałość mają wpływ pewne aspekty morfologii narządów płciowych. Na przykład większość samic pająków ma trzy otwory genitalne – dwa do przyjmowania nasienia, a trzeci do owipozycji (składania jaj). To istotna cecha systemu parzenia się u wielu bezkręgowców, ponieważ oznacza, że samiec może zatkać samicę bez uniemożliwiania jej złożenia zapłodnionych przez niego jajeczek. U większości ssaków, w tym naczelnych, depozycja nasienia oraz owipozycja (u ssaków jajorodnych) albo poród (u ssaków żyworodnych) musi odbyć się przez ten sam otwór – co oznacza, że zatyczki mają znacznie mniejszą trwałość i rozpuszczają się, aby umożliwić następny etap procesu rozmnażania.

W idealnym świecie (idealnym dla zakładającego zatyczkę) te pasy cnoty pozostałyby na swoim miejscu aż do ostatniej chwili, jednak rzadko tak się dzieje. Zaobserwowano, że zarówno samce, jak i samice (w zależności od gatunku) usuwają zatyczki założone przez innych. Samica może nie być w pełni zadowolona ze swojego partnera kopulacyjnego albo

eprasa.pl 83cd815144

mogła zostać zmuszona do seksu. Ostatnią rzeczą, jakiej by chciała, jest zapieczętowanie genitaliów i pozostanie z potomstwem spłodzonym przez nieatrakcyjnego kawalera. Samice wiewiórek ziemnych (rodzina wiewiórkowatych) „wyczesują" sobie zatyczki i je zjadają. U tych i innych gryzoni, naczelnych, torbaczy i nietoperzy takie zatyczki są złożone z białek – dlaczego więc nie pozwolić sobie na małą przekąskę po stosunku? (...)

Chociaż zdecydowaną większość zatyczek produkują samce, jest kilka dobrze udokumentowanych przypadków, w których to samice korkują sobie genitalia po kopulacji. W pierwszej chwili wydaje się nam to sprzeczne z intuicją, ale istnieje wiele istotnych biologicznie powodów takiego postępowania. Jeśli samce kopulują brutalnie lub wymuszają seks, samice mogą zapobiec niechcianym seksualnym awansom, jeśli będą zapieczętowane.

U gatunków, w których seks nie musi być brutalny, ale samica po prostu przyjęła już wystarczająco dużo nasienia, także opłaca jej się zablokować, żeby poświęcić czas i energię na inne ważne czynności. Samice pająków *Nephila clavipes* samodzielnie wytwarzają stwardniałą płytkę przykrywającą ich otwory genitalne. Robią to jednocześnie z owipozycją, a te amorficzne płytki bardzo skutecznie zapobiegają kolejnym kopulacjom z samcami (znacznie mniejszymi od samic). (...) Samice pająków *Leucauge argyra* po kopulacji wydzielają ze swojego układu płciowego lepką substancję służącą jako pułapka na samce – przylepiają im się do niej nogogłaszczki i muszą walczyć, żeby się uwolnić, co daje samicy dość czasu i możliwości, żeby samca pożreć.

Zdarza się także, że zarówno samiec, jak i samica mają swój wkład w wytworzenie zatyczki pokopulacyjnej, co by znaczyło, że samice mają pewną kontrolę nad wyborem ojców swojego potomstwa. (...)

Co takiego wyróżnia pewnych samców na tle innych? Jak się wydaje, chodzi o to, jak dobrze facet się spisze, stymulując partnerkę podczas kopulacji. Tak zwane zaloty kopulacyjne oznaczają określone ruchy genitaliów podczas stosunku. Samica *L. mariana* woli samca, który rytmicznie popycha swoimi odnóżami jej odnóża, co sprawia, że jego genitalia wielokrotnie na krótko wsuwają się do jej genitaliów. Kiedy samce przejawiają to konkretne zachowanie kopulacyjne, samice znacznie chętniej inwestują w wytworzenie zatyczki.

Do tej pory koncentrowaliśmy się na przykładach zatyczek pokopulacyjnych powstających z amorficznych substancji białkowych wydzielanych przez gruczoły. (...) Jednak są także inne rodzaje tych miłosnych korków. Za zatyczkę może służyć sama sperma. Samce skorpionów produkują dwa rodzaje zatyczek pokopulacyjnych, ale te bardziej skomplikowane składają się z nasienia w różnej postaci. Podczas kopulacji samiec wkłada do otworu genitalnego samicy żelową zatyczkę, która jest początkowo płynna. Po znalezieniu się wewnątrz żeńskiego układu rozrodczego stwardnieje w ciągu około trzech do pięciu dni. Głównym składnikiem całej zatyczki jest nasienie. Jej zewnętrzną część (wystającą na zewnątrz) tworzą nieaktywne, ciasno splecione pakiety plemników. W warstwie środkowej nasienie zaczyna proces rozwijania się z tego skręconego stanu, tak aby do czasu, kiedy dotrze do wewnętrznej części zatyczki (wewnątrz samicy), zmienić się w wolno pływające plemniki. Jakiś aspekt warunków panujących w żeńskim układzie rozrodczym, dotyczący płynów, uaktywnia plemniki z zatyczki, chociaż dokładny proces chemiczny nie jest jeszcze znany. Te zatyczki pokopulacyjne są niezwykle skuteczne i pozostają na miejscu nawet przez dwa tygodnie. Ponieważ składają się niemal wyłącznie z nasienia, właściwie można by je nazwać spermatoforami (pakietami spermy), ale główna różnica między zatyczką pokopulacyjną skorpiona a depozycją spermatoforów u wielu innych bezkręgowców polega na tym, że zatyczka blokuje otwór genitalny samicy.

SAMICE WIEWIÓREK ZIEMNYCH „WYCZESUJĄ" SOBIE ZATYCZKI I JE ZJADAJĄ.

Innym organizmem wykorzystującym wypełnione nasieniem zatyczki jest pończosznik prążkowany (*Thamnophis sirtalis parietalis*). (...) Zwierzęta te żyją w surowym klimacie środkowej Kanady, gdzie zimy są bardzo mroźne, i spędzają je, zapadając w sen zimowy w podziemnych jamach. Kiedy budzą się z hibernacji, niemal bez przerwy uprawiają seks w ogromnych grupach (kilkadziesiąt tysięcy osobników). Poza tym, że jest to niezwykły spektakl i atrakcja turystyczna, wyjątkowe zachowania godowe pończosznika pozwalają nam zrozumieć pewne aspekty powstawania i wykorzystywania zatyczek pokopulacyjnych u gadów. Dawniej sądzono, że galaretowate zatyczki wkładane przez samce do otworów genitalnych samicy służą do powstrzymania kolejnych zalotników (hipoteza wymuszania cnoty). Kiedy jednak samce zostaną zmodyfikowane chirurgicznie w taki sposób, że stają się niezdolne do wytwarzania zatyczek, ich nasienie niemal natychmiast wycieka z pochwy samicy, co wskazuje, że zatyczki węży mają także powstrzymać wyciek spermy. Ponadto plemniki są rozmieszczo-

FOT. FOTOLIA, FACEBOOK

eprasa.pl 83cd815144

ne w całej zatyczce, dzięki czemu mogą być stopniowo uwalniane do dróg rodnych samicy. Krótko mówiąc, zatyczki pełnią więcej niż jedną funkcję.

Uniemożliwienie dalszych kopulacji jest z pewnością najodpowiedniejszą hipotezą tłumaczącą funkcję trzeciego i ostatniego rodzaju zatyczek pokopulacyjnych. W tym przypadku żeńskie genitalia są blokowane oderwanymi fragmentami genitaliów męskich. Zdarza się to dość często u stawonogów, szczególnie u pająków i innych pajęczaków, których samce padają ofiarą seksualnego kanibalizmu. Dosłownie odrywają sobie własne narządy płciowe, pozostawiając je w otworach genitalnych samic, aby uniemożliwić ich penetrację innym samcom. Zazwyczaj taką zatyczkę tworzy część lub całość nogogłaszczka, narządu używanego przez samce do transferu nasienia. „Zazwyczaj", bo zdarza się, że samiec wykorzystuje jako zatyczkę swoje całe (martwe) ciało – chociaż jest to rzadkie, a skuteczności zapobiegania w ten sposób dalszym kopulacjom jeszcze dokładnie nie zbadano. Samce mają dwa nogogłaszczki, a więc generalnie dwie szanse na parzenie się za ich pomocą z samicą (oraz zakorkowanie jej nimi), jak to już widzieliśmy.

Chyba najbardziej przerażająca i fascynująca zarazem historia dotyczy pająków z rodzaju *Tidarren*. Samce mają bardzo duże nogogłaszczki, niezwykle efektywne w transferze nasienia. Niestety, są one tak ciężkie, że samcom trudno się poruszać, ciągnąc ze sobą ogromne genitalia. Ich wytrzymałość fizyczna jest poważnie ograniczona, co źle wróży, bo u tych gatunków dochodzi do licznych interakcji między samcami, często także trzeba pilnować partnerek.

ZARÓWNO **SAMCE**, JAK I **SAMICE** USUWAJĄ ZATYCZKI ZAŁOŻONE PRZEZ INNYCH.

To prowadzi do funkcjonalnego konfliktu. Z jednej strony duże nogogłaszczki umożliwiają samcom sukces reprodukcyjny. Z drugiej – obniżają ich sprawność jako wojowników i strażników partnerek.

Jak samce sobie radzą z takim poważnym konfliktem? Hipoteza „zdjętych rękawiczek" opisuje powszechnie obserwowane u gatunków *Tidarren* zachowanie – samce pozbawiają same siebie męskości. Odrywają sobie jeden lub oba nogogłaszczki, dokonując połowicznej lub całkowitej kastracji. Oderwany członek wbijają następnie w samicę tak, by już tam pozostał. Kiedy pozbędą się swoich ogromnych genitaliów, znacznie łatwiej radzą sobie z własnym ciężarem, więc o wiele skuteczniej walczą o partnerki i ich pilnują. Mimo że nie mają już genitaliów, mogą nadal realizować dostosowanie biologiczne, chroniąc zapłodnione przez siebie wybranki. Pająki *Tidarren* nie są seksualnie kanibalistyczne, więc oderwanie sobie nogogłaszczków przez samce to właściwie sposób na to, żeby mieć ciastko i zjeść ciastko.

Odrywanie męskich genitaliów i pozostawianie ich wewnątrz samic nie zawsze przebiega pod ścisłą kontrolą samców. Na przykład u pająków *Argiope keyserlingi* to najprawdopodobniej samice regulują to okaleczanie męskich narządów. Samce są tu znacznie mniejsze, a samice wymuszają zakończenie kopulacji, atakując partnerów i odrywając im nogogłaszczki. Samice wolą większych samców od mniejszych. (...) A zatem małe samce są zmuszone do pozostawienia nieskutecznych zatyczek, a samice mogą dalej kopulować z bardziej ponętnymi partnerami. Dużym samcom pozwalają na znacznie dłuższą kopulację, co oznacza, że ich nogogłaszczki (chociaż w ogóle większe) sięgają dalej w głąb otworu genitalnego samicy. Kiedy ona gwałtownie odrywa mu nogogłaszczek, powstaje trwała zatyczka pokopulacyjna, która skutecznie udaremni dalsze próby kopulacji ze strony innych samców.

Chociaż wydaje się, że to samce kontrolują wykorzystanie własnych nogogłaszczków do transferu nasienia, ten przykład pokazuje, że w przyrodzie zawsze istnieje jakiś wyjątek od reguły.

Fragmenty książki dr Carin Bondar *Dziki seks. Niesamowite, zaskakujące i absolutnie porażające fakty z życia intymnego zwierząt*, tłumaczenie Agnieszka Sobolewska, Znak, Kraków 2017

eprasa.pl 83cd815144

Niebezpiecznie w Bezpieczeństwie

Kadrowe trzęsienie ziemi w MSZ jeszcze nie nadeszło, ale już się zaczęło. Bo owszem, nie ma jeszcze ustawy, która pozwoli wyrzucić każdego, ale wyrzucają. W sposób dziki i mało zrozumiały.

Takie z MSZ dochodzą do nas odgłosy.

Oto bowiem minister Waszczykowski ogłosił, że stracił zaufanie do kierownictwa Departamentu Polityki Bezpieczeństwa. I odwołał szefową departamentu Beatę Pęksę oraz jej dwóch zastępców. O co chodzi? Beata Pęksa sprawami bezpieczeństwa zajmuje się od początku lat 90., kontakty Polska-NATO to jej codzienna porcja tlenu. Była pełnomocnikiem ministra ds. partnerstwa wschodniego i wszystko można jej zarzucić, ale nie to, że się nie zna na swojej pracy. Więc co się stało, że minister stracił do niej zaufanie?

Cóż takiego się dzieje, że Waszczykowski wypycha z MSZ ludzi, którzy zajmowali się problematyką bezpieczeństwa, w kwaterze NATO czują się jak u siebie i mają tam dobre notowania? Bo wcześniej w niełaskę popadli Adam Kobieracki (wieloletni zastępca sekretarza generalnego NATO, nasz najwyższy rangą dyplomata w Kwaterze Głównej, szef misji OBWE na Ukrainie), Robert Kupiecki (były szef Departamentu Polityki Bezpieczeństwa, ambasador w USA i wiceminister obrony) i Tomasz Chłoń (były wicedyrektor Departamentu Polityki Bezpieczeństwa, kierował też sekretariatem ministra, był ambasadorem na Słowacji).

No właśnie, tym razem poszło o Chłonia. Był on pełnomocnikiem ministra przygotowującym szczyt NATO w Warszawie. Ale niespodziewanie został odwołany cztery miesiące przed szczytem. W MSZ mówiono, że była to ręka szefa MON Antoniego Macierewicza.

Chłoń pozbawiony pracy zaczął aplikować do służby NATO i – po jakimś okresie starań – uzyskał stanowisko zastępcy szefa Biura NATO w Moskwie. To była decyzja Amerykanów. Gdy dowiedziano się o tym w MON, wybuchła awantura. I pretensje do MSZ, że na coś takiego pozwoliło.

Tak motywowany Waszczykowski uznał, że nowa praca Chłonia to policzek dla Rzeczypospolitej. I doszedł do wniosku, że to wina kierownictwa Departamentu Polityki Bezpieczeństwa. Bo oni wiedzieli, że ich kolega stara się o stanowisko w NATO, i nic nie robili. To znaczy – nie przeciwdziałali temu. Nie blokowali tych starań. Innymi słowy, nie wykazali się lojalnością wobec ministra i PiS, chcących Chłonia zadeptać, tylko pozwolili mu na karierę w NATO.

I to był powód, ów brak rewolucyjnej czujności i czekistowskiego podejścia do sprawy, że minister wywalił w kosmos chyba już ostatnich ludzi w MSZ, którzy znają się na sprawach bezpieczeństwa.

Zrobiło się ponuro. Bo polskie MSZ zajmuje się zwalczaniem Polaków, którzy robią karierę w instytucjach zachodnich, są tam doceniani i szanowani. Trudno to zrozumieć, racjonalnie wytłumaczyć się nie da. Chyba tyko jakąś mściwą pasją, żeby ściągnąć w dół każdego, kto jest dobry i ma taką pozycję, że nie musi być posłusznym kapralem PiS.

Attaché

Etykiety nie złamano. Królową można dotknąć, delikatnie ściskając podaną dłoń. Elżbieta II i książę Filip uczestniczyli w otwarciu centrum opieki nad słoniami w londyńskim zoo.

FOT. AVALON/REPORTER/EAST NEWS

eprasa.pl 83cd815144

JOLKA

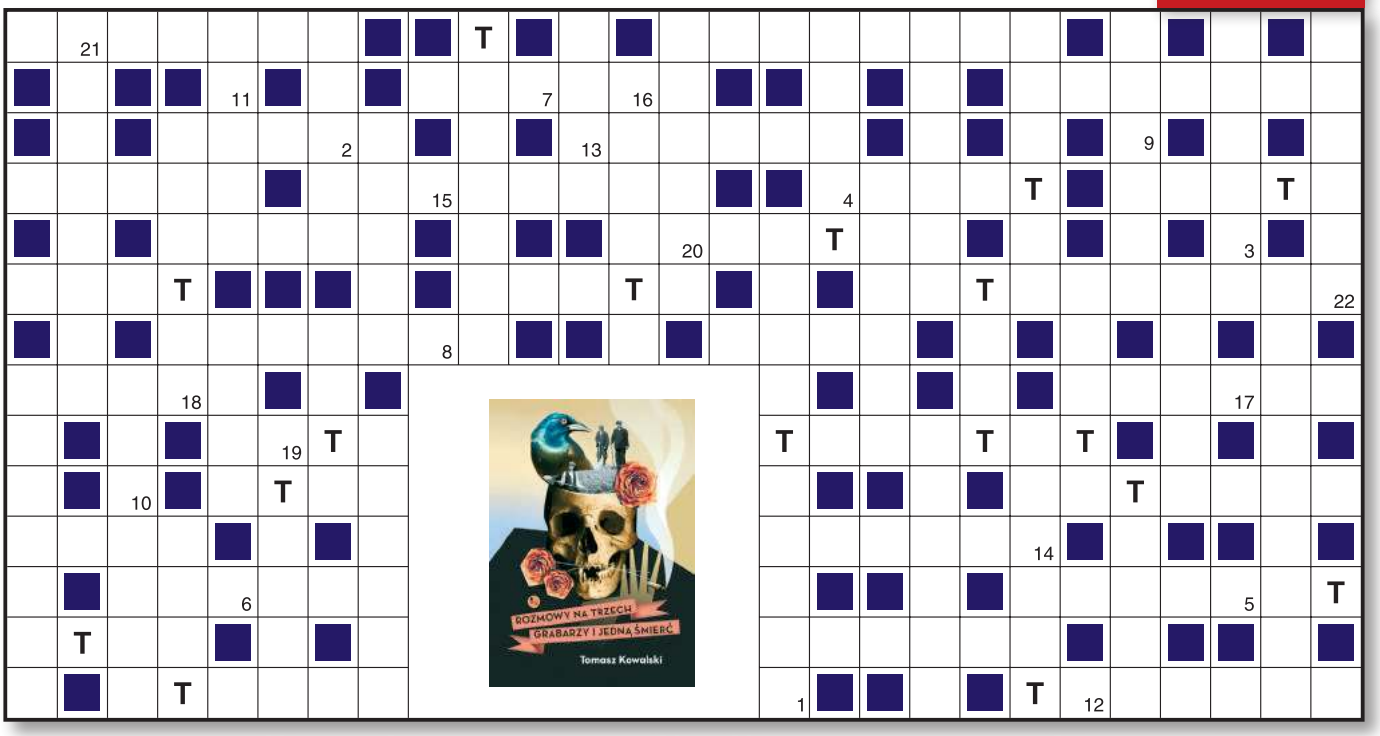

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- początkująca lub zwolenniczka
- imię autorki „Zabójstwa Rogera Ackroyda"
- mąż królowej Wiktorii
- cherubinek, putto
- zwalczanie się, wrogość
- najmniejsza cząstka pierwiastka mająca jego właściwości
- rzymska bogini poranka
- po alfie
- wykwintny, prywatny pokój damy
- rozmowa internautów
- koreańskie auto z Polski
- Tadeusz, Dyżurny Satyryk Kraju
- dziś promocyjne monety lokalne
- mężczyzna wytworny
- dawniej kandydat do małżeństwa
- Kieślowskiego „Tramwaj" lub „Urząd"
- państwa, rodziny albo Kościoła
- Torbicka lub Wolszczak
- jaskinia
- na niego – natychmiast
- pajęczak żywiący się krwią
- sfilmowany jako „Lekarstwo na miłość"
- abażur i rodzaj kroju
- zatyczka butelki i ulicy
- cukru, lodu i te nad stopami
- wilk ich dostaje, gdy w brzuchu burczy
- zgaduj-zgadula
- potocznie czas wolny
- podróżowanie samolotem
- imię aktorki Orłowej
- spuszczać ten hałas to bić
- w bombach zapalających
- leń, próżniak
- leniwy dwójkowicz
- wnęka w murze, ścianie
- prąd rzeki
- śpiewak operowy Wiesław
- okolica dla mizantropa
- sposobność
- asysta, poczet, świta
- włazić w nią komuś to przeszkadzać
- teren do ćwiczeń wojskowych
- walczył w 1944 r.
- …pogody w TV
- inwalidzka, rodzinna
- pokaz mody
- szczyt przyjemności
- w podwodnym królestwie na obrazie Riepina
- nie czerp nim wody
- rodzima ciężarówka
- 31 marca był nauczycieli
- „…niebieskich ciał" Maanamu
- wypiek na urodziny
- nosi bagaże podróżnego
- wersalski lub z Maastricht
- tendencja, kierunek
- „…z życia mężczyzny" Stuhra
- mała, zielona gruszka
- carskie w cerkwi
- łamaniec ciała lub słowny
- klapy obszyte innym materiałem
- skaleczenie, sprawienie przykrości

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie" i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-803". Do rozlosowania książki Tomasza Kowalskiego ufundowane przez wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ. XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.803.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 23 kwietnia 2017 r.
Rozwiązanie „JOLKI-800" z 2 kwietnia: ***Wytrwały zawsze znajdzie drogę.***
Nagrody otrzymują: Krystyna Czopik z Jarosławia, Zbigniew Popielski z Nadarzyna, Jan Rusin z Przelewic.

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS

1. Dopasuj podpisy do flag i z liter ułóż hasło.
2. Odczytaj hasło ze wstawianych liter.

Masz na to pół minuty.

1

1 Bułgaria	3 Dania	5 Finlandia	7 Honduras	9 Izrael	11 Polska
2 Czechy	4 Francja	6 Holandia	8 Indonezja	10 Japonia	12 Rosja

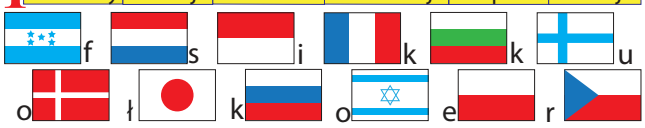

2

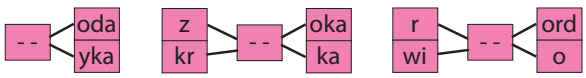

Rozwiązanie na s. 64

eprasa.pl 83cd815144

Press **RAFAŁ WOŚ,** DZIENNIKARZ „POLITYKI" I „DZIENNIKA GAZETY PRAWNEJ"

Jestem dzieckiem transformacji. Obserwowałem, jak polskiej prowincji odebrano nadzieję. Odczłowieczono ją. Jestem jednym z tych, któremu mówiono, że musi się rozpychać łokciami i do wszystkiego dojść samemu. Buntowałem się przeciwko temu i szukałem sojuszników intelektualnych. Fundamentalnym doświadczeniem był kryzys 2008 r. Nagle okazało się, że politycy są marionetkami ciągniętymi przez różne grupy interesu i pieniądz. I otworzyło mi to oczy. Im bardziej zaglądałem pod dywan, tym bardziej mnie wciągało.

POLSKA **JERZY MAKSYMIUK,** DYRYGENT

Kiedyś koncertowaliśmy w jednym z warszawskich kościołów. Koleżanka przyprowadziła szefa EMI, firmy muzycznej z Londynu, który – po wysłuchaniu jednego utworu – powiedział: panowie, nagrywacie przy Abbey Road 14 płyt! Przy tym Nagroda Nobla to jest nic. Przecież on zaproponował nam nagrania w studiu, gdzie nagrywali najwięksi! Raz minęliśmy się z Beatlesami. Oni po nagraniu wychodzili ze studia, a my wchodziliśmy. Na chwilę w barze zatrzymał się Paul McCartney. Kiedy dziewczyny go zobaczyły, to nie chciały wchodzić do studia! Takie były rozproszone, że o 20 minut musiałem opóźnić nagranie.

RZECZPOSPOLITA **PIOTR BUKARTYK,** MUZYK

Niedawno, gdy napisałem piosenkę „27 do 1", żona powiedziała mi, żebym idąc do Trójki, założył koszulkę z mapą San Escobar, bo będzie śmiesznie, jak mnie ktoś w niej zobaczy. Siedzę z gitarką na korytarzu przed studiem i naglę słyszę: „Dzień dobry". Z góry patrzy na mnie uprzejmy, starszy pan – minister Waszczykowski. Wodząc oczami po mojej koszulce, zapoznawał się z mapą kraju, który niedawno odkrył. Bo marzenia się spełniają, choć nie zawsze tak, jakbyśmy chcieli. Dlatego marzyć należy jednak ostrożnie.

Twój STYL **AGATA DUDA-GRACZ,** REŻYSERKA

Kiedy byłam w drugiej klasie podstawówki, mama zapisała mnie na lekcje gry na pianinie, a że nie szalałam z entuzjazmu, postanowiła zrewidować moje predyspozycja u „Wojtka". Kilar kazał mi usiąść przy swoim fortepianie i z niewzruszoną twarzą wysłuchał, jak gram. Kiedy skończyłam, bez słowa wyszedł, zostawiając uchylone drzwi. Usłyszałam, jak mówi do mamy: „Jest głucha jak pień. Humanitarniej byłoby zastrzelić jej nauczyciela".

FOT. SOLENT NEWS & PHOTO AGENCY/EAST NEWS

Przyjaźń nie zna granic… nawet między gatunkami. Kanarek Pinio i srebrny pers Srebrina na wspólnej uczcie.

Aby język giętki…

STANISŁAW TYM O „DOBREJ ZMIANIE"
Powinna stać się zastrzeżoną przez urząd patentowy jednostką chorobową i uprawniać do zwolnień lekarskich.

PROF. ANDRZEJ RYCHARD O GIĘTKIEJ CHARYZMIE GRZEGORZA SCHETYNY
Potrafi dostosować się do rozmaitych zewnętrznych okoliczności i jednocześnie odcisnąć swoje piętno na partii.

JANUSZ GŁOWACKI O ANDRZEJU DUDZIE
Bez przerwy jest kuszony, ale się nie daje. A jego pobożność… Chyba zasłużył na przydomek Duda Pobożny.

KORNEL MORAWIECKI O POLITYCE ZAGRANICZNEJ
Kolejne rządy uprawiają politykę wrogą Rosji. Media nastawiają nas przeciwko narodowi rosyjskiemu.

PROF. MAGDALENA ŚRODA O LESZKU MILLERZE
Uczuciowo tkwi między Lepperem a Ogórek, a z programów interesują go tylko telewizyjne, w których może wystąpić.

JAN ENGLERT O PROGRAMACH INFORMACYJNYCH
Wszystkie dzienniki telewizyjne są wkurzające, propaganda nie jest nawet inteligentnie robiona.

MARTYNA WOJCIECHOWSKA O STEREOTYPACH
Nie zgadzam się ze słowem muszę. Ja niczego nie muszę. Jeśli już, to chcę i mogę.

ROBERT WIĘCKIEWICZ O JANUSZU GAJOSIE
Ma umiejętność wysyłania dobrych piłek. Wystarczy skupić się na odbieraniu, pójść za nim, zbyt wiele nie kombinować i już będzie dobrze.

JAN NOWICKI O PIOTRZE SKRZYNECKIM
Przywoziłem mu z podróży mnóstwo kapeluszy, a on je ciągle gubił.

AGNIESZKA MATYSIAK O ARKADIUSZU JAKUBIKU
Zawsze wiem, kiedy kręci – zaczyna się jąkać i chrząka.

ADAM BIELECKI O PARTNERACH NA WYPRAWY W HIMALAJE
Kandydatów o odpowiednich umiejętnościach jest niewielu. Łatwiej chyba znaleźć żonę.

eprasa.pl 83cd815144

MEMY BEZ ŚCIEMY

Złoto dla zuchwałych. Marathon des Sables (Maraton Piasku), 250 km w sześć dni – w tym etap 80 km – na marokańskiej Saharze. Uczestnicy muszą nieść cały sprzęt, ubrania i jedzenie…

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

LEPIEJ SPRAWDZIĆ

Prof. Jan Miodek raz na zawsze zażegnał spór o to, która z trzech form: menedżer, menager czy menadżer jest poprawna i orzekł, że można używać wszystkich. Poprawna polszczyzna często sprawia problemy. Jak wynika z ankiety portalu Praca.pl aż 52% ankietowanych zagląda do słownika podczas pisania CV. Jednak 39% stanowczo temu zaprzeczyło. Może trzeba to zmienić? Każdy błąd w CV od razu charakteryzuje przyszłego pracownika jako niedbałego.

W KOLEJCE PO STOLIK

Eleven Madison Park w Nowym Jorku została uznana za najlepszą restaurację na świecie. W rankingu „The World's 50 Best Restaurants" zdystansowała dotychczasowych faworytów – hiszpańską El Celler de Can Roca (obecnie miejsce trzecie) i włoską Osterię Francescanę (miejsce drugie). Jury konkursu stanowi tysiącosobowa komisja znawców zebrana przez brytyjski magazyn „Restaurant". O jego prestiżu świadczy fakt, że po zwycięstwie El Celler de Can Roca na wolny stolik trzeba było tam czekać rok.

MOLESTOWANIE ZAPACHEM

Sąd Najwyższy Włoch uznał, że nękanie sąsiadów zapachem smażenia i gotowania jest formą „molestowania zapachowego" i podlega karze. Trwający 10 lat proces w tej sprawie wytoczyli kucharzom amatorom pozostali mieszkańcy bloku w miej-

WE WŁASNYM RYTMIE

Brak synchronizacji z zegarem biologicznym ma destrukcyjny wpływ na nasze fizyczne, umysłowe i emocjonalne samopoczucie. Człowiek, który nie wsłuchuje się w swój chronotyp, może czuć się przytłoczony i wyczerpany. Dr Michael Breus, chronobiolog i psycholog kliniczny, wyróżnia cztery chronotypy: rytmy delfina, wilka, lwa i niedźwiedzia. Stworzył dla nich wzorcowe harmonogramy.

DELFIN

6.30 – pobudka bez drzemki
7.30 – śniadanie
8.30 – praca
12.00 – obiad
16.00 – 18.00 – szczyt energetyczny
19.00 – kolacja
20.00 – seks
20.30 – 22.30 – relaks
22.30 – sen

LEW

5.30 – pobudka bez drzemki
5.45 – śniadanie
7.00 – seks
9.00 – praca
12.00 – obiad
17.00 – ćwiczenia
18.00 – kolacja
19.00 – spotkania ze znajomymi
22.30 – sen

NIEDŹWIEDŹ

7.00 – pobudka bez drzemki
7.00 – 7.30 – seks lub ćwiczenia
7.30 – śniadanie
8.00 – praca
12.30 – obiad
14.30 – drzemka
19.30 – kolacja
20.00 – spotkania ze znajomymi
23.00 – sen

WILK

7.00 – obudź się po pierwszym budziku i dryfuj przez 20 minut do drugiego budzika
8.00 – śniadanie
9.00 – praca
13.00 – obiad
16.00 – czas na spotkania z innymi
18.00 – ćwiczenia
20.00 – kolacja
21.00 – 23.00 zabawa i seks
24.00 – sen

charaktery magazyn psychologiczny

Przegląd „PRZEGLĄD" NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY

RDC Warszawa 101 FM DAB+

RADIO PARADA 96.00 FM Łódź 96 FM

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS – ODPOWIEDZI:

1. krokus, fiołek
2. Bratek

eprasa.pl 83cd815144

scowości Monfalcone, 20 km na północ od Triestu. Zapachy smażonego tłuszczu, przypraw i dymu docierały z parteru kilka pięter wyżej. Chociaż zapadł wyrok skazujący, miłośnicy gotowania nie zostaną ukarani, gdyż sprawa od razu została uznana za przedawnioną.

NARCYSTYCZNY PSYCHOPATA

Psychiatra i neurobiolog James Fallon w książce „Mózg psychopaty" dowodzi, że w każdej populacji ok. 2% ludzi można uznać za psychopatów, ale w większości nie są oni wybrykiem natury, gdyż prezentują pożądane w społeczeństwie cechy. Szczególnie dobrze sprawdzają się w roli szefów ze względu na większą odporność na stres i strach oraz umiejętność podejmowania z reguły lepszych decyzji finansowych w warunkach ryzyka. Jak sobie radzić z szefem psychopatą? Podobno ten typ jest też narcyzem.

ZA SZYBKO NA WYŚCIGACH

Jenson Button, znany głównie jako kierowca F1, startuje też w triathlonach. W Kalifornii brał udział w zawodach, w których uczestnicy mieli 1,9 km do przepłynięcia, 90 km do przejechania rowerem i 21,1 km do przebiegnięcia. Button szczęśliwie dotarł do mety i dowiedział się, że został zdyskwalifikowany. Okazało się, że jadąc rowerem, przekroczył dopuszczalną prędkość w oznaczonej strefie bezpieczeństwa. Może zapomniał, że z bolidu przesiadł się na rower?

KONTENER POD OBSERWACJĄ

Włoskie media aż huczą o eksperymencie na Sycylii, nazywanym „Wielki Brat na śmietniku". W dwóch gminach prowincji Agrigento kontenery zaopatrzono w aparaturę, która ma sprawdzać, czy śmieci zostały wrzucone do odpowiedniego kontenera. Pracownicy zakładów oczyszczania miasta mają bransoletki z czipami, które zbierają informację zwrotną z kontenera. Na razie akcja ma zachęcić mieszkańców do segregowania odpadów, nie są przewidywane kary.

PLAYBOY SIĘ ŚMIEJE

Do domu przyszedł ksiądz po kolędzie. Po modlitwie i poświęceniu domu zwrócił się do małej dziewczynki:
– Umiesz się żegnać, dziecko?
– Umiem. Do widzenia.

•

Przeziębiony pracownik pisze SMS do szefowej, usprawiedliwiając swoją nieobecność w pracy:
– Leżę w łóżku, jestem cały rozpalony, mam prawie 39.
Po chwili szefowa odpisuje:
– Dziękuję za propozycję, ale dla mnie o 20 cm za dużo.

•

Czy będąc dziećmi, pukaliście do drzwi sąsiadów i uciekaliście, zanim ktoś otworzył? Jeśli tak, to mamy dla was świetną wiadomość: Poczta Polska ogłosiła nabór kurierów.

•

– Panie profesorze, czy życie zaczyna się w momencie urodzin, czy w chwili poczęcia?
– Cóż, po latach mogę stwierdzić, że życie zaczyna się, gdy żona z dziećmi wyjeżdżają do teściowej.

FOT. AFP PHOTO/EAST NEWS (2), FB.COM/SEKCJAGIMNASTYCZNA, MEMY.PL, FB.COM/SEKCKJAGIMNASTYCZNA

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
redakcja@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

REDAGUJE KOLEGIUM
Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Bartosz Machalica, Mariola Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Katowice)
Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Agnieszka Szeszko
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:** Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski
Dyrektor ds. wydawniczych:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka

Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi, al. Piłsudskiego 82
Prnumeratę krajową od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu". Prenumerata roczna – 250 zł, półroczna – 130 zł, kwartalna – 70 zł
Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka, Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł. Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną na konto **Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.** Dodatkowe informacje o prenumeracie
Dział Kolportażu: tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać na stronie **www.prenumerata.ruch.com.pl.** Pytania prosimy kierować na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do Centrum Obsługi Klienta „RUCH" tel.: +48 (22) 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy
XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

Projekt graficzny
ARTREPUBLICA
Rafał Poławski
i Magdalena Jonas-Poławska

Finansowe wspieranie „Przeglądu" Fundacja Oratio Recta

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 83cd815144

EKO-MATERIA

„Międzynarodowa Wystawa Malarstwa i Tkaniny Unikatowej – EKO-MATERIA – Gdańsk 2017 jest dowodem na szerokie i wielopłaszczyznowe traktowanie tytułowego hasła. Może być ono bowiem rozumiane różnorodnie, a więc np. jako zaakcentowanie fascynacji naturalnymi, ekologicznymi materiałami lub jako zaproszenie do prezentacji prac wykorzystujących strategię szeroko pojmowanego artystycznego recyklingu. Można je interpretować jeszcze inaczej, mianowicie biorąc pod uwagę niedosłowne rozumienie pojęcia samej materii. Materia to również: rzecz czy sprawa, o której się myśli, mówi, pisze lub wyraża się w jakikolwiek inny sposób. Stąd na wystawie znajdujemy prace z dziedziny współcześnie pojmowanego malarstwa i tkaniny, które podejmują artystyczny namysł nad problemami natury, przyrody, konsumpcjonizmu oraz rozmaicie pojmowanych przestrzeni i środowisk, w których żyjemy dzisiaj lub żyliśmy w przeszłości", napisał o ekspozycji prof. Andrzej Banachowicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Muzeum Narodowe w Gdańsku
Oddział Sztuki Nowoczesnej (Pałac Opatów)
ul. Cystersów 18

do 4 czerwca

eprasa.pl 83cd815144

WIARA WYMAGA OFIAR

WYBAWIENIE

NA PODSTAWIE BESTSELLERA JUSSIEGO ADLER - OLSENA

KSIĄŻKA
W SPRZEDAŻY

REŻYSERIA HANS PETTER MOLAND

NIKOLAJ LIE KAAS FARES FARES PÅL SVERRE HAGEN JACOB LOHMANN AMANDA COLLIN JOHANNE LOUISE SCHMIDT JAKOB OFTEBRO SØREN PILMARK

ANTYRADIO KropkaTV

W KINACH OD 28 KWIETNIA

Przegląd DEMOTYWATORY.PL

eprasa.pl 83cd815144

KAŻDY DOROSŁY KRYJE W SOBIE DZIECKO

MAŁY JAKUB

REŻYSERIA MARIUSZ BIELIŃSKI

MIROSŁAW BAKA

JAN SĄCZEK

ERYK LUBOS

DOROTA KOLAK

RADOSŁAW PAZURA

WYTWÓRNIA FILMÓW DOKUMENTALNYCH I FABULARNYCH PRZEDSTAWIA FILM „MAŁY JAKUB" WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ OBSADA MIROSŁAW BAKA JAN SĄCZEK ERYK LUBOS DOROTA KOLAK HENRYK TALAR RADOSŁAW PAZURA
ZDJĘCIA AREK TOMIAK PSC SCENOGRAFIA ANDRZEJ HALIŃSKI MUZYKA TOMASZ ŁUC KIEROWNICTWO PRODUKCJI TADEUSZ DREWNO PRODUCENT WŁODZIMIERZ NIDERHAUS SCENARIUSZ I REŻYSERIA MARIUSZ BIELIŃSKI

WFDiF

KINO ŚWIAT

W KINACH OD 21 KWIETNIA

radio ZET chilli

polki.pl

Przegląd

DEMOTYWATORY.PL

eprasa.pl 83cd815144